

840  
BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

3/438  
№ 115.

# OSTATNI BATORY

Powieść historyczną

*Mikołaja Jósika*

z węgierskiego  
przełożył

ANTONI LANGE

z przedmową

J. A. Święcickiego.

—  
TOM II.  
—

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA.

Redakcyja i Administracyja

47. Nowy-Świat 47.

—  
1900.

# Ostatni Batory.

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Polit. - Wych.

Mikołaj Jósika.

# *Ostatni Batory*

Powieść historyczna  
Uwieńczona przez Akademię nauk w Peszcie

z węgierskiego przełożył

Antoni Lange

BIBLIOTEKA  
z przedmową

Wydanie pierwsze. 1884.  
J. A. Świątecznego. - Wych.

Tom II.



WARSZAWA.

DRUKARNIA

A. T. Jezierskiego,

47. Nowy Świat 47.

889-5. 8/09

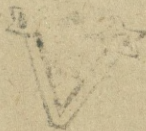
5992/1

Дозволено Цензурою.  
Варшава 24 Июля 1900 года.

l. m. w. ~~4406~~ 1405  
6675

BIBLIOTEKA

Wyższe! Szkoły Polit. - Wych.



## ROZDZIAŁ I.

Ludzie ryczą głośniejszą niż burza, gdy wicher namiętności rozpęta ich z korbów obyczaju codziennego.

*Szekspir.*

Książę spał dłużej niż zwykle i można było powiedzieć, że spał lepiej niż kiedykolwiek. Położył się spać bez szumu wina w głowie, a towarzystwo Weisza, który w roli gospodarza usiłował mu go dotrzymać i w ten sposób nie dopuszczać do jakich nowych wybryków, podszeptanych przez nędznych pochlebców — towarzystwo rozumnego, poważnego człowieka zbawiennie nań oddziało. Nietylko Weisz sam, przez swój jasny i bogaty nmysł, mógł rozmowę z sobą uczynić miłą i zajmującą, ale dla Batorego stał po za nim jakoby cień Celesty i ztąd był on dla niego o wiele więcej uprzejmym niż dla innych. Istniało nawet podobieństwo rysów między ojcem i córką, istniało szczególnie podobieństwo spokojnej i łagodnej postawy, która może głównie podbiła serce Batorego. Doświadczał też w obcowaniu z Weiszem jakiegoś dziwnego uczucia: budziła się w sercu pewna tęsknota miłosa, nie pozbawiona słodyczy i zarazem uśmierniająca w piersi popędy dzikiej burzliwości. I przebywanie w domu Celesty dodawało tu coś z wpływu swego, co razem sprawiało skutek taki, że Imrefi i Dimon nie mieli prawie doń przystępu przez całe popo-

łudnie i wieczór dnia poprzedniego. Długo marzył i myślał o Celeście, spocząwszy na wspaniałem łożu pod tureckich makat namiotem, i potem też, rzecz naturalna, sen przywiódł mu z sobą jej postać, wdzięczną. Śnił fantastycznie, jak często młodzi: gdzieś na turniejach walczył dla niej o palmę piękności i cnoty, potem porywał ją na konia i uciekał z nią przed pogonią licznej zgrai nieprzyjaciół. Był niby w Köhalom, ona mu powiedziała, gdzie się spotkać mają, on przybył i czekał na nią, ale czekał długo i zaczął już tęsknić, zaczął czuć niepokój jej utraty, żal wielki już mu zaczął ścisnąć serce, gdy naraz ktoś, czy coś, powiedziało mu, że już jest blisko niego.

I naraz zobaczył ją, ujrzał jej postać osłonioną w szatę podróżną, którą znał dobrze, w której nieraz widywał ją na przechadzkach zamiejskich. Szła do niego, ale była tak blisko, że czuł prawie ciepło jakieś, które z niej promieniało, woń lewandy, którą zwykle bywała przejęta jej odzież. Wyciągnie więc rękę i ujmie ją, zatrzyma... Ona się zadziwi radośnie, spojrzą na siebie, ale on już teraz pochwyci ją silniej w ramiona, poszuka ustami jej ust i stopi w pocałunku duszę swoją z jej duszą...

Wyciągnął rękę, lecz nie nie ujął... Obudził się, a wrażenie widzenia Celesty, uczucie jej bliskości było w nim tak silne, że podniósł się na poduszki i rozglądał po komnacie. Nie był to podmiejski ogródek u bram miasteczka Köhalom; był to dom ojca Celesty w Kronsztacie, komnata długa a wązka, wybita grubem sukniem czerwonym. Lampa, rozlewająca błękitne światło, oświetlała ją łagodnie.

Zaraz w pierwszym momencie nie umiał sobie zdać sprawy, gdzie jest. Przecież wrażenie bytności Celesty tu, przed chwilą, trwało w nim jeszcze minut kilka. Gdy świadomość rzeczy mu wróciła, ogarnęło go uczucie zawodu. Niedobra! uciekła przed nim... ujechała z miejsc, gdzie on się znajdował... Kochała niby, a nie pragnęła go ujrzeć...

Aż naraz przypomniał sobie, że ona przecież nie wie, iż on, Gabryel Batory, a rycerz Ecsedi — to jedno. Ale czas już położyć koniec tajemnicy. Gdy zbaczając z drogi pojedzie do niej do Köhalom, wyjawii jej prawdę. Kocha go, wierzył w to silnie, więc się nie oprze jego prośbie. Połączą się związkami nierozwalnym, będą należeć do siebie na zawsze, w cichym raju, który zbuduje dla niej i dla siebie na uboczu tronu.

Ona, która nie jest próżna—ona, która nie chce się stroić, błyszczeć, wynosić—ona, która pragnie tylko szczęścia przez miłość, pozostanie do końca życia ich dwojgą w ukryciu, w cieniu, który tylko rozjaśniać będzie gwiazda miłości.

Wśród tych marzeń sen skleił mu znów powieki i jak miłemi były myśli ostatnie, które snuł na jawie, tak też zstąpił na niego sen dobry, spokojny, posilający. Już nie marzył nie, spał prawdziwie po młodzieńczemu — mocno i obudził się dopiero, gdy dzień zaczynał szarzeć, to jest o 7-ej rano. W owych czasach ludzie wstawali wcześniej i nikt w żadnej sferze towarzyskiej nie czuwał do rana. Rano się też budzono i wstawano, nie zasypiano godzin światła dziennego, przez naturę już przeznaczonych do ruchu życia wszelkich stworzeń, i nie forsowano tej natury przez sztuczne istnienie wtedy, gdy wszystko w świecie podświetlonym zasypia. Przed północą kończyły się wszystkie, choćby najokazalsze uczty i rzadko nawet, tylko w wyjątkowych okolicznościach, przeciągały się tak długo. Ludzie wieków tamtych byli też tak silni, jak to leży w zamiarach natury, bo nie łamali jej praw, które się potem mszczą za gwałt, popełniony na sobie. Pokolenia po pokoleniach rodzą się słabsze, dźwigając winę swoich i rodzicielskich wyłamywań się z porządku, wśród którego im żyć i pracować kazano.

Książę po dobrze przespanej nocy obudził się rzeźki i ochoczy do życia, jak to jest przywilejem

zdrowej młodości. Po otworzeniu oczu przypomniał sobie sen o Celeście i to dało mu coś melancholii, usposabiającej go jednak łagodnie. Gdy wstawał gniewny o coś lub zgryźliwy, wprawiał odrazu w ruch dwór swój cały; jednych przyzywał, drudzy się cisnęli sami, aby ubiedz innych i włożyć w ucho księcia coś, o czem chcieli, aby tam doszło, lub uprzedziło wiadomość przychylną dla ich stosunków. Ale dziś rano, Batory ubierał się, nie ociągając; chęć zobaczenia Weisza przyczyniała się do tego. Miał zamiar poprosić go do śniadania z sobą, ale Weisz, jak gdyby chciał uprzedzić jego myśli, towarzyszył pokojowcom niosącym na srebrnej tacy złote naczynia z polewką winną i migdałowe ciasta, z których sływał na Węgrzech Kronsztad, a raczej gospodynie kronsztadzkie, wypiekać je umiejące. Ecsedi jadał je nieraz ze smakiem u ciotki Celesty, ona sama podawała je gościowi i wszystko to, przychodząc po śnie minionej nocy, budziło mu w piersi wspomnienia. Był on wielce dumny, jakkolwiek nieraz wśród rozrywek poufalił się z otoczeniem swoim, teraz przecież w nagłym przystępie łaskawości, zaprosił do swego stołu Weisza.

— Zapewne jeszcze, mości Albinusie, nie piłeś śniadania—rzekł. — Siadaj więc, a jest tu, jak widzę, tyle polewki, że starczy dla nas obu.

Zawołał na pokojowców, aby podano kubek drugi i sam nalawszy Weiszowi, kazał mu siadać.

— Muszę pomówić o polityce—dodał.—Posłując na Wołoszczyźnie, znasz waszmość Raduła lepiej, niż my tu wszyscy, więc rad jestem słuchać o nim. Że chytry i podstępny, jak Wołoch, wiem, ale chodzi mi o siły jego... Ma podobno w zbrojowniach zapasy białej broni i samopałów. Od Greków proch kupuje?...

To był początek, którym chciał rzecz zagaić. Myśl o Celeście nie opuszczała go, żałował, że nie miała brata, aby go mógł wziąć na swój dwór i obsypując łaskami, kupić sobie w ten sposób osobę życzliwą mu, a Celeście drogą i blizką. Dolał ze zło-

tęgo dzbanka Weiszowi polewki, sam pił swoją porcyę powoli, i ubiegła tak więcej niż godzina czasu, a Weisz zaczął się stawać niespokojnym. Czuł, że księżę chce czegoś, że chce czegoś za jego pośrednictwem, ale nie córka przychodziła mu do głowy. Stan kasy Batorego był bardzo zły, miał wielkie długi u lichwiarzy w Fehervarze, i Weiszowi nasunęła się myśl, czy nie zażąda od miasta pożyczki?

Pożyczka taka, dawana przez miasta panującym, różniła się mało co od daniny, jeżeli nie była wytargowaniem jakiegoś przywileju, jakiegoś korzystnego nadania i nieraz już w ten sposób władcy Siedmiogrodu pozbywali się na rzecz miasta lub prowincyi przywilejów korony. Jedni czynili to w potrzebie ojczyzny, gdy szło o obronę kraju przeciw Turkom lub Rzeszy Niemieckiej; drudzy, jak Zygmunt, dla zbytków i rozrzutności, dla bezładu urzędników, którzy pozwalali łupić skarb państwa, Weisz coraz więcej przypuszczał, że księżę zmierza do tego, lecz myśli jego oblegała silniejsza jeszcze troska: chciał wydać rozporządzenie tyczące się zabezpieczenia osoby księcia przed napadem harambaszy, potrzebował być na radzie w ratuszu i, przypuściwszy do tajemnicy niektórych rajców, porobić kroki potrzebne do zamierzonego celu. Rada była naznaczona na wczesną godzinę poranku, a Batory zatrzymywał go...

Rajcowie miejscy doznawali również podobnego niepokoju, Weisz, który zawsze był punktualny, nie przybył w terminie oznaczonym. Czekało nań z otworem sęsi, aż zaczęto się lękać.

— Czy nie chory?—mówiono, ale słowa te kryły myśl inną: zali nie zaszedł ze strony Batorego jakiś akt samowoli, który zatrzymywał Weisza w domu. W każdym razie pragnęli się z nim naradzić, jak miasto ma zegnać księcia, jakie żądanie ma mu wyrazić w formie prośby, przy pożegnaniu wniesionej.

— Może wśród kłopotów gościny książęcej zapomniął o godzinie radnego zebrania?—przypuszczano

w końcu — i woźny miejski został posłany, aby mu ją przypomnieć.

Ale nie mógł widzieć się osobiście z Weiszem. Służba odpowiedziała mu, że nie może mieć w tej chwili przystępu do pana, ponieważ jest u księcia.

— Jest zamknięty z księciem w jego komnacie—objaśniła służba, dodając, że nikt nie odważyłby się iść tam i wyprosić go...

Woźny pośpieszył z tą odpowiedzią, którą dosłownie odniósł panom radnym, ale do uszu ciekawych, którzy stali zgromadzeni koło ratusza, doszła ona inaczej. Gdy rajcy, odroczywszy radę na godzinę 12-tą w południe, zaczęli wychodzić z gmachu radnego, tłum się zaniepokoił:

— Dlaczego? Co to? — pytano i nagle z nieuważnej snadź odpowiedzi któregoś rajcy wyrósł popłoch, rzucający wieść, iż Weisz został we własnym domu uwięziony.—Księżę go zamknął... powtarzano sobie z przerażeniem...

— Pewno go uwiezie z sobą... Może go tracić będą?... — podawano sobie z ust do ust i zamieszanie rosło, bo byli tacy, co rozżarzali iskrę, która w oka mgnieniu zaczęła się stawać ogniem, aż zapaliła się płomieniem. W pół godziny potem miasto całe oblatywała przerażająca wieść, którą zrećźnie objaśniano ludowi. — Księżę chciał złupić skarb miasta, że Saksonki nie chciały tańczyć czardasza z węgierskimi rycerzami, księżę obrażony nałożył na miasto kontrybucję, Weisz się oparł, porwano go i uwięziono.

— Z miasta go uwiozą nieszczęśliwego! — mówiono głośno po ulicach i gromady ludu zbiegały się na rynek, a widz uważny byłby dostrzegł między nimi nieznanne i dzikie postacie.

Z wilkiem nie wchodzi się bezkarnie w przymierze, bo rozłakomiony rzuconą mu przynętą, wnet zażąda nowej pastwy. Gdy spiskowcy po rozmowie z Sewerem opamiętali się i poznali, jakie nieszczęście mogli sprowadzić na miasto i wszystkich Sasów w Sie-

dmiogrodzie, gdy Sewer im dowiódł, że tajemnica ich współki z hersztem zbójców mogła, a nawet musiała się wydać za jego własną sprawą dla zrzucenia z siebie odpowiedzialności na przypadek wzburzenia ludu—zadumali się posępnie. Tak Dixel, jak Mond uczeni teraz, jak wielką odpowiedzialność brali na siebie i wyprzedzając pierwszy brzask witającego słońca, wyruszyli do małej karczemki podmiejskiej, aby widzieć się z Ivozem i zerwać zbrodniczą umowę, która ich z nim wiązała. Przyobiecana z ich strony nagroda za głowę księcia, 500 florenów w złocie, nie została mu cofniętą, mimo to bandyta nie czuł się zadowolonym.

— A łupy, które tracę—rzekł—któż mi je wynagrodzi?

Postanowił sięgnąć sam po to wynagrodzenie. Pięćdziesięciu opryszków, mających brać udział w wyprawie, było już zgromadzonych w pobliżu. Rozeszli się po szynkach i gospodach przedmieścia, zwanego starem, i podług danego rozkazu mieli się skupić na dane hasło koło swojego wojewody. Czyby jedli, czy pili, spali lub grali w kości, obowiązkiem ich było rzucić natychmiast wszystko, skoro tylko usłyszą głos szeklerskiego rogu, odzywający się pobudką myśliwską. Róg szeklerski, gdy w niego dmą piersi silne, słychać na pół mili w puszczy leśnej, tu odległość nie była przez pół taką, więc harambasza mógł ich mieć przy sobie w każdej chwili, z czego też nie zaniedbał wkrótce korzystać.

Ledwie - że Dixel i Mond przebyli z powrotem rogatki, trzy urwane tony rogu ozwały się w mroźnym powietrzu szarego poranku, a gdy tylko zimowe słońce weszło ponad mury miejskie, pięćdziesięciu ludzi, podejrzanej miny chłopów, żebraków, górali wsunęło się do miasta pojedynczo lub gromadkami. Rozeszli się po ulicach i placach miasta; było ich kilku przed ratuszem, gdy woźny miejski, powracający od

Weisza, oznajmił panom w radzie, dlaczego nie może on stawić się na wezwanie.

Gdy rajcy zaczęli się oddalać, wieść pochwycona rozeszła się w sposób przewrotny. Za godzinę całe miasto wrzało. Tłumy rozgorączkowanej ludności kupiły się wkoło mówców, którzy im oznajmiali, w jakim to celu Weisz został więźniem Batorego. Nałożą na miasto kontrybucyę, a on zostanie uwięziony, jako zakładnik, którego głowa poręczać będzie wypłatę żądanej sumy.

Właśnie Weisz miał oddalić się z komnaty księcia i myślał co najprędzej udać się na ratusz, gdy szum głosów wzburzonego tłumu, podobny do huku wezbranych fal wody, dał się słyszeć nieco zdaleka:

— Weisz... Albinus Weisz! ojciec miasta...— brzmiały pojedyncze okrzyki i ksiązę zmarszczył się.

— Co to jest? — zapytał groźnie tego, którego imię wywoływano, który również nic nie wiedząc, nie mógł dać żadnego objaśnienia.

— Przecież ksiązę natychmiast je otrzymał i pierwej nawet, zanim Albinus mógł odpowiedzieć cośkolwiek.

— Bunt! — krzyknął Imrefi, wpadając pierwszy do komnaty księcia.

— Bunt Sasów—dodał Kamuli, który znalazł się tuż za nim — bunt w imieniu tego faworyta waszej książęcej mości!...

Weisz, na którego zuchwały człowiek wskazał ręką, zbladł, ale nie stracił prztomności.

— Bunt przeciw księciu nie może kryć się pod imieniem tego, który jest mu wiernym sługą i poddanym, jako władcy swego kraju — odrzekł poważnie i z uczuciem człowieka, mającego czyste sumienie, posunął się szybko ku balkonowi, którego oszklone drzwi otworzył, bo znajdowali się teraz już nie w sypialni księcia, tylko w sali bawialnej.

Cofnął się przecież w tył, bo znów krzyczano, a obecnie już blisko:—Weisz! Weisz!

W parę minut potem hałaśliwa tłuszcza znalazła się tuż pod domem, gdzie się zatrzymała. Okrzyki się wzmogły, domagano się uwolnienia Weisza, wydania go ludowi i była taka chwila, że Batory, podobnie jak i sam Weisz, ulegli mniemaniu, jakoby tłum, czemś rozgniewany, chciał wyrzucić na uwielbianym dotąd burmistrzu swoim dziką jakąś zemstę! Batory okazał się nawet szlachetnie.

— Nie spadnie waszmości ani jeden włos zgłowy! — zawołał i posunął się ku balkonowi, ale w tej chwili nie dwuznaczne już okrzyki wyjaśniły położenie.

Przyzywano Weisza z miłością, z jej uniesieniem najgorętszym przysięgano, że go wyrwą ze szponów despoty, że zburzą kamienicę, która się stała jego więzieniem, nie zostawią z niej kamienia na kamieniu, lecz Weisza uwolnią i nie dadzą go wywieźć z miasta.

Wtedy Batory znów zmarszczony, z gorącą błyskawicą gniewu w oczach, spojrział nań, lecz Weisz nie spuścił przed nim wzroku.

— Jest tu jakaś pomyłka lub intryga nikczemna—odparł tak dumnie, że podejrzenie pierzchnąć musiało i teraz już bez dłuższego namysłu wyszedł na balkon.

Powitał go krzyk, wstrząsający mury domu. Wyciągnano ku niemu ręce, przysięgając, iż go uwolnią, rzucano na jego widok czapki w górę.

— Nie damy cię, nie damy!..—wołano.

Błagano, aby skoczył z balkonu, nadstawiając objęcia pragnące go przyjąć, zaczęto nawet pięć się ku górze, jedni po ramionach drugich. Brama domu była zamknięta, zatarasowana silnie. Służba księcia i gwardya jego przyboczna stała tam uszykowana obronnie, jedni z wymierzonymi naprzód samopałami, drudzy z pałaszami w ręku. Atak ludu był i niebezpieczny i nie mógł się odbyć bez rozkazu księcia, który go nie wydał.

Weisz zaczął przemawiać, tłumacząc, że mu nie grozi i prosząc, aby tłum się rozszedł, ale rzecz była daremna; namiętność ludowa, gdy raz zakipi, nie daje się łatwo uśmierzyć. Nie chciano mu wierzyć, zakrzyczano go przytem i na nie się nie zdało mówić, gdyż głos jego nie dochodził już uszu tych, do których przemawiał. A teraz zaczął się już i on sam obawiać. Cofnął się w tył z balkonu, aby widokiem swoim nie rozżarzać uniesienia, bał się przytem, aby ktoś nie pomyślał o przystawieniu drabiny, po której wdartoby się na górę, a wtedy nikt nie wiedział, co by się stać mogło?

— Jest to jakieś nieszczęście niepojęte — zawołał.—Jakaś fatalność...

— Głowa moja padnie pierwej u stóp waszej książęcej mości, zanim stanie mu się jakaś krzywdal podejrzenie wiarołomstwa i zdrady nie może mnie dotknąć—dokończył wyniośle.

Że mówił szczerze, że mówił prawdę, książę nie wątpił już teraz. Prócz uczciwego wyrazu jego twarzy świadczyło za nim i to, że bronił Batorego przed niebezpieczeństwem, jak lwica lwiatko swoje. Gdy książę, nie mogąc powstrzymać gwałtowności swojej natury, chciał raz wystąpić na balkon z gołą, podniesioną szablą w ręku, on się rzucił ku niemu i z mocą prawie w tył odciągnął.

— Musisz, panie, ciąć tu pierwej, musisz pierwej rozplatać mi głowę, niż się tam dostać zdołasz—jestem odpowiedzialny za ciebie.

Książę odstąpił od zamiaru, ale był już teraz pewnym, że Weisz go nie zdradza.

Oprócz Imrefiego i Kamuli, zebrała się teraz w sali i przyboczna służba Batorego. Był w tej liczbie i Dimon, wyglądający teraz na Demona. Tchórzem nie był i życie swe lekko ważył, więc nie drżał, nie bladł, a przeciwnie, oczy świeciły mu jak u kota. Komiczna strona rzeczy bawiła go. Nie mógł sobie zdać sprawy, co się dzieje, ale trwoga tchórzów bu-

dziła jego werwę złośliwą. Imrefi, którym trzęsła febra, wprowadził go w dobry humor.

Ten byłby uciekł niewątpliwie i odbiegł księcia, gdyby wiedział, że można ukryć się gdzieś bezpiecznie.

Nagle na ulicy buchnął dziki okrzyk, jak gdyby witający coś nowego, a pomyślnego dla tych, co tam byli. Potem nastąpiła cisza, widocznie oczekiwanie. Ponieważ drzwi balkonu były otwarte, odgłosy z ulicy dochodziły tu tak, że słyszano pojedyncze wyrazy i teraz usłyszano jakiś turkot głuchy.

Jechał szybko ciężki wóz mocno okuty i coraz więcej się zbliżał.

Tłum rozstępował się przed nim, pchając się na chodniki. Robiono wozowi miejsce i oczekiwano jego przybycia.

Weisz, silnie wzruszony, myślał, czy nie wiozą drabin na wozie, gdy wtem uwagę wszystkich zwróciło zjawisko niespodziewane, które przecież występowało nie z zewnątrz. Drzwi do sypialni księcia stały otwarte i naraz usłyszano głos Dimona, który krzyknął:

— A!... a...

Wszyscy zwrócili się w tę stronę i oto ujrzano, że posąg pana był odwrócony bokiem, a z po za niego wystąpiła postać dziwniejsza dla oczu ludzkich, niż niespodziewane ożywienie miedzianej figury. Była to kobieta, okryta długą brązową suknią podróżną, czy pielgrzymią.

Tylko teraz kaptur nie krył jej głowy i nie zasłaniał oblicza. Było to dziewczę młode i bardzo piękne, mimo bladoci, tak wielkiej, jak gdyby w całej tej, żyjącej przecież istocie nie było ani jednej kropli krwi. Po wykrzyku Dimona, który spowodował zwrócenie się wszystkich oczu w stronę idącej, Weisz i Batory krzyknęli również:

— Celesta!

Ona to była, blada jak posąg z marmuru. Szła zwolna, bo może nogi drżały pod nią, kaptur spadał jej teraz w tył; szła z odkrytem obliczem, nie schylając przecież głowy, nie spuszczać oczu. I Weisz i ksiązę posunęli się ku niej jednocześnie, a ona rzuciła tylko ojcu spojrzenie pełne najtkliwszej miłości i zwróciła się ku księciu.

— Panie — rzekła — uchodź ztąd jedyną drogą, jaka jest przed tobą otwarta! Wychodzę z podziemia, gdzie mnie jednak doszedł hałas okrutnego wzburzenia. Uchodź! przez okienko mego lochu doszły mnie wyrazy straszne... uchodź!

— Ja, uchodzić—zawołał Batory wyniośle—ja?...

Ale w tej chwili ujął rękę bladej dziewczicy i zatrzymał ją w swojej.

— Zkąd ty tu przyszłaś, Celesto? — zapytał wzruszony. — Jam myślał, żeś ty daleko, daleko gdzieś jest...

— Daleko... daleko byłam, panie... Byłam tam, gdzie nie mieszkają już żywi, byłam pod ziemią, ale wyszłam z mego grobowca, aby cię ztąd uprowadzić...

On nie zdawał się słyszeć słów jej ostatnich, nie zdawał się pamiętać, jaka to jest chwila.

— Kryłaś się—rzekł—kryłaś się przedemną!...

Głos jego pełen był żalu i wyrzutu. Żal i wyrzut, który można było nazwać, że jest miłosnym, wyglądał mu z oczu, tonących chęciwie w obliczu dziewczicy.

Jej twarz została tak smutną i bladą, jak była od początku.

— Panie — zaczęła znów, a i głos jej zarówno był zmieniony i choć słodki jak muzyka, był poważny nad wiek tak młody. — Panie, jam opuściła dlatego tylko swoje ukrycie, że grozi ci wielkie niebezpieczeństwo. Przysięgłam na krzyż Chrystusowy pozostać w ciemnicy podziemnego lochu, póki ty tu będziesz, przysięgłam, że oczy moje nie zobaczą cię nigdy,

przecież stoję tu, bo może, może ci grozić rzecz straszna... Uchodź drogą, na której cię nikt nie odkryje.

— Czy z tobą, Celesto? — zawołał Batory namiętnie.

Wtem nagły okrzyk radości, wydany na ulicy, zwrócił znów uwagę przytomnych w tamtą stronę. Bi to komuś oklaski, radowano się z czegoś.

— Panie—jęknął Imrefi—uchodź... ratuj nas...

Na ulicy wzmagął się krzyk szalony, Weisz przystąpił do księcia i rzekł:

— Uczyni, panie, co ci radzi moja córka. W mieście dzieje się coś straszego, choć niepojętego dla mnie, ale pod domem moim są podziemia, któremi możesz ująć bezpiecznie z orszakami, jaki zapragniesz wziąć z sobą, aż w pole, aż w wąwozy górskie.

Batory zmarszczył brwi.

— Księżę nie ucieka—odparł.

Naraz przybyła na scenę osoba nowa. Sewer dostał się tu przez boczną uliczkę i ogród; przybywał, aby bronić księcia, bo lud miasta wzburzony był już tak, że nikt mocy nad nim mieć nie mógł. Zobaczywszy Celestę, drgnął zadziwiony, ale prędko odzyskał krew zimną i zaczął błagać księcia, aby uczynił to, co mu radziła. On gotów jest towarzyszyć księciu przez podziemia, a nawet nie da wyręczyć się w tem nikomu i przeprowadzi księcia lochami aż tam, gdzie już będzie miał otwartą drogę przed sobą. Weisz uspokoi tymczasem tłum rozszalały i tabor księcia ruszy za nim. Tłómaczył, jaka była przyczyna nieszczęsnego zaburzenia; jacyś obcy ludzie je szczyli, wprowadzając lud miejski w błąd nieszczęsny.

W tej chwili nowy wybuch radości tłumowi dał się słyszeć z ulicy. Mając już teraz w Sewerze zastępcę, któremu mógł zwierzyć straż nad księciem, Weisz miał ręce rozwiązane i żywo zwrócił się na balkon, który zdobywano. Z ogromnego wozu tworzo-

no ku niemu pomost, i już czepiano się jego krat żelaznych, gdy Weisz ukazał się tam znów. Wiedząc o co chodzi, karecił szaleńców surowo:

— Jesteście narzędziem jakiegoś zbrodniczego zamachu—zawołał—jakiś zdrajca używa was w celu podłym własnego interesu...

— Nieprawda — odpowiadano mu — wiemy my prawdę... wiemy...

Mówił to barczysty ów tracz, który pierwszy zagegł ten pożar. Tłum zaś, nie zdolny już do zimnej rozważki, chciał tylko dostać Weisza. Celesta, przerażona teraz o ojca, wybiegła też na balkon, a i ją powitano okrzykami gorącej miłości.

— Gołąbko! — wołano — gołąbko! więc i ciebie chce porwać w swoje szpony ten jastrząb.

Stało się to nowym żywiołem roznamiętnienia tłumowi. Kobiety zwłaszcza zaczęły teraz zagrzewać do walki, tracz podbudzał zapal szaleńców, aż nagle dwóch ludzi dostało się na balkon i był to moment stanowczy. Jeżeli Weisz stawi im opór, tłum dostanie się utorowaną już drogą do wnętrza domu.

Zdobędzie go i splondruje, może pochwyty księcia!...

Weisz pojął szybko całe położenie i postanowił, co mu czynić wypada.

— Celesto! wróć pod opiekę Sewera — zawołał i dał się unieść wyciągającym się po niego ramionom. Gdy raz znajdzie się wśród ludu, zdoła odzyskać panowanie nad nim.

A z dołu krzyczano:

— Ratujcie Celestę... dobrą, piękną Celestę ratujcie!.. Poświęciła się za ojca, ratujcie ją...

Weisz, obstąpiony przez tłum rozgorączkowanych ludzi, nie mógł nawet ust otworzyć.

— Celesta... Celesta... — brzmiało teraz w powietrzu, gdy on oddalał się, unoszony na rękach rokoszan.

Sewer szybko zamknął balkon i zatarasował

drzwi wielką dębową szafą, wytwornie rzeźbioną dętem norymberskiego sztukmistrza: stała się ona teraz barykadą, głowy aniołków, wyglądające z po za kwiatów i liści, zdawały się słuchać przerażone dzikiego hałasu, a Sewer i Celesta zaklinali księcia, aby się dał uprowadzić przez podziemia. Szafa była lichą zaporą przeciw silnym ramionom, gdy raz zechcą się pod nią podsadzić.

Batory czuł prawdę tych słów, ale duma buntowała mu się w piersiach na myśl, aby księżę uciekał przed podłą zgrają zbuntowanych mieszczan. Obejrzał zapasy obu krócie, które miał zatknięte za pasem. i błądy, z okiem iskrzącem, nie ruszył się z miejsca. Nawet słowa Celesty nie miały już wpływu nad nim. Postanowił się bronić do ostatka i stał gotów do tego z ręką na rękojeści szabli.

A koniec rzeczy nie mógł już być daleko. Wdarcie się tłumu na balkon i odepchnięcie błahej zapory mogło się dokonać w przeciągu kilku minut.

I na minuty już liczyło się trwanie tej tragedii, której węzłem było może życie, czy śmierć Batoryego...

Zrozumieli to snadź jego przybocznicy, i gdy Sewer obejrzał się po komnacie, spostrzegł, że Imrefi i Kamuli gdzieś znikli. Uszli przez kurytarz podziemny razem z trzema równie podłymi pokojowcami księcia. Składali się oni potem wymówką, że uszli, aby wiernych księciu zwołać mu na pomoc, ale to jest karą takich, jak Batory dzikich despotów, że trzymają się ich boku tylko istoty nikezemne.

Przy księciu, prócz Sewera i Celesty, pozostał tylko Dimon. Czy trzymała go tylko duma, trudno odgadnąć... Miał w ręce sztylet obnażony, gotowy już w każdej chwili do uderzenia.

Na zewnątrz huczała wrzawa piekielna. Może się kłócono teraz o pierwszeństwo wdarcia się na pomost, który szerokim nie był. To tylko zdawało się przewłóczyć położenie.

Nagle przybył księciu niespodziewany sukurs, trzech młodych Sasów: Huttern, Misch i Trausch, weszli przez główne drzwi komnaty, które wiodły ze schodów. Platforma balkonu zapadła się pod tłumem, który się pchał na nią, ale zwrócono się zato ku bramie. Już ją sforsowano, gwardya księcia biła się z napastnikami i oni zdołali się wdrzeć tą drogą.

Przyszli tu, choćby umierać z księciem, lecz błagali go, aby oddalił się z miejsca walki z motłochem, który podburzony został przez jakieś niepojęte wpływy. Gwardya księcia biła się dzielnie, ale cóż garstka, choćby najwaleczniejszych, znaczy wobec tysięcy? Ścierano się tylko bronią białą, bo palnej nie można było użyć w ścisku, chyba gdyby cofnięto się w podwórze kamienicy, ale gwardya nie chciała odstąpić schodów, wiodących do księcia.

Nie można było przypuszczać, że zdoła ich obrocić; przybywający już widzieli trupów.

Młody Trausch pokazał but skrwawiony. Przedzierając się przez walczących, musiał nastąpić na ciało, które może nie było jeszcze trupem...

W tej chwili szyby okien zabrzęczały, szkło rozprysło się z hałasem. Zaczęto rzucać w nie kamieniami.

Kamienie te wrywano z bruku i za pierwszym, który posłano w okno, posypało się ich mnóstwo. Walono niemi i w ściany, a choć bombardowanie to było, wobec silnych murów, bezowocnem, zwiększało groźę chwili. Kamienie padały przez wybite szyby na środek komnaty i trzeba było cofnąć się wglęb.

Hałas na dole dawał znać, że lud już jest w bramie, że wtargnie tu wkrótce i może z dwóch stron: od frontu przez główne schody i przez wejście od podwórza, które też otworzy wtedy wolny przystęp oblegającym.

Teraz zaczęli błagać księcia wszyscy, a Celesta padła przed nim na kolana, aby nie narażał dłużej siebie i innych.

— Panie! — wołała, wyciągając ręce i obejmując nęmi jego kolana — daruj narodowi swemu życie swoje, daruj mu i życie tych wszystkich szlachetnych Sasów, którzy muszą umrzeć, jeżeli nie cofniesz się ztąd, bo oni cię nie opuszczą.

Jej głos, jej wzniesione na niego łzawe oczy, zmiękczyły go.

— Niech będzie, jak chcesz, o Celi moja! — wykrzyknął. — Czy przecież to życie, które ratować mi nakazujesz, będzie mieć trochę szczęścia jakiego?... powiedz! Widzisz, otaczają mnie zewsząd podstępny i zdrady, czy przecież wejdzie mi przez nie jeden choć promień ciepły, który ogrzałby istnienie moje?

Patrzył na nią wzrokiem miłości namiętej, a ona oblała się bolesnym rumieńcem wstydu, bo oczy młodych Sasów były w nią wlepione. Zkąd i kiedy książkę mógł tak znać córkę Weisza, aby mówił do niej takimi słowy, aby mówił do niej:

— Celu moja!

Ona ze spłonionej jak krew, stała się białą, jak marmur. Wiedziała, co myśleli ci ludzie, wiedziała, że na jej dobre imię padał czarny cień podejrzenia.

Ale to nic, niech tylko on, Ecsedi, uratuje się od śmierci!

W tej chwili przez drzwi od podwórza wpadło jeszcze dwóch Sasów: Closiusz i Grabben; byli to już ludzie starsi, ławnicy miasta. Rada, zebrana w ratuszu, prosiła księcia, aby się ratował. Oni się przedostali tu z narażeniem życia, aby tę prośbę mu przynieść. Odsiecz będzie dana jak najprędzej jego gwardyi, ale jeszcze pół godziny, nie... kwadrans walki, a będą już tylko trupy. Przez litość nad tymi wiernymi mu ludźmi niech ustąpi.

To skłoniło księcia do zaniechania dłuższego oporu. Cokolwiek historia zapisała na kartach swoich o Gabryelu Batorym, tego mu nie zaprzeczy, że w dniu tym okazał się nie tylko mężnym, ale i szlachetnym. Sewer otworzył pochód; z podniesioną w górę szablą

szedł przed księciem i prowadził go w ciemności, bo nie było czasu szukać świec lub pochodni i zapalać je. Obok niego stanął Huttern, młodzieniec poważny, i Trausch, syn poprzedniego burmistrza, dzielny i śmiały do konia i oręza. Reszta Sasów kroczyła w tyle, choć z początku Batory tam chciał się znajdować.

— Batorowie nie byli nigdy na przodzie tam, gdzie uciekano — rzekł posępnie — tak szli tylko do szturm.

Ale nie dano mu tego spełnić. Pochód zamykał Dimon i ten, zanim przestąpił próg wiodący do ciemności, obejrzał się za Celestą, która pozostawała tu sama. We wzroku tym, zawsze błyskającym złościwością, widniało coś jak żal, jak litość.

Księżę, nim ruszył naprzód, zażądał, aby Celesta szła obok niego, lecz Sewer odpowiedział mu poważnie i prawie surowo, że córka Weisza, Celesta, Saksonka, nie potrzebuje uchodzić z domu, w którym wszystko i wszyscy szanować ją i osłaniać będą.

Ona potwierdziła to.

— Tak... tu jest moje miejsce — rzekła. — Zostanę tu, czekając na powrót ojca.

Gdy to mówiła, kamień ciśnięty przez wybite okno ręką silną i zręczniejszą, niż inne, poleciał tak daleko w głąb obszernej komnaty, że padł tuż pod jej nogi.

— O czemuż nie trafił?! — zawołało jej biedne serce.

Gdy księżę, przeprowadzony przez Sewera, wyszedł z podziemi na światło dzienne pomiędzy skaliste złomy, które wiodły w głąb wąwozów górskich, można się było przeleknąć jego twarzy, tak była posępną i razem dziką w wyrazie. Upokorzenie, jakie przeszedł, dręczyło go i zarazem domagało się w nim zadośćuczynienia — zemsty, którąby mógł wyrzucić na winnych i niewinnych. Nie było tu już Celesty, aby widok jej anielskiej, smutnej, słodkiej twarzy łagodził surowe namiętności tej natury gwałtownej, wyniosłej,

i wrzała mu w żyłach gorąca krew Batorych! Imrefi też podszeptnął mu już w czasie przebywania lochów parę rad zdradzieckich. Razem z końmi i bagażami miano tu przysłać i jego gwardyę, otóż można było arestować Sasów, którzy towarzyszyli księciu, i zrobić z nimi rzeczywiście to, co zbuntowana tłuszcza podejrzewała—zakładników. Miasto powinno było być surowo, przykładnie ukarane...

Była też chwila, w której trafiło mu to do przekonania. Gdyby był miał przy sobie wojsko, byłby je wypuścił na miasto, jak na nieprzyjacielskie—byłby je kazał rabować i palić, byłby go cieszył widok tego pożaru, krzyki rozpacz i jęki boleści—byłby się czuł dopiero podniesiony na duchu i pokrzepiony na siłach, że wstyd swój zmazał.

Ale arestować i uprowadzić z sobą młodych Sasów—to już mógł... Idąc ciemnym kurytarzem marzył o tem, jak to czynić każe, jak każe związać im ręce i prowadzić ich przy koniach gwardzistów, wiodąc ich tak przez wsie i miasteczka, które przebywać będzie. Ale w tej piersi młodej nie wygasło jeszcze wszystko szlachetne uczucie, które mu było wrodzonym i widok Sewera za wyjściem na światło dzienne, widok tej pięknej, poważnej i otwartej twarzy młodzieńca, sprawił mu w duszy mimowolną odmianę.

Przypomniał sobie, jak to na drodze do Köhalmom przyjął był po rycersku jego wyzwanie na pojedynkę, jak po rycersku się z nim rozprawił, nie korzystając ze swojej władzy książęcej, i teraz miałże postąpić z nim jak despota? Gabryel Batory zrozumiał się przed tym człowiekiem, którego znał niegdyś lepszym, szlachetniejszym. Przemogło w nim to, co było lepszem w jego naturze, i cofnął powzięty zamiar.

Ale niemniej twarz była ciężko posępna, gdyż jasny świat Boży ujrzał go, jakoby był tułaczem i zbiegiem. Sewer, który to rozumiał w młodym i wy-

niosłym władcy, stał przy nim milezący, gdy na szczęście, nadeiagnął prawie w tej chwili wysłany z miasta orszak księcia. Była na jego czele deputacya miejska. Pokornie, w smutnych postawach przeproszała księcia, lecz to zaczęło mu tylko burzyć nawo w piersi namiętność gniewną, jakkolwiek objaśniano, że ludzie obcy w celach rabunku sprowadzili to wszystko. Już kipiało w nim uniesienie, już wybuchnęło w gromkich słowach, że powróci tu kiedyś zrównać z ziemią to wierne mu miasto... gdy Imrefi z twarzą łagodnego baranka przystąpił do niego i uśmierzać gniew zaczął.

— Daruj, panie, było to jakieś nieszczęsne dopuszczenie, za które opamiętana teraz ludność pragnie się garnać do nóg władcy—a przyczyną tego było, że dowiedział się od któregoś członka deputacyi, jaki to dowód poczucia swej ciężkiej winy przysyła miasto księciu.

Przywieziono trzy tysiące dukatów w złocie i w dodatku pyszny puchar kryształowy, weneckiego pochodzenia, który był ceniony na 200 dukatów.

Batory udobruchał się też powoli. Rozbito naprędce bogaty namiot, przysłany też przez miasto, razem z zapasami żywności, którąby się książę mógł posilić na drogę. Imrefi szepnął, aby i namiot, który był bogaty i kunsztowny, od kupców tureckich przez miasto drogo kiedyś kupiony, został także własnością księcia, ale Batory tego nie uczynił. Jadł mało, pił więcej, a Sewera posadził przy sobie. Chciał z nim mówić o Celeście, lecz coś mu usta wiązało i dopiero, kiedy miano się rozstawać, wziął go za rękę i uściśnął silnie.

— Powiedz, panie komendancie kronsztadzki, najpiękniejszej, najszlachetniejszej, najczystszej kobiecie na świecie, że jeżeli przebaczam to, co mnie tu spotkało, czy to nie przez moją dla niej cześć i uwielbienie, dlatego, że to jest miasto jej rodzinne, że Sasi są jej ziomkami.

— A was, panie komendancie, proszę, abys pamiętał, że rycerz Ecsedi jest ci bratem po mieczu... Ilekroć zechcesz się z nim widzieć, ujrzysz go zawsze... Choćby go sprawy książęcego dworu oblegały najbardziej, dla waszmości zawsze on widziałuy będzie i rad cię zobaczy. Może masz mu co powiedzieć przeze mnie, to mów... Co Ecsedi z życzeń waszych się dowie, książę wszystko spełni. Mów, panie komendancie...

— Mam jedno i najpierwsze życzenie, pragnienie, prośbę... aby książę nie chował żalu do miasta, które zawiniło ciężko, ale z pobudek w gruncie dobrych... Ziomkowie Albinusa Weisza kochają go...

Przy pierwszych wyrazach książę zachmurzył się, ale nazwisko Weisza wywarło łagodzący wpływ o tyle, że przerwał tylko Sewerowi żywym skinieniem ręki.

— Nie ruszajmy tej kwestyi, panie komendancie—zawołał—niech śpi... Dla Weisza przebaczyłem już miastu.

Ale czy nie masz waszmość nie więcej do powiedzenia Ecsediemu? Pragnąłbym mu zanieść jakieś osobiste życzenie wasze...

Sewer stanął dziwnie wzruszony, rumieniec walczył mu na licu z bladością. Książę patrzył na niego uważnie, aż młodzieniec wyprostował się i posunął ku niemu bliżej, tak blisko, że dwór księcia nie mógł słyszeć, co mu mówił.

— O paniel mojem osobistem życzeniem jest takie posłanie prośby do Ecsediego, którą musi powtórzyć księciu. Niech on, rycerz Ecsedi, mężny, dzielny, szlachetny z natury młodzieniec, nie odstępuje nigdy księcia... Niech będzie zawsze przy nim blisko, tuż, tuż przy jego boku i nie dopuszcza tam złych, niecných, szkodliwych doradców, którzy są niedobrymi radcami...

— Panie komendancie...

— Wasza książęca mość kazała mi mówić. Po-

wiedzieliście, panie, że Ecsedi jest moim bratem po mieczu... O panie... niech on będzie zawsze z wami dla waszego szczęścia i Siedmiogrodu...

Batory wyciągnął rękę do Sewera i uściśnął ją mocno wzruszony.

---

## ROZDZIAŁ II.

### Alpy wołoskie.

Podnosi się, rzekłbyś, jakby człowieka chciał rozedrzeć; usta jego otwarte, oczy w pół zamknięte, jego uczucia zlały się w jedną rozkosz zemsty. Ja się go boję.

*Jules Janin.*

Czas, abyśmy wrócili do reszty osób naszej powieści. Kornis, opuściwszy zamek Geczich, pod osłoną zaufanej eskorty, jadąc głównie nocą po samotnych drogach, odwiózł żonę do Szamos-Ujvaru, gdzie wówczas przebywał Stefan Kendi ze swą dumną, obrażoną przez księcia małżonką.

Kendiowa, choć z pewną ceremonialnością, przyjęła jednak Jadwigę szczerze i gościnnie. Mimo dumy i chłodu, z jakim się na wszystko, a więc i na cnotę zapatrywała, serce jej nie było do tyła zimne, ażeby prawdziwe nieszczęście nie znalazło w niem współczucia. Nadto w obecnem położeniu tych dwóch dostojnych pań było pewne podobieństwo. Jadwiga, wskutek lekkomyślnego zachwalstwa księcia, była narażona na dwuznaczne szeptu w całym Siedmiogrodzie, delikatna, szlachetna jej dusza z odrazą spoglądała wstecz na to, co się stało: zemsta leżała po za granicami jej uczuć. Uspokoić męża, załagodzić wrażenie nieszczęsnych wypadków, przyprowadzić do równowagi stosunki domowe, było to pierwsze zajęcie

tej kobiety, którą mąż kochał i ubóstwiał i której słusznie ufał bez granic. Taką słodką, tkliwą naturą obdarzona kobieta, jak łatwo pojmiemy, unikała wszystkiego, co mogłoby męża rozdrażnić, gdy się oddalał, płakała w duszy, lecz oko jej było suche i ani jednej łzy nie wylała. Przed odjazdem tak go łagodziła słodyczą swej miłości, tak miękczyła jego w strapieniu i rozdrażnieniu stwardniałe serce, że nieraz przychodziło mu na myśl, czy nie lepiej pozostać póki się da w ukryciu, lub z tym skarbem swoim najdroższym nie rozstawać się nigdy—wszędzie i zawsze mając go przy sobie, czując jego obecność przy sercu. Tysiące niebezpieczeństw, jakie łączyło w sobie jedno i drugie postanowienie, zmusiły go do zarzucenia obu planów tak, że opuszczał Siedmiogród samotnie, ażeby przecież wkrótce powracać, na krótko tylko od ukochanej kobiety się oddalając. Jadwiga rozweselała dziką górską samotnię ich pobytu, rozlewała czar i ciśnię w smutnem i pełnem niebezpieczeństw ukryciu.

Kendiowa przeciwnie, zawsze dumna, zawsze zima, cierpiała inaczej. W piersi jej wrzała ciągła walka. Czuła się wciąż obrażoną i gniewną i pragnęła zemsty. Myśl, że Batory śmiał ją upokorzyć, że chciał jej pokazać, jak władca Siedmiogrodu ma prawo do uśmiechu wszystkich kobiet i uległości mężczyzn, co chwila burzyła jej krew w żyłach; dość było jej przypomnieć sobie scenę ostatniego z nim widzenia, aby wszystka ta krew uderzyła jej do głowy. Mężowi wciąż rzucała w oczy przypomnienie, że obrazy takich słów upokarzających, jakie ona usłyszała, jeszcze ród Kendich, ród dumny i nieubłagany nigdy, o! nigdy nie doznał dotychczas, a jednak jeszcze jej nie pomszczono. Czyż Batory nie ich rodowi i ich krewnym zawdzięcza swe wyniesienie?

— Sandor Kendi nie takby postąpił, nie takby zniósł tę obelgę!—wołała.—Na Boga! jeżeli wy, mężczyźni, gnuśni jesteście, to ja zacznę działać. Godność moja, to nie moneta zdawkowa słów — nie pycha,

nie maska, ale prawda! Jeżeli Kendi jest bohaterem, a każda Kendiowa może pozostać dumną i niezawstydzoną, wtedy ja też chcę Kendiową pozostać!

Kobieta dobrze знаła swego męża; i gdy chciała czego dopiąć, zawsze kuła żelazo, póki było gorące. W Kendim wrzało także obrażone uczucie dumy i czci dla swego rodu. Dawno już knuł on w myślach zemstę przeciw Batoremu, który lekceważył Kendich, choć byli oni zawsze na czele wśród najcięższych harców wojennych i wszelkich ojczyzny swej niebezpieczeństw. Ale Stefan, choć gorącego temperamentu na pozór, należał do tych, którzy długo rozważają i ze wszech stron każdą sprawę rozpatrują, zanim przystąpią do działania. Skoro jednak postanowił cokolwiek, szedł i nie cofał się nigdy, jego chęć zemsty była tem zaciętszą, plan ten w ukartowaniu swem bliższy zamierzonego celu, im dłużej się przygotowywał, im dłużej się z myślami swemi i uczuciami tał.

Wspólne nieszczęście wytworzyło między Kendiową i Kornisową pewien stosunek siostrzany. Były uczucia, które je łączyły, były jednak i takie, które je odpychały od siebie, ale łagodna Jadwiga, tuląca się pod opiekę Kendich, jak najmocniej unikała sporów, które musiały powstawać wskutek różnicy charakteru obu tych kobiet. Ustępowała więc łatwiej, niż Kendiowa. Łagodność jednej i zimna duma drugiej dziwny kontrast wytwarzały. Ale Jadwiga ze smutną, bladą twarzą, w prostym domowym odzieniu, nie była już przedmiotem zawiści Kandiowej, jak to było niegdyś na dworze. Jednak Stefanowa Kondi zazdrościła Jadwidze jej słodkiego usposobienia, jej cichego charakteru. Nieraz mówiła do siebie:

— Ona, to anioł, ja lwica, która się szarpie w pętach losu...

Więc też mimo sprzeczności usposobień, zachodzącej między gospodynią i gościem, stosunek był serdeczny i przyjazny, nietylko na oko. Kobiety te po-

kochały się już nie jak bratowe, ale jak siostry, gdy ich mężowie, jak bracia, godziuami całemi przesiadywali z sobą w naradach, w planach zamierzonych czynów i często milknęli nagle, gdy żony zbliżały się do nich. Lecz wtedy Jadwiga patrząc na nich, drżała, Kendiowa uspokajała się właśnie w gorączce, która paliła jej serce.

-- Budzą się nareszcie duchy mężkie — mówiła z dumą i kładła pocałunek na czole męża.

— Brat mój pcha Baltazara na niebezpieczne drogi — myślała z żalem Jadwiga i smutnie dotykała ją myśl, że mąż coś przed nią ukrywa. Była dumną w jednym tylko kierunku, w tem, co dotyczyło jej serca, jej miłości żony.

— A czyż i ja nie milczałam niegdyś długo — uspokajała się. — Czyż i ja nie miałam tajemnicy przed tym oblubieńcem mego serca? Ach! życie jest ciężkie, bardzo ciężkie... ale proste drogi są najlepsze. Może gdybym była nie kryła nic przed mężem, gdybym nie chciała być mądrą na własny sposób, rzeczy byłyby się obróciły inaczej, nie byłoby doszło do ostateczności okrutnej? Chciałam załagadzać wszystko i cicho złe odsuwać, aż doczekałam się burzy...

Częste listy, częste kuryery przybywały do Szamos-Ujvaru. Basa, Senney, Barbely i inna szlachta Siedmiogrodu często odwiedzali Kendiego. Trwały między rycerstwem jakieś rozprawy ciche, były jakieś szeptki, czyniły się jakieś przygotowania.

Twarze mężów, starszych zwłaszcza, bywały rozognione, oczy błyskały; czuć było, że burza groźna, straszna burza wisi w powietrzu.

Pewnego ranka po odjeździe gości Kendi i Kornis pożegnali się z żonami.

— Na krótko — mówił Kendi — lecz Kornis żegnał się długo.

W Szamos-Ujvarze pozostał na straży tylko ów stary Ambroży, który ongi przybiegł pierwszy na głos

dzwonu trwogi. Zostawiono go z dość liczną gromadą zbrojnych, których miał pod sobą.

W kilka tygodni potem Kendi, Basa, Sennyer i liczne zebranie jakoby myśliwych, kręciło się na dzielnych rumakach po lesistej dolinie havaskiej. Na twarzy jaśniała im weselość, a ich broń strzelecka, sfory psów, psiarczyki z długimi rogami, tornistry na ramionach pieszej służby, wszystko to wskazywało, że panowie jechali bawić się łowami...

Dolina, której środkiem ciągnęła malownicza grupa jeźdźców i pieszych, znajdowała się między wysokimi śnieżnymi górami, które w Siedmiogrodzie zowią Havas (Śnieżne Alpy).

Alpy wołoskie od wielu wieków zamieszkuje prosty, ubogi i półdziki jeszcze lud, który zwano też na Węgrzech Mokány (dzicy); nizki, krępy, silny ten ród górski, łączył w sobie właściwości Szeklerów i Wołochów. Pod względem zwyczajów, odzieży, sprzętów domowych, najsurowsze to było plemię ze wszystkich mieszkańców Siedmiogrodu. Gospodarstwo ich polegało na hodowli bydła rogatego i kóz, których mleko i mięso ich karmiło, jak karmi i dziś jeszcze, a skóra odziewa.

Już w piętnastym roku życia młody Mokán z lichą dziś bronią, lecz na owe czasy bardzo dobrą, z piką o mocnem żelazcu szedł w lasy na niedźwiedzia. Byli pomiędzy nimi tacy, którzy na pojedynek, z największem niebezpieczeństwem życia, walczyli z tym zwierzem silnym i dzikim, zwyciężali często, lecz nie jeden ginął.

Niektórzy po dziś dzień w wolnych chwilach zajmują się wyrabianiem naczyń drewnianych i wiozą je na jarmark do Kolosvaru, lub innego pobliskiego miasta. Lecz szczególnie w owe czasy wielu było między nimi takich, co nigdy ze swej doliny nie wychodzili i stanowiła ona dla nich świat, bo innego nie znali.

A o ile ponury, dziki i odpychający był widok

tej doliny zimą, o tyle wspaniały i rozkoszny latem i wiosną. Ze wszech stron zielone lasy, wysokie pnie drzew, szumiące potoki, tryskające ze skał źródła ukazują się wędrowcowi.

W pieczarach i przepaścistych wąwozach, z roku na rok gromadzą się tam zapasy śniegu i badacz może poznać liczbę lat ze skamieniałych niejako warstw tego śniegu i zeschniętej trawy, znajdowanej wśród jego pokładów, gdzie się na naniesionej przez wiatr ziemi co lato puszcza.

Kawalkata myśliwców nie badała przecież natury. Droga, którą jechano, była wązka, niewyjeżdżona, miejscami wznosiły się na ścianie wąwozu wysokie dęby. Rozpadliny jej tu czerwone od pirytu, tam pstrzyły się różnobarwnie od żwiru. Nieraz spadziste zbocza gór z tysiącznemi załamaniem, z głazami, które zdawały się staczać w dolinę, były podobne do wspaniałego gotyckiego zamku. Tak było na prawo i na lewo, w odległości kilkunastu sążni płynęła rzeka, teraz słabo lodem ścięta, a nad jej brzegiem strzelały w niebo wysokie pnie wiecznie zielonych jodeł i świerków.

Nad brzegami tej górskiej rzeki rozłożył się obóz myśliwców. Zdala już słyszeć było głuchy szum rozmów, granie rogów, szczekanie psów. Na odległość 20 do 30 sążni widać było z drogi wysokie namioty panów, w pośrodku żarzyło się ognisko, a naokoło niego rozstawione były ławy i zydle, pokryte dywanami; na boku stał wóz, koń, o zwolnionej cokolwiek uprzęży, pożywiał się owsem z worka, zawieszonemu na szyi. Tu i tam widać było biedne chaty mokanów, a ci wychodzili z izb swych, ciekawością wiedzeni, i przyglądali się barwnie ubranej szlachcie, kobiety w białych płótniankach, siedząc z kądzielą przeddrzwiami, śpiewały smętne pieśni górskie.

Wśród namiotów jeden wyróżniał się zbytکو-wniejszem urządzeniem, a naokoło stali zbrojni rycerze. Przybliżywszy się, można było poznać między

nimi Kornisa, na zrębie skały siedzącego koło ognia. Łokcie oparł o kolana i głowę skrył w dłoniach; na twarzy jego był smutek, którego może nie chciał pokazywać, ale była tam i powaga; wyglądał jak ktoś, co zamyśla wykonać czyn przykry, lecz konieczny. Wreszcie wstał; zdawało się, że jakiś promień radośny zabłysnął mu na licu.

— Bóg z tobą, bracie Kendi, i z wami, przyjaciele! — zawołał na powitanie przybywających.

Myśliwcy zeskoczyli z koni, z uścisków rąk łatwo było poznać, że się tu wszyscy znają. Zanim służba nowe namioty rozbiła, panowie zebrali się w namiocie głównym, zaopatrzonym w ławy i dywany, i prowadzili żywą rozmowę. Że nie tylko polowanie ich tu sprowadziło, łatwo się czytelnik domyśli.

Na górach jeszcze ciągle błyszczał śnieg, niby srebrny kołpak; w dolinach jednak powiewał już cichy wietrzyk wiosenny. Niemniej gorzało kilka ognisk w obozie i myśliwi skupili się koło ich ciepłych promieni. Obiad odbywał się wesoło. Wino zarumieniło twarze, rozwiązało usta. Zebrani mówili otwarcie o troskach swych, obawach i nadziejach. Słychać było jednak śmiechy i toasty; echa głośniejszej rozmowy odbijały się o góry.

Przed ogniskiem chodził tam i napowrót wysoki strażnik, śnieg sypał mu się pod nogi. Tymczasem niewyraźną drózką wśród rozpadliny w skale, szedł mały, krępy człowiek; ciemna cera twarzy, mimo nie dających się rozróżnić w dalekości rysów, wskazywała, że to cygan. Szedł śmiało przed siebie, lecz często oglądał się na prawo i na lewo i przystawał co chwila. Ktoby lepiej mu się przyjrzał, mógłby zobaczyć, że jedno oko miał zawiązane czarnym bandażem, odzież była zwykła cygańska: widać było już zdaleka czerwone, stare spodnie, które ozdobił szeroki złoty galon i płaszcz z lisim kołnierzem. W ręku niósł strzelbę nabitą, a przez plecy wisiała mu torba z naboja-

mi. Kierował się ku obozowi i bez zmieszania, z wesołą śpiewką na ustach zbliżał się do celu.

— Kto idzie?—zawołał strażnik.

— Uczciwy człowiek—odparł zapytany.—Chciałbym zgodzić się u waszych panów za naganiacza. A kto poluje? Czy duże to są łowy?

Strażnik odpowiedział krótko, lecz przyjaźnie. Był szczęśliwy, że może z kimś pomówić.

— Siadaj, bracie—rzekł.—Chętnie tu przyjmują każdego, bo im więcej ludzi, tem lepiej.

Cygan wyjął okrągły bochenek pszennego chleba z torby, nie częstując wcale strażnika, który pożądliwie nań patrzył.

— A dużo wytropiliście niedźwiedzi? — zapytał tylko.

— Jednego widzieliśmy wczoraj, ale jakoś zbieramy się powoli.

— Co? — zapytał obcy.— A jak dawno panowie tu przyjechali?

— Już z tydzień siedzimy, ale panowie jedzą i piją i mało myślą o łowach.

— Przecież złowili już trochę dziczy?

— Tak! — odpowiedział strażnik obojętnie, chciwym wzrokiem przyglądając się białemu chlebowi cygana. Czy nie przyniosłbyś mi, przyjacielu, trochę wody z rzeki? Oto garnek. Jestem spragniony i głodny, a nie wolno mi się ruszyć z miejsca.

— Masz tu wódkę i kawał chleba — rzekł cygan.—Wódka lepsza niż woda. Skosztuj.

Strażnik chciwie łykał ognisty płyn, lecz cygan, nie chcąc, aby się upił, flaszkę prędko wziął mu z rąk. Niemniej flaszkę ta zaprzyjaźniła ich, język strażnika rozwiązał się teraz. Rozmawiał z przybyszem tak, jakby się z dziesięć lat już znali.

Gdy nowy sztyldwach zastąpił jego miejsce, cygan, już jako dobry znajomy, został do obozu wprowadzony i po przyjacielsku zabawiał się gawędką. Na-

zajutrz rano znał się już ze wszystkimi i dowiedział się o wszystkim, co się tu działo tydzień i dwa tygodnie temu.

Po śniadaniu Kornis, Kendi, Basa i Borbely, oddaliwszy się od reszty kompanii, poszli niby przechadzając się, w stronę wiatraku, gdzie przystanęli, rozmawiając półgłosem.

— Czy wiesz, bracie, napewno, że Batory jedzie do Besztercze?—pytał Kornis.

— Tak... wiem to z pewnością — odrzekł Barbely.

— W takim razie napadnijmy go w bliskości Szeku, najlepsze to miejsce potemu—zawołał Basa.— Przedewszystkiem nie robić hałasu. Znajdę człowieka, który za dobrą nagrodę sam się tej sprawy podejmie.

— Otwarcie działać!—zawołał Kornis.— Na Boga! niech nie słyszą nas, ludzi uczciwych i rycerzy, mówiących o podstępie zbojeckim.

— Czyż on nie czyni tak właśnie?—odparł Barbely.— Czy jego napady nie są również niespodziane i zdradzieckie? Ale Baltazar ma słuszość, my powinniśmy być wyżsi od niego. Działajmy otwarcie.

— Mnie pozostawcie napaść! — rzekł dumnie Kendi.

— Batory jeździ zawsze z licznym orszakiem—zauważył Basa.

— Jedno słowo, przyjacielu—przerwał Kornis.— Batory jeździ w orszaku, wiemy o tem. Nocą lub w namiocie najłatwiej byłoby go schwytać. Jest to rodzaj wojennego podstępu, który nie bywa beprzykładnym. Lecz ja zawsze stoję przy swoim, że w takim niespodzianym napadzie jest pewna podłość. Nie usuwam ja podstępu z planu bitwy, bo przecież cała strategia jest do pewnego stopnia podstępem, ale nie rad tego używam. Pragnąłbym teraz, abyśmy się spotkali z Batorym w otwartym polu, właśnie gdy jedzie z całą świtą swoją, i otwarcie, jak rycerzom przystoi, wzięli go do niewoli.

Kendi przecząco kręcił głową.

W tej chwili więcej osób zbliżyło się do rozmawiających.

Jerzy Kornis, brat Baltazar, młody, porywczy człowiek, mający za sobą Basa i Barbely'ego, oraz wielu innych, przenieśli narady na inny grunt. Ująć księcia, to był krok pierwszy dopiero, ale trzeba było wiedzieć zawczasu, kogo na miejsce Batorego powołać na tron książęcy.

— Bracia! — zawołał Kornis — porzućmy teraz tę kwestyę, bo unikać nam trzeba wszystkiego, co by nas przez różnicę zdania dzieliło. Jest w Siedmiogrodzie niejeden mąż, który stu takich jak Gabryel Batory zastąpi. Mówmy raczej o tem, co pocniemy, gdyby się plan nasz nie udał, lub gdyby poszedł inaczej, niżesmy obliczyli?

— Uda się! Musi się udać! — zawołał dumnie Kendi.

— A jeżeliby losy zechciały zawieść nas, toć dość obszerną jest sąsiednia ziemia węgierska, ażebyśmy się w niej pomieścili.

— Tobie — rzekł Barbely, zwracając się do Kornisa — skonfiskowano wszystkie dobra, słudzy księcia już się niemi podzielili. Czy uniosłeś choć cokolwiek?

— To co mam najlepszego — odparł Kornis — ukochaną kobietę i męstwo swoje!

— Jeszcze coś więcej — dodał Kendi. — Wiedz bowiem teraz, lecz nie dziw się, proszę, żem o tem zapomniał powiedzieć ci wcześniej, a to, że większa część twoich skarbów jest w moich rękach.

— Jak to?

— Zgadnij, kto wywiózł je z Udvarhely, bez niczyjej wiedzy?

— Nie mogę się domyśleć.

— Marta Szintajowa.

Twarz Kornisa pokryła się płomienistym rumieńcem na wspomnienie tego nazwiska. Wszystkie smu-

ne wypadki, które zmusiły go do opuszczenia książęcego dworu, które sprowadziły następnie okrutną scenę nocnej wyprawy księcia na zamek Udvarhaly, stały mu przed oczyma.

— Marta Szintajowa!—myślał wzruszony.—Szintajowa знаła tajemniczą kryjówkę skarbcza mojego i uratowała, co tam było, przed złoczyńcami! Czyżby w ten sposób chciała swój nędzny postępek wynagrodzić?

Z drugiej strony wieść o tem, że odzyskał znaczną część majątku, padła mu na serce ciężarem prawie i zasmuciła go mimowoli—podkopywała jego plany. Stał milcząc i w dal spoglądał, potrzeba mu było chwili jakiejś, aby wróciła mu równowaga uczuć i twarz przybrała zwykły stanowczy wyraz. Lecz tymczasem narady się skończyły, radzący rozeszli się i pozostał tylko Kendi z Kornisem.

— Bracie!—zawołał Kornis. — Niebo mi świadkiem, że serce moje jest niezmienione i jestem gotów do wszystkiego, co odemnie mają prawo żądać współziomkowie moi, ale przyznam ci, żem osłabł nagle w mej nienawiści do Batorego. To nie Marta zdołała uwieźć tajemniczo mój majątek ruchomy, bo rzecz jest niemożliwa do wykonania przez nią, ale Batory użył jej za tajemnicze narzędzie tej restytucyi. Tak! i dodam ci do tego wyznanie jedno. Ten człowiek nie jest tak podły, ile raczej szalony i zepsuty przez zauszników i pochlebców, którzy czynią z niego narzędzie powolne ich zdzierstwa i łupieżstwa. Namiętny jest i despota — tego nie przeczę, ale na dnie jego serca zostało coś z rodowej cnoty Batorych. Prócz tego jest mężnym, tkwi w nim ta szlachetność, że chciwym nie jest i może żałować swych złych postępków; leży mu to na sercu, że uczynił ze mnie nędzarza i użył dawnej sługi naszej, aby mi zwrócić część mienia mego. Jest to zawsze uczucie, choć do pewnego stopnia szlachetne.

— Kto ci to powiedział?—zawołał teraz Ken-

di gniewliwie. — Sądysz go według siebie, albo nie czując sam tego, słabniesz... Żal ci odstąpić żony i puszczać się na przygody, które was mogą na czas jakiś rozdzielić. Jesteś rozkochany, jak młodzienia-szek.

— Kiedyś mnie widział takim?—zapytał dumnie Kornis.

W tej samej chwili, spojrzawszy w stronę obozu, zobaczył Kornis myśliwców zbitych w gromadę i wrzawa jakaś dobiegała ich uszu. Ponad tem wszystkim górował ostry głos człowieka, który, jak się zdawało, chciał się wyrwać z zatrzymujących go rąk.

— Co to?—zawołał Kornis.

Kilku panów bieгло już też do nich. Basa i Berbely wzywali ich gestami. Więc też Kornis i Kendi szybko zwrócili się w stronę obozu i stali się świadkami dziwnej sceny. Cygan, który zeszłej nocy zapoznał się ze strażnikiem i który, jak wiemy, jedno oko miał przewiązane bandażem, w potarganej odzieży, z zerwanym z ramion płaszczem, który tylko ręką przytrzymywał, z gołą głową i, co najważniejsza z parą zdrowych oczu, stał w pośrodku krzyczącej gromady ludzi. Myśliwi uważnie mu się przypatrywali: jedna część śmiała się, inni wymyślali mu, gdy inni jeszcze groźnie się marszczyli, choć pozornie nie mieszały się do rzeczy — wszyscy jednak byli tu skupieni i zajęci wypadkiem.

Gdy Kornis i Kendi zbliżyli się, nastąpiła cisza chwilowa.

— Cóż to się stało? — zapytał Kornis, zbliżając się.

— Szpieg! szpieg! — dało się słyszeć ze wszęch stron.

Basa przystąpił do cygana.

— Kto jesteś, łotrze?—zapytał.

Cygan z otwartymi ustami i przymrużonym okiem patrzył na niego.

— Na Tatarą!—zawołał nagle Basa.—Toż to Dimon, sługa księcia!

— Sługa?—zawołał cygan najpierw dumnie, potem żałośnie — sługa książęcy. Jestem biedny skrzypek, chciałem się tu zgodzić ze naganiacza zwierzyny, księcia nigdy nie widziałem na oczy.

On to był jednak—dworski Batorego, jakkolwiek bardzo umiejętnie przemieniony w cygana. Z barwy twarzy wyglądał na prawdziwego cygana, nawet był ciemniejszy, niż wypadało, włosy były czarne, jak węgiel, i trudnoby się było w nich domyśleć jasnych kędziorów Dimona.

— Czyżby to był Dimon? — szło z ust do ust niedowierzające zapytanie.

— Tak, to on!—poparł twierdzenie Basa, patrząc w błyskające dziko oczy chłopaka. Znam tego łotra, zwiążcie go.

— Na pierwszą gałąź z nim — zawołał Kendi, wzburzony zemstą.—Sznura dawajcie!..

Dimon pochylił się w komiczny sposób i zapytał niby pokornie:

— Sznura? Niech jaśni panowie puszczać, to ja już sam wejść na drzewo i powieszę się bez trudu dla jaśnie panów. A... a... — dodał, zmieniając nagle pokorę na szatańską zuchwałość — witam pana, panie Baltazarze Kornis, mężu wiernej madonny Jadwigi. A i waszmość pana tu oglądam, panie Stefanie Kendi! Do pioruna! żona jego wielmożności tęgo umie dzwonić... kiedy gość nie bywa dość układnym galantem. A i mościwych panów tu widzę, panów a dobrodziei moich: Basa i Borbely! Czy i wy też chcecie łotra powiesić? Do stu Tatarów! Od jak dawna, zacni rycerze i dygnitarze, pod tamtym oto wiatrakiem knujecie spiski przeciw tronowi?

Kiedy cygan z tak niesłychanem zuchwalstwem zwrócił się do rycerstwa, usta służby rozdziawiły się szeroko, lecz oblicza panów zapłonęły ogniem gniewu i oburzeniem.

— Łotrze! — zawołał Kornis. — Z głosu poznać derkacza! Na gałąź z nim!

Dimona otaczało teraz koło rycerzy z groźbami na ustach, a Basa uchwycił go silnie za kołnierz, lecz w tejże chwili wydał on taki dziki i przeukliwy ryk, że mimowoli wszyscy drgnęli, on zaś w tej samej chwili z zadziwiającą zręcznością i szybciej od błyskawicy, wywinął się tak z fałdów płaszcza, że Basa, straciwszy nagle równowagę, zachwiał się na oka mgnienie, lecz w rękę Dimona zabłysnął równocześnie pistolet, który skierował prosto w pierś Basy i zarazem w podskoku podobnym do rysiego, rzucił się naprzód, przerwał łańcuch rąk, które go chciały zatrzymać i biegnąc, jak strzała, stanął nad brzegiem przepaści. I jednej sekundy czasu to nie trwało, i oto, jak dziki kot, zuchwałym skokiem naprzód się rzuciwszy, znalazł się na drugim brzegu przepaści.

Kilka łuf pistoletowych skierowało się za nim, ale już zastroniły go mury zielonych jodeł i świerków.

### ROZDZIAŁ III.

#### Polowanie na ludzi.

Ze wszech stron błyska oręż:  
Pancerze, chorągwie, piki.  
*K. Kisfaludy.*

— Strzelać! strzelać za nim w gąszcz! — zawołały liczne głosy, gdy inni biegli z pikami, używanymi na niedźwiedzia, i kłuli naoslep przed siebie. Naoslep też ścigać było trzeba zbiega, lecz ten był już wysoko na spadzistym stoku góry, na którą się wspinał. Jedną nogą zdawał się zapadać w głębokie zasypanie śnieżne, drugą ciskać się niby na szczyty jodeł, których przecież tylko się chwytął za gałęzie. Od czasu do czasu wydawał w szyderyczym zuchwa!stwie dziki,

przeraźliwy świst, który stokrotnem echem powtarzały góry.

Dzięki zręczności i szybkości uciekającego, nikt ze ścigających, czy to kulą, czy dzidą, trafić w niego nie mógł, jakiś zły duch bronił go i obronił od śmierci.

Zbieg, raz jeszcze gwizdnawszy, czem dawał komuś znać o sobie, nagle przystanął, jak gdyby chwytając w piersi powietrze, lecz naraz rzucił się w szalonym rozpędzie naprzód i znów przeskoczył jedną przepaść więcej, aż w ten sposób znalazł się na odłamie wysokiej skały, po której zaczął się drzeć wązką spadzistą drożyną, wydeptaną przez łowców tak zaświętych, że aż tam ścigali zwierzynę.

— Dawajcie mi moją strzelbę turecką!—zawołał Kendi. — Dziwnemby było, gdyby go kula moja teraz nie trafiła.

Przyniesiono broń w oka mgnieniu. Była to długa, srebrem i złotem grawirowana fuzya, która wyrzucała kule na nieprawdopodobną odległość.

Kendi opatrzył ją i w końcu zaczął celować z wielką uwagą, a Dimon, czy cygan, lub szatan, był właśnie, jak gdyby na celu, bo prawie na szczycie góry, na której drugą stronę chciał się spuścić. Kula w tej właśnie chwili poleciała przez powietrze i cygan zachwiał się, upadł nawet na ziemię, ale zaraz się z niej porwał, choć nie bez wysiłku i pochwyciwszy oburącz ogromny kamień, rzucił nim ku myśliwcom w dolinę; naturalnie jednak kamień stoczył się w przepaść.

Nagle wydało się myśliwcom, że jakaś srebrna wstęga ciągnie bokiem tego obrazu przez stok górski, a blaski jej łączą się w malowniczy sposób z promieniami wschodzącego słońca. Słychać było w oddali tętent i rzenie koni, ale nie brzmiał żaden głos ludzki.

Wkrótce zjawisko zaczęło stawać się wyraźniejszym: miecze i dzidy były tem, co lśniło, jak srebro,

a znajdowały się one w rękach wysokich, po żołniersku ubranych drabów. Wkrótce potem cały stok góry okazał się pokryty szeregiem żołnierzy, którzy w po-grzebowej ciszy szli naprzód, patrząc w dolinę.

— Zdrada!—zawołał Kornis.

Myśliwcy zostali nagle zaskoczeni i, zdawało się, z wielu stron naraz, lecz nie stracili ducha.

— Do broni! — rozlegał się krzyk, lecz Kornis wołał najdonośniej:—Bez popłochu tylko... bez popłochu!... niebezpieczeństwa niema! Znam wszystkie kryjówki w całym pasmie gór Havas! Bracia! — zwrócił się do dowódców — ustawcie w szeregi każdy swój oddział!

Po chwili wszyscy byli pod bronią i stali w szyku bojowym.

— Za mną! — wołał zawsze Kornis, czyniąc się wodzem zaskoczonych i oszołomionych.—Za mną...

I wszyscy też ruszyli za nim przez ciasny wąwóz, przez srebrną rzekę, postępując w wyż, gdzie na płaskowzgórzu stanął batalion dobrze uzbrojonego wojska. Na czele jechał Batory. Jego arabski koń przystrojony był raczej do paradnych łowów, niż na bitwę; złożone trenzle błyszczały w promieniach słońca; rumak rzeniem witał nadchodzących. Na Batorym była lekka, bogata suknia, wiszący u boku miecz i dwa pistolety w siodle stanowiły całą jego broń.

Imrefi jechał obok niego, dalej kilku z dworzan, a za nimi liczny oddział wojska. Książę stanął nie dalej, jak na odległość jednej staj od Kornisa. Twarz jego była wesółą, w całej jego postaci przebijała się jakaś książęca niedbałość i pewność siebie. A prztem nie zdawał się być ani trochę spotkaniem Kornisa zadziwiony, i spiąwszy konia ostrogą, popędził ku myśliwym. Imrefi ze złośliwym uśmiechem na twarzy sadił przy boku księcia.

Wojsko księcia było uszykowane na wzgórzu, włócznie i dzidy jeżyły się lasem żelaznym.

Oddział Kornisa przystanął po przebyciu rzeki.

Za wodzem, to jest za Baltazarem Kornisem, znajdowali się co przedniejsi myśliwi, razem z jego bratem Jerzym Kornisem. Kendi, trochę dalej, zdawał się oczekiwać wyniku spotkania, samotny.

Wreszcie książę przystanął; był teraz już oko w oko z Baltazarem Kornisem i patrzyli na siebie.

Oddziały tych dwóch wodzów wielce różniły się z sobą; garść ludzi, którymi dowodził Kornis, okazywała przestrah i niespodziane zdumienie; szeregi księcia przeciwnie, były zadowolone i jakby krwi spragnione. Cudny obraz przedstawiała natura: na tyłach książęcego wojska były śniegi i lody, jak gdyby mające runąć na niego, gdy zalęknione i nieliczne zastępy tych, których zwano buntownikami, stąpały po świeżej, bujnie wyrastającej młodej trawie.

— Witamy waszmościów—zawołał wesoło Batory—witamy was, mości Kornisie i was, mości Kendi, i was wszystkich, wierna moja szlachto siedmiogrodzka, witamy was...

Tu książę zdjął czapkę czerwoną z obłożeniem rysiego futra.

— Szcześliwych łowów życzę waszmość panom. Al i panowie Basa i Berbely też są tu! Czemuż mi znać nie daliście, że się tu bawicie? Byłbym przyjął udział w waszej zabawie.

Niepodobna opisać osłupienia sprzysiężonych. Domyślali się, a nawet wiedzieli napewno, że zostali zdradzeni, lecz widzieli i to, że Batory był prawie bezbronny.

Jednakże to właśnie wiązało im ręce.

Rycerski Kornis był pierwszy, który postanowił nie korzystać z tej nieopatrzności księcia. Kendi jednak ponuro mu zaprzeczał, wskazując na siodło, w którym ukryte były dwa pistolety. Cichy szept przebiegał oba wojska; oblicza były blade, oręż gotowy do boju.

Na ustach księcia igrał rodzaj szyderczego uśmiechu. Imrefi również do uśmiechu wargi złożył i z dzi-

kiem zadowoleniem patrzył na rycerzy osłupiałych i ostawionych niemal bez wyjścia.

— Cóż to milczycie, waszmoście?—zawołał Batory nie gniewnie, lecz obojętnie. — Czyż nie raduje was widok tych świątecznie przybranych hufców moich? Czy widzicie naganiaczy, których przywiodłem na łowy? Na Boga! Łowy to będą prawdziwie alpejskie... Co się zowie męzka zabawa! Niedźwiedz i ryś spotykać się tu będzie na każdym kroku. Czyż nie tak, mości panowie, a szczególnieji mili mi, Paltazarze Kornis i Stefanie Kendi? Powiedzcież, czy nie chętnie podzielicie się ze mną harcami waszemi? Cóż, milczycie?

— Niespodziana radość ich oniemia—odezwał się Imrefi. — Iluż niedźwiedzi ubiliście, panowie bracia? Jak się zdaje, ciężkie musieliście staczać boje, gdyż pobledliście jakoś, od niewygód snadź i strudzenia.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się dalej. — Może zamiast niedźwiedzia z rozpadliny górskiej wypadł na was dumny, młody lew i, najeżywszy złotą grzywę, rzucił wyniosłe królewskie spojrzenie na tych, co się na jego śmierć sprzysięgli?

Kornisa oniemiała tylko ważność chwili, lecz nie wywołała mu w duszy przerażenia. Miecz Batorego był jeszcze w pochwie, a to, co mówił dotychczas, nie było obrażającym; oblicze Baltazara, wyrażające pogardę i zimne męztwo, zwróciło się wyniosłe ku Imrefiemu, który, nie mogąc znieść tego wzroku, spuścił naraz oczy. Lecz książę posunął się z koniem i stanął oko w oko z Kornisem.

— A — zawołał — i karabinek wzięłeś waszecz z sobą. Pyszna broń, lecz na polowaniu raczej ozdoba to, niż użytek.

Gdy książę z podziwu godną zimną krwią tak mówił, stając jakoby sam jeden naprzeciw razem nieprzyjaciół, oddziały jego wojska powoli coraz niżej schodziły i zaczęły tworzyć szerokie koło, które coraz bardziej zbliżało się ku spiskowym i stawało się co-

raz gęstsze i coraz silniejsze. Przybywało ksiązęcego wojska, nowe zastępy zstępowały z góry za plecami tych, którzy posuwali się naprzód.

— Strzelcy, których przywiódłem—rzekł ksiązę z uśmiechem — patrzą na waszmościów, jak na niedźwiedzie i coraz ciaśniej was osaczają, ale dlaczego stoicie, jak posągi kamienne? Objasnijcież mi to, mozem przybył nie w porę?

— Przyjacielu Kendi—zawołał Imrefi—przywitajże księcia. Wy tu przecież gospodarze, a my goście? Cóż to milczy i nasz piękny Kornis i dzielny Kendi, mężny Basa i Borbely—wszyscy. A! pan, panie Jerzy Kornis, także niemy jesteś? Wesóło się przecież odezwij, mój przyjacielu!

— Jam twój przyjaciel? — zawołał Jerzy z porywczością młodego wieku.—Nędzniku! Łotry i zbrodniarze są twoimi przyjaciółmi.

Uniesiony młodzieniec podniósł w górę pistolet, mierząc w pierś Imrefiemu; ten, nie tracąc przytomności, uczynił to samo, ale żaden nie pociągnął kurka.

— Jak myślisz, Imrefi? — rzekł ksiązę, zwracając się ku faworytowi—czy dużo jest zwierzyny w tej kniei? Ci panowie na inne łowy liczyli, a to my całą gromadą zjeżdżamy do nich.

— Przybywamy, mości ksiązę, do zdrajców, do królobójców, ambicyuszów, z których jeden chce osiąść na tronie waszym, o panie mój! — wykrzyknął Imrefi, jakoby gwałtownie uniesiony uczuciem miłości i wierności dla księcia.—Ale mówcie, zacni elektorowie, kto tu jest elektem, w kim mam powitać przyszłego księcia Siedmiogrodu? Czy w tym suchym, twardego serca drabie?—dodał wskazując zuchwale na Basę.—Czy może w waści, mosanie Kornis? Ale dla Boga, za czułym małżonkiem jesteś wasze, choćby ci poddani twoi siadali na nosie, nie ruszyłbyś się od pięknej Jadwigi i czuwał, aby żaden zły wiatr nie zawiął w dolinę, kędy przebywa. A może to Kendi ma być

księciem? O Kendi'owie, to znów inny ród, umieją dzwonić na trwogę, aby ludzie wiedzieli, że są z nich bohaterzy.

— Zuchwały, bezecny pochlebco!—zawołał Kornis—psie książęcy, który za kość, jaką chcesz ogryść, szczekasz na każdego...

I wyjął już teraz miecz, lecz książę był ciągle zimny.

— Naprzód, dzielny rycerzu! — zawołał Batory szyderczo i grzmiąco. — Podnieś miecz swój na wiernego przyjaciela twego pana, a potem na niego samego. Co za obraz rycerskiej cnoty i wierności!

Teraz już nie powstrzymując wyrazu gniewu i uniesienia, podniósł się na strzemionach i krzyknął, obejmując wzrokiem całe zastępy powstańców:

— Zaczyna się teraz polowanie na zwierza, którego chcemy wytępić!

Podniósł do ust trąbkę, zadał w nią i zabrzmiały natychmiast miedziane trąby dowódców wojska, które, wypuściwszy nagle konie, rzuciło się na spiskowców.

Ale ci, ustawieni już w szyku bojowym, mężnie oczekiwali natarcia, jednak nie mogli go odeprzeć. Książę leciał przodem i porwał za uzdę konia Kornisa, wołając:

— Jesteś jeńcem moim, zdrajco!

Patrzył w niego dumnym, zimnym spojrzeniem, a więcej niż trzydziestu ludzi przybiegło mu na pomoc i natarli na Kornisa, który bronił się zaciekle. Nie jedna głowa krwią obłana z tułowiu spadała.

W końcu Dimon, który tylko co zdążył połączyć się z wojskiem i jeszcze w ubiorze cygana znajdował się przy boku Batorego, spadł niespodzianie z konia na ziemię, wyrzucony z siodła przez raz Kornisa, który przecież zadał mu ranę dość lekką.

— Ha! — zawołał Dimon, stając na ziemi — nie machaj mieczem daremnie, wielce dostojny panie Baltazarze. To tak na świecie... Role się zmieniają

i waszmość będziesz niedługo wisiał, zamiast biednego cygana, na którego szykowałeś postronek.

Kornis, słabnący już w okrutnym pojedynku z kilkunastu przeciwnikami, spojrział na cygana wzrokiem pełnym pogardy, a dobywszy się ostatnich, uderzył go płazem miecza w twarz tak silnie, że Dimon upadł na ziemię z zakrwawionymi ustami i rozbitym nosem.

— Baczość... oczy za siebie! — zawołał Batorego żywo, lecz bez namiętności.

Jerzy Kornis z kilku innymi biegł na pomoc Bal-tazarowi. Ale pistolet Inrefiego, o trzy kroki od księ-cia, powalił go na ziemię.

— Naprzód! naprzód!—rozległ się głos Batorego—polujemy na podstępnego, drapieżnego zwierza!... Tam, tam... huzia, huzia, tam, gdzie Kendi, Basa, Borboly, Sennyei!

Zastęp spiskowców skupiał się. Straty już były między nimi znaczne, panowało wielkie zamieszanie. Jak na rzeczywistem polowaniu, szukano się w pojedynkę i ztąd obie strony zmieszały się między sobą bezładnie.

Kendi, uskończywszy nieco na zręb skały, podniósł swój ciężki karabinek i celował w Batorego, a-ci, którzy znali strzelca i celność jego broni, uczuli gwałtowne serca bicie w łonie, lecz księżę spiął konia ostrogą i poskoczył naprzód, kierując pistolet w pierś Kendiego. Równocześnie z pistoletem zagrzmiała strzelba Kendiego, ale oba strzały chybiły. Tylko szlachetny rumak Batorego, krwią zbryzgany, zwałił się pod nim.

— Teraz za mną!—zawołał Kendi.

Zastęp spiskowców szybko się zebrał i ścisnął. Za Kendim szedł Basa, Borbely, Sennyei, za tymi inni. Parcie choć słabej siły było tak potężne, że wojsko cofnęło się w tył, ale był to tryumf krótki, bo Kornis był już w mocy wrogów, nie mogąc się przebić przez coraz ścieśniające się koło. Basa, Borbely i Sennyei

po bohaterskiej obronie zostali również wzięci do niewoli, tylko Kendi walczył jeszcze, jak lew niepokonany.

— Do czarta! — zawołał Imrefi. — Kendi jeszcze się trzyma. Czarownik chyba jest... kule go mijają.

— Imrefi! — rzekł książę, pałając zemstą i gniewem — jego nie ruszać! Kendi, to moja zwierzyna, mnie go zostawcie!

Batory siedział na nowym koniu i był już znów do boju gotowym.

Położenie sprzysiężonych było coraz gorsze. Gdy Baltazar Kornis, Sennyei, Basa, Borbaly zostali wzięci, a Jerzy Kornis zginął, pozostał już na wodza Kendi, ale mógł się trzymać krótką już tylko chwilę. I chwilę też tylko się bronił, lecz widząc, iż wszystko stracone, cofnął się z resztką niedobitków i zdołał ujść w lasy, aby być prześladowanym wygnańcem.

Kornisa w nierycerski sposób okuto w ciężkie kajdany i pędzono w nich pieszo do Kolosvaru.

Batory już teraz stracił resztę równowagi moralnej i spadał gwałtownie w przepaść zbrodni. Pierwszym stopniem jego upadku było okrucieństwo w postępowaniu z pochwyconymi rokoszanami i wszelkie prawa narodów łamiący czyn uwięzienia posła wojewody Raduła. Działo się to jednocześnie; z Kolosvaru pojechał do zamku Udvarhely i tu złe wspomnienia uderzyły na niego dziką siłą. Przypomniał sobie lżące go słowa Kornisa i wśród posępnej górskiej krainy posępniał i rzec było można — dczęł. A paliło go jeszcze wspomnienie, iż uchodzić musiał przed tłumem zbuntowanych Sasów i jeżeli zapomniał szlachetnych słów Sewera, wyrzeczonych do Ecsediego, to pamiętał rozdział swój z Celestą i to, że szlachetna dziewczica nigdy nie przystanie na rolę, jaką jej w myśli swej przeznaczał, snując szalone marzenia. Despota już się w nim coraz silniej rozwijał i to, że nie może łamać wszystkich praw ludzkich i Boskich rozdrażniało go namiętnie.

A i ludzie nie chcieli mu ulegać, choć był księciem! Z Kolosvaru zajechał do Udvarhaly z dzikiem uczuciem zadowolenia, że wygnał tych, co mu się opierali, ale przecież i tu go upokorzono: kobieta ucziwa nie chciała złamać przysięgi, uczynionej w imię Boga, nie chciała za tę cenę zostać księżną i jego małżonką—dzielić nie chciała jego tronu, lecz poszła dzielić wygnanie męża, którego kochała.

Burzyło mu się w piersiach i najbliżsi z jego otoczenia lękali go się nieraz, a Dimon miewał czasem chwile rozrywki, patrząc, jak podłą się ze strachu, jak mu dostarczają coraz to innych, a zawsze złych, niecných rozrywek. Pomyślał i on, że warto pana zabawić, ale w odmienny trochę sposób i na szerszą skalę. Wiedział on dobrze, że magnaci Sie-dmiógródu niecierpliwie znoszą rządy Gabryela Bato-rego, który coraz więcej przypominał im czasy Zygmunta. Wiedział, że obrażony Kendi musi mu pamiętać odwiedziny, oddane jego domowi w Fehervarze, i wiedział, że Kendi nie jest jedynym, którego to spótkało. Czyż i Kornis mógł zapomnieć, on, wygnaniec i tułacz, zubożony i unoszący z rozgromu tylko cześć nieskalanego imienia?

Czyż te natury namiętne, ta butna szlachta—Węgry i Szeklery, znosić to mogą spokojnie, polecając się tylko łasce Opatrzności? Czy sobie nie mówią, że co innym dziś, może jutro im się wydarzyć.

Wieści jakieś chodziły też po kraju, że tak nie jest. Szpiegowi Sasów obito się o uszy nie jedno, co posłużyło dworzaniekowi księcia, aby przyłożył ucho do ziemi i posłuchał, czy tam co nie szemrze. A pyszna byłaby rzecz, gdyby usłyszał coś zdolnego zająć księcia silniej, niż zajęcia, których jego nudom dostarczał Imrefi. Ten zaś tak się teraz wywyższył nad Kamuly'a, że niemal bez podziału panował w dziedzinie łask księcia.

— Poczekaj, bratku—rzekł sobie raz Dimon — teraz na mnie kolej być na czele.

Przebrany za cygana, bo lubił bardzo ten kostyum, lubił wogóle cygaństwo, i żałował nieraz, że się nie urodził w szatrze leśnej, coby wyszło mu na lepsze, niż być w nizinach pałacu książęcego — puścił się Dimon na włóczęgę w dalszą krainę gór, głębiej w Alpy wołoskie, zkąd go zalatywał zapach spisku. Wyszpiegował go i doniósł Batoremu, dał mu więc nową a pyszną zabawkę.

## ROZDZIAŁ IV.

### T r y u m f.

„To, co wam opowiem, nie będzie miłą do słuchania historią, bo krew zetnie się wam w żyłach na obrazy pełne zgrozy, ale w dziejach ludów więcej jest takich, aniżeli innvch.”

*K. Kisfaludy.*

Jednego poranku książę zadziwił wszystkich, gdy zerwawszy się z pościeli ranej, niż zwykle, pytał żywo, zali goniec, posłany do Kolosvaru z listem, nie wrócił w nocy? Groźna zmarszczka zawisła mu przystem na czole, gdy to zapytanie pokojowcom swoim stawiał, i zdawałoby się, że ten, któryby mu przyniósł odpowiedź przeczącą, jużby chyba nie przemówił więcej, lecz na szczęście, goniec był już w zamku. Nad ranem przybył, a tak snadź pędził z listami, które księciu wiozł od rady koloswarskiej, że koń pod nim padł na dziedzińcu zamkowym, zwodzono bramę przebywszy, a sam goniec rzucił się na ławę spać, gdy torbę z listami oddał. Książę chciwie je z rąk dworskiego chwycił, a zmarszczka pogłębiała się coraz, brwi się zbiegały, oczy świeciły, jak u rysia w ostępie leśnym, gdy na lisy poluje i wietrzy je. Ale gdy

list przeczytał, rozjaśnił się zaraz i roześmiał radośnie:

— A... a... — zawołał — rachunek skończony narzeczcie!

Dimonowi, który z nim wtedy sam jeden był w konniacie, rzucił pełną kiesę dukatów.

Masz — rzekł. — Szpieg z ciebie dobry i trzeba ci też dobrze płacić...

Dimon usta zacisnął. Nie jedną już on kiesę taką dostał i nie ucieszył się z daru pańskiego. Za usługę, którą księciu oddał, innej nagrody się spodziewał, bo rzecz odnosiła się do wytropienia przezeń myśliwców wśród puszczy gór wołoskich. Goniec, który z Kolosvaru dzień i noc tak pędził, że rumaka ze stajni książęcej zabił, przybywał z odpowiedzią, że rozkaz księcia, który tam był powiózł, wykonany został. Baltazar Kornis został w więzieniu ścięty!...

Kiedy Imrefi i Dimon księcia w zamku Udvarhelskim wesołemi igraszkami bawili, on wtedy przemysłiwiał, jak ma skończyć z jeńcem, którego w więzieniach swoich trzymał? Snadź po to pojechał tam, gdzie był niegdyś spokojny i wesoły dom Kornisów, gdzie piękna żona umilała mu życie pieśczętami miłości swojej, a przed nim — przed nim, Gabryelem Batoryem! gotowa się była w ciemność śmierci skryć — aby postanowił o jego losie. Buntownikiem był, więc kazał go swojej dobrej radzie miasta Kolosvaru w więzieniu stracić. Byłby wolał, aby to dokonane zostało na placu miejskim lub na polu, gdzie kat złodziei i buntowników piętnował, ale Batory, mimo namiętnej natury swojej, bywał często przezornym i teraz coś zemście swej miłego przysmaku odjął. Z przezorności łaskę tę rodowi Kornisów wyświadczył, że naczelnik tego starego i zasłużonego ojczyźnie pnia rycerzy nie był wyprowadzony przed oczy tłumu w koszuli śmiertelnej i z łańcuchem na szyi nie został mieczem karany.

Stało się to o świecie szarym, drugiego dnia po

przysłaniu listu książęcego. Wieczorem posłano Kornisowi do celi więziennej kapłana, który z nim nogą całą przepędził, i gdy świtać zaczynało i było tak jasno, że kat mógł dobrze robotę swą wykonać, a trzech rajców miejskich, którzy do więzienia zeszli, mogli stwierdzić dostatecznie, iż ten, który z rozkazu księcia gardłem jest karany, nie kto inny był, tylko ów, na którym gniew Batorego zaciężył — wyrok został spełniony.

W trzy godziny potem herold na koniu, poprzędzany przez sześciu pachołków miejskich, ludowi na rynkach i placach ogłaszał, iż zdrajca i buntownik, który na życie księcia godził i z nieprzyjacielem kraju, oraz wrogiem chrześcijaństwa, Turkiem niewiernym, w umowy wchodził, aby mu księstwo Siedmiogrodzkie w lenność oddać, został stracony.

Kornisowie byli dobrze w Kolosvarze znani i lubiani, uważano obu braci za mężów dzielnych i szlachetnych. To też ta wieść uderzyła mieszczan tamtejszych gromem żalonym, ale dodatek, że z sułtanem zdradę knował i kraj mu chciał na poturczenie oddać, wywarła osłupiające wrażenie. Rzadko kto podniósł śmiało zapytanie: czy to prawda?

Szlachta okoliczna porwała się zrazu zaperzona, rozżalona i jeden do drugiego jechał blady, nasrożony, ale prócz nasępienia twarzy, nie nadto nie wyniknęło — fakt już był spełniony.

Batory na taki rezultat liczył i mężobójstwa skrycie dokonać kazał, a sam przez trzy dni mało co jadł, trzy noce z niecierpliwości nie spał, zanim od naznaczonej godziny śmierci nie upłynęło tyle czasu, aby go wiadomość o wykonaniu wyroku doszła.

Gdy ją otrzymał, rozpromienił się uczuciem odniesionego tryumfu — tryumfu nad samym sobą, bo pierwszy to był krok na drodze, którą odtąd miał brnąć do końca swego. Dimonowi dał taką kiesę złota, jaką sułtan daje rzezańcom swoim, gdy mu się

dobrze w podobnej sprawie zasłużą; Imreflego zaś mianował kanclerzem Siedmiogrodu.

Ale nie wiedział nic, jakie trujące ziarno siał w grunt, po którym szło jego życie, jakiego nieublaganego nieprzyjaciela kupił sobie w najchytrzejszej, najprzebieglejszej istocie ludzkiej, jaka kiedy żyła na ziemi. Dimon uczuł w piersi żądło zazdrości tak jadowitej, że budziło nieugaszone pragnienie zemsty. Porównanie nagrody otrzymanej z nagrodą Imreflego wzburzyło w nim wszystką żółć i z krwią ją zmieszało. Złota już miał dość; chciał teraz czegoś innego, i czyż Batory myśli go zawsze trzymać na stanowisku wyżła, wietrzącego mu zwierzynę, wedle humoru i okazji? Nie mógł się też wstrzymać i powiedział to księciu, ale usłyszał tylko śmiech dobrego humoru, w który słowami swemi Batorego wprawił.

— Cóż chcesz, bratku?—zapytał szyderczo—czy kanclerzem wolałbyś zostać? Ceremonia musiałaby być długą i znudziłbym się przytem, bo musiałbym z ciebie pierwiej zrobić szlacheica...

Dumna wyniosłość, która wyjrzała w tej chwili z oczu Gabryela Batorego, naląła w żyły Dimona jak rozpalonego ołowiu.

— O nie... panie mój—zawołał z pokorą pełzającego węża—tego ja nie chcę, pacholek twój!...

Batory dnia tego uczłował wesoło i ochoczo, tymczasem zaś wieść o śmierci Kornisa rozeszła się prędko między jego dworakami; doszła od nich do miasteczka i na wioski okoliczne. Ludzie płakali, po chatach zwłaszcza, bo Baltazar Kornis był dobrym, ludzkim panem i kiedy nazajutrz rano księżę na polowanie się wybrałszy, przez miasteczko jechał, widział tylko ponure i smutne twarze.

Tak samo smutną i ponurą była okoliczna szlachta szeklerska, którą w łaskawości swojej wziął na łowy z sobą. Polowała ponuro, ponuro potem piła ogniste wino swej krainy, które dziś nie podbudziło nikogo do wesołej pieśni:

Szekler dumny, Szekler śmiały,  
 Tępi wilki, kruszy skały...  
 Turki bije, wino pije,  
 Z piękną panną idzie w tan...

Książę stał się też pośepnym w końcu i choć nazajutrz porwał się niby ochoczo do urządzenia wyścigów na małych szeklerskich konikach, w duszy jego chmurzyło się coraz bardziej. Czy widywał widmo Kornisa, czy cień jego wracał do dawnego swego domu i przychodził o północy do Batorego, wołając nań, aby mu ustąpił swego miejsca i poszedł zająć jego zimną, piętnem zdrady znieśławioną mogiłę? Gorączkowe te mary ogarniały nieraz wzburzonego; wszystko go rozdrażniało, podejrzliwość rosła w nim, a z nią i ciężar niepokoju, coraz silniej przygniatający mu duszę. Choć pochlebcy tłómaczyli mu zręcznie, że użył tylko praw obrażonego majestatu księcia, że ukarał wiarołomcę i rokoszanina, jakiś głos wewnętrzny mówił mu, że ludzie mogą go nienawidzieć—mogą żywić względem niego uczucie zemsty i pragnienie odwetu za krzywdy swoje i zaczęło go ogarniać ponure uczucie fatalności, ciężącej nad nim, tak jak ciążyło nad Zygmuntem. Nie sobie, nie swoim namiętnościom przypisywał winę śmierci Kornisa, ale złym ludziom, którzy go doprowadzili do tego kroku przez podłe sprzysięganie się przeciw niemu. On musiał karać i oto teraz otacza go jakoby ciemna, gęsta chmura, w której łonie mogą drzemać ogniste pioruny — teraz przed oczyma jego stoi obłok krwawy i świat mu zasłania.

Nie mógł znieść wyrzutów sumienia i chciał je rozpędzić. Na drugi dzień po ścięciu nieszczęśliwego małżonka Jadwigi, wyprawił na zamku Udvarhelskim dziką orgię, ale nie przyniosła mu ona pożądanego zapomnienia. Przeciwnie, doznał takiego uczucia zniechęcenia, rozczarowania, że nie mógł się na miejscu utrzymać. Siedmiogród, gdzie czuł, że ludzie zaczynają go nienawidzieć, gdzie płaczą na niego, obrzydł

mu nagle i opanowała go chęć ucieczki z tych miejsc złowrogich. Na Węgry! do zamku Ecsed! tam, gdzie niegdyś był wesołym, szczęśliwym młodzieńcem!... — zaczął wołać mu w duszy głos gorzkiej tęsknoty, któremu oprzeć się nie mógł i nawet opierać nie chciał. W trzy dni potem wyjechał też do Ecsedu; w bogatym stroju, na czele świetnego orszaku objeżdżał komitaty węgierskie, a tam wszędzie przyjmowano go wspaniale: uczty, łowy, iluminacye i łuki tryumfalne spotykały go krok za krokiem i duch zdawał się w nim odżywać. Tworzył plany i zwierzał się z nimi Imrefiemu. Za powrotem do Siedmiogrodu rozpocznie on nową zupełnie erę panowania, potrafi ująć tak mocno cugle rządów, że żadna zdrada nie zdoła podnieść głowy. Wszyscy, którzy go nie chcą kochać, drzeć będą musieli przed nim... Powiększy wojsko i na niem się oprze, siła zmusza opornych do pokoju i posłuszeństwa.

Świetność stroju i przepychu posuwał do ostatnich krańców; wyprawiał igrzyska rycerskie, wśród których jego dzielność mężka występowała w całej świetności, i zdawał się teraz o nic więcej już nie dbać; na piękne oczy patrzył okiem zimnem i były chwile, w których czuł dziką nienawiść do całego rodu niewieściego.

Ach! w dali po za nim łkał też gorzki płacz kobiety: nieszczęśliwa wdowa łamała ręce.

---

## ROZDZIAŁ V.

### Godzina dziewiąta.

Nikt nie wołał:—Niech go Bóg błogosławi!... niech go miłe słowo powita...

*Szekspir.*

Książę nie tylko ucztował, nietylko łowy i festyny na Węgrzech wyprawiał. Przywiódł on z sobą

do Siedmiogrodu dwa zaciężne pułki wyborowego żołnierza, zwerbowanego w górnych Węgrzech. Chłop w chłopu rosły był i krzepki, a że siedzieli na pięknych koniach, że pobierali płacę dobrą, a odziani byli jak na paradę, duch w nich panował dzielny i na skinienie księcia szliby szturmować piekło samo. Komenda była całe węgierska: od najstarszego do najmłodszego oficera każdy był brat madziar, szlachcie, choć nie posesyonat, i Batory w wesołym usposobieniu wracał do Siedmiogrodu. Od czasu nieszczęsnego spisku panów w górach wołoskich wszystkie starania swoje zwracał na wojsko—pieniędzy na to nie szędził, garściami je sypał, a gdy mu kto z rady koronnej uwagę chciał czynić, marszczył się gniewnie:

— Nie na to zostałem księciem, aby być na tronie figurą malowaną — odpowiadał — siłę mieć muszę i mieć ją będę, a wtedy dopiero panować zacznę.

Odpowiadał tak na uwagi Gabryela Betlena, który na powitanie księcia do Fehervaru pośpieszył, bo wieści się po kraju rozeszły, że Batory chce przez to zaciężne wojsko Siedmiogród pod grozą trzymać i rozpocząć rządy surowe. Trwoga padła na ludzi; rozchodziły się też pogłoski, że książe szczególnie na Sasów zagniewanym się czuje, bo mu odmówili podatku, a raczej daniny, której przed wyjazdem do Węgier od nich żądał. Szlachtę zgniół; ze spadającą głową Kornisa wszystkie inne wyniosłe, dumne czoła ukorzył, a oto mieszczkański tłum śmiał mu się opierać...

Nie zapomniał też, co go w wiernym jego mieście, Kronsztadzie, spotkało. Trzy tysiące dukatów nawiązki wziął, miał kryształowy puchar piękny do spijania nim tokaju, ale zaznaczył to sobie w pamięci, że on, książe, podziemnymi lochami uchodzić musiał... A prawda wyszła też powoli na wierzch; wołoski harambasza nie chciał, aby na niego spadał cały gniew Batorego i nie zataił, że go podmówiono, sprowadzono na te łowy, w których ściganą zwierzyną miał być szlachetny lew w koronie. Gabryel Batory

tak namiętnie zacinać się i pamiętać umiał, jak namiętnie, gwałtownie potem wybuchał. Nikt też nie widział go nigdy, aby kiedy urazę darował, choć zdawało się przybocznym jego, iż ją w niepamięć puszcza. Nie... odkładał on sobie tylko to, co zakarbował.

Z Węgier wracał w bardzo dobrym humorze i rad z siebie. Miasta podejmowały go po drodze okazale, z oznakami wielkiej lojalności, on zaś przyjmował to wszystko z łaskawością niezmierną — dziękował, zadowolenie swe książęce okazywał, i jak gdyby z upodobania do tych oznak wierności, objazd niby kraju czynił.

A wojsko nowo-zacieężne, jakoby przyboczną swą gwardyę, książęcym swoim orszakiem zrobił. W paradzie je z sobą wiódł i oczy mu się nieraz iskrzyły, gdy je w szyk sprawiał. Że młody był i z usposobienia rycerski, pospolity tłum widział w tem ochotę kawalerską i fantazyę pańską. Napolował się dość, igrzysk różnych w czasie gościny węgierskiej do syta użył, teraz go zdjęła duma żołnierska i sztuki wodza się uczy. Kosztowało to wprawdzie, pochód taki nie-małego zachodu wymagał, ale cóż—była to rozrywka księcia.

Gdy Batory z Fehervaru wgląb kraju tak ruszając, przejeżdżał komitaty, gdzie wojsko komputowe obozowało na leżach rozkwaterowane, Betlen, który mu hetmanił, przystawił się jak należało do boku książęcego z pułkiem szeklerskim i zapytał księcia, czy wyprawę jaką szykuje? Ale żadnej odpowiedzi wręcz nie dostał, lecz tylko rozkaz dość chłodny, aby z Szeklerami swymi straż tylną dla węgierskich pułków księcia tworzył i od napaści jakich rabusiów pochód księcia zasłaniał.

Znaczyło to, że go przy osobie swojej mieć nie pragnie, że dowództwo prowadzonego wojska sobie wyłącznie zostawia i o celu drogi swojej z nikim rozmawiać nie chce.

Dnia 7-go grudnia 1610 r. wyjeżdżał on z Fehervaru przy dźwięku trąb, przy paradnie rozwiniętych sztandarach i nieopisany był przestrach mieszkańców Hermansztadu, gdy szóstego dnia potem ludność przedmieścia, żadną zapowiedzią księżącą na to nieprzygotowana, ujrzała nagle zbliżające się do miasta hufce zbrojne.

Hermansztadt leży w pięknej dolinie, której ściany stanowią pasma wysokich, ostro w górę szczytami strzelających wyżyn, między którymi wierzchołek góry Szurzel wyniosłością swą panuje. Śnieg leżał teraz na nich, a jak historyk saksoński opisuje, nie iskrzył się od jasnych promieni słońca, bo lekka mgła panowała w powietrzu; małe srebrne chmurki pływały po błękitnie niebios i w tem przystąpiętem świetle mroźnego dnia zimowego ścięta lodem rzeka, u podnóża gór płynąca, lśniła się jak srebrno-błękitnawa szyba. Tylko co stanęła, to też liczna dziatwa saksońska wybiegła, aby ślizgawki na niej użyć i dużo ludzi stało nad brzegiem, patrząc na uciechę młodzi, matek zwłaszcza było dość, bo przywiodła je tu niespokojna chęć przeświadczenia się dowodnie, czy lód już jest dość mocny? Na zegarach miejskich biła właśnie dziesiąta godzina poranku, gdy naraz sześciu hajduków w paradnych dworskich barwach wjechało na przedmieście, a za nimi ujrzano paradną karocę, zaprzężoną w sześć białych koni, z wysokimi kitami na głowie.

Po obu stronach karocy jechał koło jej okna wysoki, na wysokim karym koniu siedzący mąż, w czerwonym fałdzistym płaszczu z niedźwiedzim kołnierzem. Czerwone kołpaki z niedźwiedzim futrem mieli na głowie. Z pod niedźwiedzi wyglądały im karabele w jaszczur oprawne.

Za pierwszą karocą jechały dwie jeszcze, w cztery konie zaprzężone, za karocami oddział lekkiej rajtaryi, na niedużych, ale szybkich i pięknie dobranych, jednakiej bułanej maści koniach, a ludzie, zadziwieni

zrazu i zapatrzeni na ten orszak paradny, uczuli wnet przestrach i zatrwożenie okrutne.

— Książę!... Batory... — poszedł z ust do ust szept zalękniony.

Hermansztadt dzisiejszy zaledwie małe pojęcie dać może o Hermansztadzie, czyli Szebenie, jak nazywał jeszcze miasto ogół ludu węgierskiego — o jego ówczesnym znaczeniu i świetności. Sasi budowali swoje miasta o wiele piękniej i z innym planem, niż Węgrzy. Otaczały je zwykle silne mury, i warowne miasta saskie różniły się wielce od twierdz węgierskich tą przezornością, która nigdy nie pozwalała żadnej budowli wznosić się samowolnie, idąc za smakiem i upodobaniem właściciela. Wszystkie musiały się stosować do jednego planu i stawać tak obok siebie, aby nigdzie nie wytworzyła się nieopatrznie pozostawiona luka. Ścisnąć się należało, aby zużytkować każdy kawałek miejsca, bo mury obronne rozszerzać się nie dawały.

Pilnowano tu i porządku, przestrzegano bezpieczeństwa tak, jak Węgier butny i często niedbały czynić tego nie chciał, jednostajnością pracy i nadzoru się nudząc. Wszystkie bramy miast saskich były zawsze na każdą noc zamykane starannie na rygle i zasuwę ciężkie, okucia ich były mocne, a pod murami leżały stopy kamieni, aby w razie szturm i potrzeby naprawiania ich materiałów gotowy był pod ręką. Obronne to były grody — obronne stosownie do zasobów i taktyki owych wieków, gdy tymczasem o warowniach węgierskich powiedzieć było trzeba, że je broni głównie męztwo i bitność ludzka. Hermansztadt był nad inne miasta mocniej obwarowany, jako najcenniejszy punkt koncentracji Sasów Siedmiogrodu, jako ich stolica, że był przytem i zabudowany kunsztem wytwornym, że miał gmachy wielkie i tej architektury staroświeckiej, która ozdobnego gotyku używała, znaczenie jego w Siedmiogrodzie było takie, ja-

kiego już dziś nie posiada, i można o nim teraz powiedzieć, że świetność jego zagasta.

Ale wtedy jaśniała ona przed oczyma ludzkiemi w całej pełni blasku swego. Hermansztadt słynął z bogactw swoich i posiadał je rzeczywiście, bo handel i przemysł pracowitego i oszczędnego ludu gromadził je i zachowywać umiał.

Zdobyć Hermansztadt, znaczyło to dobrać się do skarbów nielada i dlatego też miasto tak się obronnie trzymało i skupiało w sobie, opasane rozległemi przedmieściami, gdzie mieszkał lud uboższy, i tu charakter tak budowli, jak całego wyglądu, był inny, inaczej malowniczy. Jak tam w mieście kochano się we wspaniałości murów, tak tu domki były małe, ale wszystkie wśród wdzięcznych ogródków, z sadami owocowemi w tyle, wyglądały wesoło i zarazem sielsko. Latem zieloność wszędzie cieszyła oczy, teraz przecież przedmieście, do którego Batory wjechał niespodzianie, wydawało się jak zasobna i niezmiernie długa wieś, której środkiem przez wyciągniętą ulicę karoce księcia i jego dworu toczyły się powoli. Śnieg spadł w nocy i leżał też grubą warstwą na drodze, przytem książę kazał zapewne jechać wolno, aby wspaniałość jego wjazdu była tem uroczystsza. Widać go było z okna karocy. Wyglądał piękny i rzeźki, z młodą fantazją pańską i zarazem rycerską, patrzył na wybiegających z domów ludzi, a był to przeważnie tłum rzemieślniczy, złożony z kobiet i mężczyzn, którzy wybiegali na ulicę tak, jak stali, opuszczając warsztaty i pracę domową. Jasny włos Sasów i niebieskie ich oczy, cera biała, panowała tu ogólnie, tworząc charakterystyczne sprzeczności z węgierskiem otoczeniem Batorego i zarazem z nim samym. Były to dwa narody, niez mieszane z sobą.

Żadna trąbka nie grała, nie było żadnego szczęku i brzęku, bo gruby pokład śniegu tworzył dla kół powozów i kopyt koni podściół miękkie. Posuwało się to wszystko cicho i tem solennie, tem uroczyściej

zdążyło ku wielkiej, obronnie zbudowanej i szeroko teraz rozwartej bramie miasta.

A dano już tam znać, co się dzieje, dano znać, że Batory jedzie i na murach miejskich pokazało się mnóstwo głów ludzkich, aż naraz w bramie miejskiej rozległ się uroczysty też dźwięk trąby i ukazała się gromada mężów poważnych. Deputacya to była miejska, dążąca na powitanie księcia; kroczył przed nią herold, który w bramie w trąbę zadał, a że niesiono na poduszce chleb i sól, czerwoni jeźdźcy dopuścili ją do okna karocy książęcej. Nie dopatrzono się jednak w prędkości, że na poduszce nie ma kluczy od bramy miasta i Batory spuścił szybę szklaną, witając deputacyę.

Przybywała ona z powitaniem, ale zarazem z najszczególniejszą propozycją, jaka koronowanego księcia i pana spotkać mogła. Proszono księcia pokornie, aby chleb i sól od wiernej swej ludności Hermansztadu przyjął, ale do miasta nie jechał i na przedmieściu raczył się zatrzymać, aż w mieście przygotuje się odpowiednie dla niego mieszkanie...

Niespodziewanie spadała na Hermansztadt łaska jego przybycia, a że rada miejska chciała go przyjąć odpowiednio do zaszczytu, jaki mieszkańców miasta spotkał, odpowiednio do uczuć wdzięczności, jaką w sercu mieli — więc nie chcieli go do miasta wpuścić...

Pomysł był nie tylko bardzo nieszczęśliwy, ale i bardzo zuchwały. Powzięto go w popłochu, sprawionym przez pośpiech, z jakim ojcowie miasta musieli się naradzać, jak sobie z niespodziewanym przybyciem księcia radzić? O armii, którą po kraju z sobą wodził, już wiedziano i padło też wśród nagle zbiegających się rajców niespokojne pytanie:

— Czy można bezpiecznie ten zbrojny najazd w serce miasta wpuścić?

Że większość drżała o siebie i mienie swoje, pragnienie zabezpieczenia się przed gwałtami, których

można się było obawiać, poszepnęła nierozsądną odpowiedź: nie!... i popełnionym został największy błąd, jakiego się można była dopuścić.

Choć okryto się płaszczykiem pokory, ksiązę jednak znalazł się przed wrotami miasta zatrzymanym.

Ale nad spodziewanie samej deputacyi, nie okazał najmniejszego niezadowolenia. Coś mu mignęło w oczach, coś mu nerwowo w twarzy drgnęło, ale stało się to tylko śmiechem wesołym.

— A... to mnie ichmościowie okazale przyjąć chcecie! Każecie mi tu dniówkę i nocleg przed bramami waszemi odprawić, abym jak Cezar jaki był przyjmowany... No, dobrze... niech i tak będzie, ale muszę mieć potem wjazd i tryumf wspaniały...

Deputacya składała się z najprzedniejszych rajców miejskich. Gdy wystąpienie jakoby parlamentarzy do księcia postanowionem zostało, musieli się oni w pośpiechu największym w narodowy strój saski przyodziać i biedzą prawie, aby księcia jeszcze przed bramą miejską spotkać. Ztąd zmęczeni byli wszyscy, a trzeba dodać i zatrwożeni tak, że uważnie patrzeć i słuchać nie byli w stanie i nie pochwycili też uchem złośliwej ironii w dźwiękach śmiechu ksiązęcego, nie dosłyszeli surowości tonu, z jakim im mówił o tryumfie jego odłożonego wjazdu.

Nikt z nich nie śmiał też patrzeć prosto w oczy Batorego; spuszczone był ich wzrok, gdy doń mówili, spuszczone, kiedy on do nich przemawiał. Odetchnęli na łaskawość jego przyjęcia i nie uważali, co ksiązę dodał zaraz, obracając się do Imrefiego, który z nim w powozie siedział:

— Przez żywy Bóg, obyczaje tych Sasów wielce są ciekawe... Z wielkiej gościnności trzymają najpierw w gościa w kurytarzu, nim go do bawialnej komnaty wpuszczają... Nie zamiataną ona widać bywa, i dopiero na gwałt z pajęczyny ją oczyszczają.

Rajcowie tymczasem spojrzeli ukradkiem po or-

szaku księcia i z radością ujrzeni, że cały nie przeno-  
sił 24 osób. To im dodało serca i dobrej miny; oto-  
czyli powóz księcia z dwóch stron i z odkrytymi gło-  
wami szli przy nim, a i drugie okno zostało spuszczo-  
ne z rozkazu księcia, który go dał Imrefiemu.

— Niech się napatrzę na mój wierny lud sa-  
ski — mówił nad wyraz łaskawie i zawsze ze śmie-  
chem wesołym — niech sobie ich widokiem serce na-  
cieszę.

I z jego też rozkazu owi dwaj jeźdźcy w nie-  
dźwiedniach czerwonych odstępili precz na stronę,  
w tył się cofnęli. Spokojny i jakoby rodzinny wygląd  
miało teraz to przebywanie księcia na terytorium sa-  
skiem. Rozglądał się wokoło i wciąż do rajców prze-  
mawiał:

— Powiem ichmościom szczerze, że mi się wasz  
projekt wielce podoba — rzekł po chwili. — Weselej mi  
będzie tu, na otwartem powietrzu, niż tam w murach  
waszych, które piękne są, ale posępne... Czy nie  
uważacie panowie? Posępnie u was i zaduch jest,  
wartoby kiedy trochę murów zwalić, przeręble poro-  
bić, jak w lodzie, pod którym rybom tak ciężko od-  
dychać. Ja rybakom moim węgierskim każe to robić  
u siebie na Węgrzech, i ztąd mi na myśl przyszło,  
żeby i tu godziło się trochę przerąbać te kamienne  
ściany wasze.

Czy który z rajców nie zadrzał, słysząc, jak  
książę chce stosować u nich system oczyszczania po-  
wietrza, praktykowany w Ecsedzie przez jego rybaków  
dla dobra ryb?...

— A gdzie to łaska ichmościów wyznaczyła mi  
kwatere? — zapytał, gdy jeden z deputatów do woźnicy  
księcia się zwrócił, coś mu mówiąc i na lewo wska-  
zując. — Słaby mam trochę wzrok i nie dobrze widzę...  
Nie mogę dojrzeć, zali tam, gdzie waszeć wskazuje,  
jest coś mieszkalnego w pobliżu?... Czy daleko jechać  
będziemy?

Zapytany zmieszał się teraz niezmiernie i zaczął dobrą otuchę już tracić.

— Dom najzamożniejszego obywatela ze wszystkich przedmieść naszych otworzy się na przyjęcie waszej książęcej mości—odparł, ledwo że językiem mogąc poruszać.

Karoca potoczyła się wązką drożyną boczną i stanęła przed niskim, choć stosunkowo długim domem. Nie wyglądał wspaniale, ani nawet pięknie. W lecie zdobiła miejsce zieloność otaczających go klombów i drzew, ale teraz wyglądało to ubogo i niewesoło. I nie można tu było całego dworu księcia razem z nim pod jednym dachem pomieścić. Prócz Imrefiego, był z nim jeszcze z przedniejszych: Szilasi, Kamuli, jeden Banfi, otóż tych trzeba już było gdzieindziej umieścić—w dwóch dworkach drewnianych.

Sławetna rada Hermansztadu zapomniała, że co nagle, to po dyable... i mogła teraz rzeczywiście choć jedną duszę którego rajcy dyabłu sprzedać, byle ich tylko wybawił od picia nawarzonego piwa. Ale nadspodziewanie i nad podziw wszystkich Batory najmniejszego niezadowolenia nie okazał. Z dobrą miną wszedł do obszernych, ale niskich i skromnie, choć wygodnie urządzonych komnat, z których właściciele, rodzina sukiennika, tylko co się wynieśli, zdoławszy własne tylko osoby z przed oczu książęcych usunąć.

— Mój szacunek mądrej radzie hermansztadzkiej!—zawołał Batory, rozglądając się w koło—bardzo mi tu dobrze będzie!

Zaczęli wykrztuszać coś przeproszającego, ale on się zaśmiał:

— Zaręczam ichmościom, że mi tu pysznie będzie... Jak zpłatka idzie mi ta cała podróż do waszego wiernego miasta i wierzajcie ichmoście, że całym sercem rad was tu witam...

I nie puścił zaraz deputacyi, która w całym komplecie bawiła u niego aż do południa, to jest do chwili obiadu, Miało ich tu zostać przy księciu na

służbie trzech, a zostali wszyscy, bo książe tak chciał. Obiad dano mu co się zowie wspaniały. Wymagało to niemałego zachodu i trudu, aby w tak krótkim czasie wybornie i dostatnio zgotować, ale patrycyusze miasta żyli dostatnio; zapasy na ucztę książęcą znalazły się pod ręką. Batory jadł i pił obficie i wszystko chwalił niezmiernie.

Dobry humor księcia już rzeczywiście zaczął się udzielać deputacyi, gdy przy wetach Batory zwrócił rozmowę na wojewodę wołoskiego, Serbana Raduła, i oto Sasi zmieszali się nagle tak, że ledwo coś odpowiadać mogli. Batory ze zwykłą swoją swobodą rozprawiając, przechodził od przedmiotu do przedmiotu, aż skierował rozmowę na Serbana, a biednym Sasom zaczęły bić serca. Jeden z panów radnych zacerwienił się, drugi pobałdł; czy Batory to widział i z umysłu chciał ich złośliwie mieszać, nie mogli odgadnąć, bo wkrótce potem bardzo wesoło i z oznakami najzupełniejszego zadowolenia rozstał się z nimi.

Szczególniej uśmiechnięty był i w wyborzym humorze, gdy im mówił—do widzenia!

Odeszli uspokojeni zupełnie, utrzymując, że Batory został obmówiony kłamliwie, bo żaden chyba z książąt chrześcijańskich nie może być miłszym i ławtewijszym do zadowolenia.

A jednak na jego ustach igrał uśmiech tak ironiczny, że mogli się byli przestraszyć tej łaskawości pańskiej, o której wieść do miasta ponieśli. Lud też ochłonał już z przerażenia i uspokoił się, jakkolwiek równowaga nagle zakłóconego porządku jego życia nie mogła być tak prędko przywróconą. Nie powrócili już do pracy, do warsztatów i foluszów, kobiety do gospodarstwa—chodzili po ulicach, zasiadali przed domami na ławkach i rozmawiali, rozprawiali do późnego wieczora, zato można było mieć pewność, że jutro tem skwapliwiej zabiorą się do roboty.

Nazajutrz rano burmistrz Hermansztadu przybył powitać księcia. Chciał się tłumaczyć z wczorajszego

postępku, prosił o przebaczenie, że miasto nie zaraz mogło godnie przyjąć dostojną osobę księcia, ale ten mu przerwał zaraz z początku.

— No! no! — rzekł — to już skończone... nie wątpię o dobrych chęciach ichmościów.

Przy pierwszych wyrazach twarz jego była surową i ruch ręki, którą przerwał burmistrzowi, był jak gdyby niecierpliwym, ale zaraz potem wróciła mu swobodna wesołość.

— Nie martwcie się, ichmościowie — dodał — wybornie mi się spało na przedmieściu waszem.

Ale nie mniej pragnę zobaczyć co najprędzej wasze sławne miasto, którego jestem ciekawy. Wybiorę sobie sam pomieszkanie i zaraz niezadługo ruszę na oględziny.

— Jeżeli wasza książęca mość raczy się przychylić do próśb swego wiernego ludu, których nie zdążyłem jeszcze wypowiedzieć, to rada miejska pragnęłaby wprowadzić go do naszego miasta z godną takiej chwili uroczystością. Wszystkie cechy staną zebrane, aby mu towarzyszyć, mnie przypadnie zaszczyt otwarczenia bramy miasta przy salwie moździerzy, gdy godzina dwunasta uderzy na wieży ratuszowej.

— Eh, eh! — zawołał Batory, zawsze w najlepszym usposobieniu — nie nadużywajcie ichmoście mojej cierpliwości, każąc mi czekać do południa. Ten wasz Hermansztadt jest, jak zalotna dziewczyna, pobudza moją chęć ujrzenia go przez stawianie mi przeszkody i gotów jestem postąpić, jak kochanek skazywany na tęsknotę — zdobyć sobie gwałtem oporną oblubienicę!

Rozmawiał tak wesoło, że aż dziko rozśmieli się i panowie węgierscy, ale burmistrz przyjął ten żart pański spokojnie. Orszak księcia był tak mały, że nie mógł budzić żadnych podejrzeń, żadnego niepokoju i burmistrz zaczął się tylko tłumaczyć, że miasto wybrało godzinę południową dla podniesienia charakteru

uroczystości i rozweselenia jej przez jasne już — jak stan pogody zapowiadał — promienie słońca. Sądzone też, że książe będzie po drodze chciał się wywczasować dłużej...

— Przeciwnie, przeciwnie! — zawołał Batory — spałem wybornie na pościeli waszej, alem się zbudził wcześniej, niż zwykle, z niecierpliwości oglądania kryjącej się przedemną oblubienicy!...

Oświadczył w dalszym ciągu, że życzy sobie nie czekać na pochód uroczysty, że chce, jak to już wyraził, widzieć miasto wcześniej i oglądać je swobodnie.

— Trzeba było ichmościom pomyśleć wcześniej o przyjęciu mnie uroczystem — wczoraj — dodał surowo.

Burmistrz zaczął się tłumaczyć, że tak nagłe przyjęcie nie mogłoby być mieć odpowiedniego charakteru, którego właśnie pragnie teraz rada hermanstadtzka dla dowiedzenia swoich uczuć, ale książe prędko mu przerwał.

— Powtarzam ichmościom, że się stało, jak lepiej nie można sobie życzyć. Poznałem właśnie uczucia Sasów w tej gorliwości — o godne mnie przyjęcie...

Uśmiechnął się i z węgierską butą pokręcił piękny swój wąs.

— Która godzina? — zapytał Andrzeja Nagy, który stał obok niego.

— Jest już blisko dziewiątej — odparł zapytany, a Batory obrócił się do burmistrza.

— O dziesiątej mam zamiar zawitać do waszego miasta — rzekł.

Burmistrz skłonił się nisko.

— Pozwoli mi wasza książęca mość, abym choć ja i panowie radni wprowadzili go w mury nasze...

— Bardzo dobrze... bardzo dobrze — zawołał Batory.

Taka uciecha patrzyła mu z oczu, że i panowie jego orszaku, stojący poważnie po za nim, uśmiechali się również, lecz Andrzej Nagy, słynny w dziejach Siedmiogrodu wódz przybocznych księcia luzarów, z którym czytelnik spotka się jeszcze w ciągu naszego opowiadania, wystąpił teraz z tego grona:

— Wasza Książęca Mość niech mi pozwoli, abym jego pierwsze wstąpienie w mury Hermansztadu uświęcił długowieczną pamiątką. Panowie rada—dodał po przychylnem skinieniu głową księcia—zamiarem moim jest, abym w arsenale waszym, który słynie na cały Siedmiogród i kraje węgierskie, jako gmach wspaniały i niespożytej przez czas trwałości, złożył trofea naszych ciężkich walk z sułtanem tureckim, które są razem i pamiątkami moich żołnierskich trudów. Są to buńczuki, zdobyte na Sinan-Baszy, łuki tatarskie, miecz, który nosił Czillag Murza, do czego dołączę, dla uczynienia przyjemności ichmościom, starożytną szablę niemiecką w pochwie ze słoniowej kości. Wszystko to złożone w mocnej i dobrze okutej skrzyni dębowej, ofiaruję miastu waszemu, jako upominek dnia dzisiejszego. Skoro książę nasz i pan zezwolił, czynię to z rozradowanem sercem.

— Pięknie powiedziane, panie Andrzeju Nagy—zawołał książę — pięknie i zapewne tak dar, jak słowa, ucieszą tu przytomnych panów Sasów. Tak tuszę, iż być powinno — dodał, zwracając się do burmistrza, który odparł z godnością, że zamieszkały w krajach książęcych lud saski, a szczególnie też Hermansztad, zawsze był gotów otwierać arsenały swoje dla wszelkich trofeów i pamiątek węgierskich.

— Skoro sposobność potemu się nadarza—dodał ze wzruszeniem, obracając wzrok na księcia—ośmielę się wynurzyć swoje i współziomków moich uczucia. Wierność nasza dla ojczyzny, którą przybraliśmy sobie za matkę, jest niezachwiana, chyba by gwałt nieszczęsny uderzył na nas. Poprzednicy Waszej Książęcej Mości nadali nam prawa i statuty, przy których każdy

Sas zosobna i wszyscy razem pragniemy stać niezachwianie. Nigdy i nic nie wywiedzie nas z tego gruntu, na którym znajdziesz Wasza Książęca Mość wierznych sobie poddanych.

I on też odpowiedział podobnie, to jest słowami, które podwójnie wyłożył się dawały:

— Wierzę słowom waszym, sławetny ojcze saskiego grodu... Wiem, jak dalece liczyć mogę na wierność saską. Która godzina, panie pułkowniku? — zawołał, pytając znów Nagy'ego.

— Dziewiąta ma uderzyć w tej chwili — odparł Nagy, a księżę obrócił się znów do burmistrza.

— Komu w drogę, temu czas — zawołał. — Tak do mnie, jak i do ichmość panów odnosi się to przysłowie... Wy do siebie, a ja do was się śpieszę, zatem do widzenia.

Gdy radcy wyszli, on się wyprostował i srogo spojrzął za nimi.

— Panie Andrzeju! — zawołał — nasze wojsko wyrusza teraz właśnie z Neppendorfu. Czy za dwie godziny stanie tu z pewnością?

— Tak, mości księżę, z pewnością...

— Bardzom rad, bardzom rad z postępowania tych Sasów. Sami piszą wyrok na siebie i nikt nie powie, żem popełnił bezprawie.

Imrefi pośpieszył z pochlebstwem, ale nie był to czas, w którymby Batory słuchał tego.

— Przybierzmy się, przybierzmy się, panowie, na ucztę z Sasami — zawołał i zaczął się stroić, jak powiedział.

Opatrzył szablę swą i pistolety, spróbował nabojów i ostrza damasceńskiej stali, a był przytem rzeczywiście wesoły.

— O, mądre Sasy! mądre Sasy! — wołał — jakżeście zasłużyli mi się wybornie...

Godzina szybko ubiegła, a w chwili gdy zegar miał uderzyć dziesiątą, burmistrz z panami radcami

znaleźli się przed domem księcia, który, ujrzawszy ich przez okno, zaraz sięgnął ręką po zieloną aksamitną czapkę, z drogiem sobolowem futrem i brylantową spinką.

— Nie traćmy czasu, panowie! — zawołał i wyszedł natychmiast z izby w otoczeniu całego swego orszaku i spotkał Sasów w ganku.

Przed domem stał szabowany mocny wóz, zaprzężony w cztery silne, tęgie konie; na wozie była już umieszczona dębowa, okuta skrzynia, z łańcuchami do ujęcia, a obok niej stało na wozie czterech huzarów, uzbrojonych i ubranych jak na paradę. Znać było, że wiozą tu skarb drogocenny.

Na ulicy po obu jej stronach było już dość ludzi, jednak mniej mężczyzn, niż kobiet i dzieci. Stali skupieni na chodnikach, środek ulicy był pusty, bo droga to była księżęca i burmistrz wydał rozkaz, aby nikt nie ważył się tam tłoczyć.

Pochód ruszył zaraz, gdyż Batoremu śpieszyło się bardzo, jak to głośno powiedział. Był prawie niecierpliwy, ale wciąż wesoly, jak rzadko widzieć go było można. Burmistrza wziął sobie po prawicy, choć ten chciał zostawić zaszczyt tego miejsca Imrefiemu, bo był to kanclerz państwa, ale Batory tego nie dopuścił.

Przodem szło trzech radnych, jakoby czyniących księciu drogę. Mieli na sobie szaty urzędowe, togi i berety, po bokach księcia burmistrz i Imrefi, tyłem orszak węgierski, gromadka mężów nieduża. Gdy znajdowano się na sto kroków od bramy miejskiej, Batory przystanął. Zadawał burmistrzowi pytań kilka, tyczących się miasta i okolic; podniósł też przytem oczy w stronę gór, jak gdyby czegoś tam upatrywał, aż naraz w trakcie odpowiedzi burmistrza na pytania księcia, przerwał mu, rzucając Imrefiemu pytanie, czy Dimon nie wrócił z Kronsztadu i czy go niema wśród służby? Ale nie było go; książe pytał znów burmistrza o odległość tego miasta od Hermansztadu i znów, nie do-

słuchując odpowiedzi, o coś zagadnął. Ku góróm wciąż też patrzył, a gdy on stał, stali naturalnie i wszyscy, tylko wóz, który wioził dary dla arsenału Hermanstadzkiego i tocząc się z ciężarem swoim powoli, został bardzo w tyle, teraz orszak dogonił. Wtedy książe ruszył też przędszym krokiem i zaraz dostał się pod ciemne sklepienie bramy, lecz tu stał się niespodziewany przypadek. Skoro tylko wóz, teraz trzymający się tuż za orszakiem, dążąc za nim, w bramę wjechał, złamało się nagle koło i spadło, więc stanąć musiał. Batory obejrzał się wtedy, a że uczynił to i Imrefi, oczy ich spotkały się z sobą.

Sasi tymczasem pośpieszyli do wozu z pomocą, Imrefi zaś zawołał na woźnicę, aby konie odprzęgł, bo zanosi się na długą historję.

— Niech żołnierze przy wozie na straży zostaną—dysponował dalej.—Gdy Jego Książęca Mość po krótkiej bytności w ratuszu, do przygotowanego dla niego pomieszkania się uda, on tu wraz z imei panem Nagy i wybranemi na to od rady osobami powróci i delegatom miejskim zamknięte w skrzyni przedmioty odda.

Burmistrz chciał, może dla porządku, aby wóz z bramy był usunięty, bo uczynił uwagę, że możnaby go z bramy na ulicę wypchnąć, ale Imrefi się zaśmiał żartobliwie.

— Czy mu tu nie dobrze?—zapytał—w żadnym razie nikt ztąd skrzyni nie ukradnie, najpierw dlatego, że dyabło ciężka, powtóre, że pilnują jej uzbrojeni żołnierze.

— Tak... — odparł ktoś z pomiędzy Sasów—ale przechodniom w bramie zawadza, a szczególnie, gdyby ktoś jechał...

— Wyminie go doskonale — odparł Imrefi, ale w tej chwili zawołał:—Ach, dla Boga! książe sam na-przód idzie...—i szybko się za Batorym posunął.

Cały orszak księcia i Sasi także musieli to uczynić. Wóz, od którego odprzężono już i w stronę przed-

mieścia odprowadzono konie, został tedy w pośrodku bramy na jedną stronę przechylony. Żołnierze zaciągnęli przy nim wartę.

Czy burmistrza tknęło jakieś podejrzenie, czy też, jako człowiek do porządku przyzwyczajony, odchodząc jeszcze wzrok po za siebie rzucił, dość, że widział, jak żołnierze, grożąc lancami, odpędzali ludzi, którzy się gromadnie do bramy tłoczyć zaczęli. Byli to wieśniacy z okolicy w kozuchach i wielkich czapkach; snadź rozeszła się już po wsiach podmiejskich wieść o przybyciu księcia i ściągnęła tłum ciekawy. Wóz ze skrzynią, której strzegli uzbrojeni huzarzy, stał się dla nich na wstępie przedmiotem zajęcia. Cisnęli się, pytając, czy to jest książęcy skarbiec? Ofiarowali się wóz do miasta zaciągnąć i żołnierze opędzić im się nie mogli. Jeden szczególnie, młody parobczak, był do zuchwalstwa natrętny i z żołnierzami ząb za ząb się kłócił, lecz tego Imrefi musiał znać, bo gdy, oglądając się na wóz, ujrzał go w pierwszym szeregu tłoczącej się gawiedzi, rzucił mu jadowne i gniewne, jakby nienawiści pełne spojrzenie. Przecież nie zawołał, aby go halabardnik miejski do kozy wzięł, lub przynajmniej po za bramę wypędził. Nie, tylko pięść zacisnął, jak ktoś spotykający się z wrogiem, któremu nie może nienawiści swej w oczy pokazać.

Tymczasem Andrzej Nagy, który zręcznie z orszaku księcia się wysunął i w tyle pozostał, wsiadł co najszybciej na jednego z odprężonych koni. Siodło i uzdeczka gdzieś na wozie pod derą leżały i znalazły się na zawołanie, a on wtedy natychmiast na konia wskoczył, i spiąwszy go ostrogą, jak wiatr po-pędził drogą ku wsi Neppendorf.

Gdyby go kto widział lecącego wyciągniętym kłusem, wzięłby go za złoczyńcę, który przed pogonią ucieka, lub za gońca z niezmiernie ważną depeszą. Nikt przecież z takich, którzyby mogli zawołać na niego: stój!... nie patrzył nań w tej chwili; wszyscy notable miasta byli zajęci przyjęciem księcia. Wszy-

stka straż miejska, prócz dwóch halabardników przy bramie, była ściągnięta na rynek i ulicę, przez które miał się kierować pochód książęcy.

Oczy nowoprzybywających musiał na samym wstępie uderzać ratusz z czerwonej cegły, z lekkimi wieżyczkami i jedną strzelającą wyżej nad inne, a która, jak w kościele, była dzwonnica, bo z niej to uderzał dzwon alarmowy w razie pożaru. lub jakiego niespodziewanego wypadku, budził i zwoływał ludzi. Styl tej budowy był gotycki, podobnie jak kościoła, który się wznosił na drugim końcu rynku, naprzeciw ratusza. Trzeci wielki budynek, stojący u zbiegu dwóch ulic: Sarkantyn i Ryszkas, miał silne mury i wyglądał na gmach warowny. I ten był w stylu czystego gotyku, ale książę, który się przed nim zatrzymał, nie zdawał się obserwować go pod względem architektury.

— Czy to zbrojownia? — zapytał, a gdy mu odpowiedziano, że tak, oświadczył, że pragnie ją zwiedzić najpierw i zaraz też został poprowadzony po pięknych kamiennych schodach, aby przebywszy obszerną sień, wejść do wspinałej i ogromnej sali, okrągłej, której powała przedstawiała w kunsztownej malaturze zasiany gwiazdami błękit nieba. Okna były wysokie a wąskie, w łuk zakończone u góry. Szyby różnokolorowe przedstawiały, w średniowiecznym smaku oddane, różne historyczne sceny i obrazy. Ściany były zamalowane starą bronią, szeregiem pod niemi stały, jak na straży, postacie rycerskie, całkiem w żelazo zakute. W rękach trzymały ostre dzidy, przyłbice były spuszczone i widok to był uryczysty i piękny zarazem, który w pierwszej chwili zaimponował księciu i był moment, że w milczeniu patrzył na ten bogaty i szacowny zbiór, który zgromadziła tu skrzętna i grojsza na ten cel nie żałująca gospodarność Sasów. Chodził od kąta do kąta, od zbroi do zbroi, zajęty rzeczywiście, lecz gdy na zegarze ratuszowym uderzyła

godzina jedenasta, podniósł głowę i zdawał się nasłuchiwać.

Nic przecież nie dawało się słyszeć. Miasto było ciche, bo nikt teraz nie jeździł przez pełne ludu ulice.

Batory wrócił wprędce do oglądania ciekawości starożytnych, na które burmistrz i przełożony zbrojowni zwracał jego uwagę. Były tu rzeczy cenne, były miecze z czasów wojewody Marka, szabla króla Lajona (Ludwika) i wiele podobnych przedmiotów szacownych. Ktoby był przypatrywał się uważnie Batoremu, zauważyłby, że objaśnienia czynionemi zapytowaniami przedłuża, choć od czasu do czasu uwaga jego odbiega kędyś daleko.

A znalazło się tu kilka pamiątek, które niechętnie mu pokazywano i tylko pod nieustępnym z jego strony naciskiem opowiadano mu ich historje. Były to przedmioty, należące niegdyś do ludzi, w których Sasi czcili bohaterów narodowych, a których Batory nazywał zdrajcami. Zdawało się, że doświadcza szczególnej przyjemności, gdy zdybie coś takiego.

— A... a... — wołał z szyderskim uśmiechem. — To relikwie po wiernych kraju naszego rycerzach i obrońcach...

Aż w końcu burmistrz ośmielił się mu powiedzieć, że są to rzeczywiście relikwie po ludziach śmiałego ducha, którzy stali silnie z miłości dla współziomków swoich przy prawach swych, nadaniach książęcych, przez które władcy Siedmiogrodu ściągnęli do ziemi Szeklerskiej, mało uprawnej i w pół dzikiej, pracowity lud saski.

Książę się zmarszczył i spojrzał surowo na mówcę, który stał przed nim błądy trochę, ale poważny i spokojny. Że pragnął, aby ciekawość księcia raz już została nasyconą — nie ulegało to wątpliwości.

Aż naraz, właśnie gdy oglądano starą szablę, widocznie dawnej niemieckiej roboty, a której pochodzenie było zarządowi zbrojowni nieznane — dało

się słyseć silne zadęcie w trąbę, jak gdyby u bramy miejskiej.

Zaraz potem zagrzmiał wystrzał armatni.

— Aha! — zawołał ksiązę radośnie.

## ROZDZIAŁ VI.

### Kula armatnia i księga archiwalna.

Okolo godziny jedenastej dolinę Hermansztadzka zalał niespodziewany potop — zbrojnych ludzi. Szerokim gościńcem ciągnęła kawaleria z węgierskimi znakami; koń za koniem, jeździec za jeźdzcem, waliły się setki za setkami, a cicho jechano po śniegu. Komenda nie brzmiała głośno, zdawała się ona niepotrzebna, bo droga była prosta, a cel wiadomy — żołnierze ci dążyć mogli do Hermansztadu, a na ich czele ten, co dobrze znał drogę — Andrzej Nagy!

Wjechano spokojnie w przedmieście i przebyto je podobnie; prawie niepostrzeżenie przez nikogo. Mężka ludność zajęta była po fabrykach, siedziano pracowicie przy warsztatach, a kto z powodu bytności księcia świętował, był w mieście, gdzie za orszakiem jego pobiegł. Tu i tam wychyliła się jakaś głowa z okna, tu i tam jakiś rzadki przechodzień przystanął na ulicy i patrzył zadziwiony, może nawet niespokojny, ale nie ważył się na nic więcej. Ksiązę był w mieście, przebywał z burmistrzem, z radnymi... Alarmu nikt nie śmiał na razie zrobić, tworzyły się drobne gromadki, ale szeptały tylko pocichu.

Wartownik, który na górnem piętrze bramy miejskiej wartę odbywając, z balkonu otaczającego wyniosła strażnicę, mógł w głąb przedmieścia daleko okiem sięgnąć, dziś w czujności tej zaniedbał się także. Patrzył więcej w stronę miasta, gdzie się ludność jeszcze gapiła, choć ksiązę już czas jakiś z orszakiem swoim na rynku, był w zbrojowni. Wóz w bramie

wyobraźnię uderzał i zajmował, bo wiadano, że to są jakieś skarby drogocenne, z których miastu ma być dar uczyniony, Czekano ciekawie, aż po nie delegaci miejscy przyjdą, gdy naraz ucho wartownika uderzył jakiś szum, jak gdyby wichru w lesie, lecz w stronę, z kąd go dochodził, po to tylko wyjrzał, aby zobaczyć węgierską konnicę księcia tuż pod bramą.

Natychmiast na hasło trwogi w potężny róg za-  
dał, a że to było coś większego, niż pożar w mie-  
ście, z armatki sygnałowej dał wystrzał w powietrze.

Stał się natychmiast między ludnością popłoch wielki. Sasi skoczyli tu żelazną kratę bramy zamknąć, ale nie dało się to prędko uczynić, bo wóz tak wła-  
śnie stał, że zamknąć jej nie pozwalał. Gdy konie odprzęgano, gdy usiłowano niby koło spadłe poprawić, popchnięto go tak, że przeszkodą zrobił się tam. Przy-  
tem Sasi znaleźli niespodziewanych przeciwników w owych wieśniakach, którzy się poprzednio droczyli z żołnierzami, straż przy skrzyni trzymającymi. W chwili, gdy trąba wartownika zabrzmiała, jeden z wieśniaków, ten, co się najswarliwszym okazywał, zrzucił w oka mgnieniu bundę góralską i stanął w po-  
staci wysmukłego, pięknego młodzieńca w koszulce drucianej, który na Sasów wpadł i z zastępem swoim w jednej chwili bramę z nich oczyścił, dla nadciągają-  
jącej konnicy miejsce czyniąc.

Był to Dimon. Wysłany w góry między Szekle-  
rów, aby lud, który Sasów nigdy nie kochał, więcej jeszcze przeciw nim podburzyć, znalazł się tu niespo-  
dziewanie, co w nienawidzącym go Imrefim krew wzbu-  
rzyło, gdy go nagle ujrzał, obierającego stanowisko w bramie. Była między tymi dwoma ludźmi zacięta  
walka o względy księcia, o jego zaufanie toczona i Imrefi nie mógł tego spokojnie znieść, że Dimon, jak z nieba spadły, znalazł się w pobliżu Batorego w godzinie wyrocznej ubieżenia Hormansztadu. Mógł mu część jakąś zaasługi zabrać, mógł, przy swoim zu-

chwaćmy sprycie, księciu jakąś ważną przysługę wyświadczyć...

Dimon po to też wracał, a dlatego wcześniej z orszakiem książęcym się nie złączył, aby swobodnie działać na swoją rękę. Mógł się stać wypadek jakiś— mogli Sasi zdradę zwierzyć i księcia podstępnie w mieście zamknąć, wojska w mury jego nie wpuszczając, i on na taki przypadek chciał się ze swoją gromadą w Hermansztadzie znaleźć. Wybrał się rano i w sam czas trafił, aby bramę ludem swoim zająć, a potem, gdy się z tą sprawą załatwił, skoczył, jak pajac, na tył konia któregoś kawalerzysty i razem z wojskiem ruszył do miasta, w którym wrzało już, jak w kotle.

Gdy huk alarmowej armaty szybami okien arsenału zatrząsał, a księżę zaśmiał się radosnym i zarazem dzikim śmiechem szyderstwa, towarzyszący mu burmistrz zbladł, a panowie węgierscy, których około księcia dwudziestu było, dobyli szabli, jak na komendę, przesłaną im zdaleka, i stanęli przy Batorym, jako straż jego, po której trupie można było jedynie do niego się dostać. I Sasi zbili się w gromadę, której środkowym punktem był burmistrz, ale ci nie mieli broni przy sobie i o ile tamta grupa promieniała dumą i wyrazem tryumfu, o tyle tu twarze były blade i przerażone. W oczach ich błyskał gniew, ale i pomieszenie, nie z tej tylko przyczyny, że zaskoczono ich nagle. Nie wiedzieli, jak sobie poczynać mają? Nie śmieli jeszcze przeciw księciu, jako wrogowi wystąpić, trwoga niepewności, co się dzieje — onie-miła ich.

Ale Batory prędko ich z tego stanu wyprowadził.

— I cóż tak ichmościowie na fantazy stracili?— zawołał szydyczko, ognistym wzrokiem lustrując pobladłych. — O!... o! panowie Sasi, w moim rodzie nikt nigdy dłużnym niewypłacalnie nie bywa i oddaje z procentem, co mu danem zostało. Przed moim stryjem Andrzejem zamknęliście bramy miasta, gdy dla wodza

wrogów, dla Basty otwarte były narozcież, i zakrywaliście dziś przedemną piękny puhar wenecki, który on był sławetnym rajcom w darze przysłał za tę sąsiedzką usługę. Czyż nie prawda?

Nikt mu nie odpowiedział, a on roznamiętnił się głosem własnym.

— Spałem dziś na przedmieściu waszem, a gdzie wy spać dziś będziecie? Mój sen był doskonały, bo miałem świeży i dotykalny dowód, który mi świadczył, jakie to są wasze uczucia wierności dla księcia Siedmiogrodu, w którym wy osobny naród tworzyć chcecie. A sterujecie zręcznie nawą waszą... Złożyliście hołd wojewodzie Michałowi, odbiegając naszego nieszczęśliwego stryja... odstępując go, gdy do cofania się w tył, do ustąpienia przed nieprzyjacielem był zmuszony. Nie chcieliście się bić z wrogiem ojczyzny, żałując na to krwi i złota waszego, bojąc się o wasze miasto, któreście nie przed obcym, ale przed swoimi obwarowali tak mądrze. Potem, bojąc się zemsty, nalsaliście na księcia waszego, na potomka Batorych, zabójców płatnych i nie tłumaczcie się teraz z tego, nie odzywajcie się ani słowem jednym. Cicho! — wykrzyknął, gdy widział, że ze strony Sasów chciała wyjść protestacya. — Cicho, wy nędzni... On był sam jeden przeciw stu, tak, jak ja tu teraz jestem obskoczony, jak rumak szlachetny przez stado wilków... O! rachunek to dziś jest z pysznem miastem waszem... Jest Hermansztad... nie będzie Hermansztadu... ja to wam mówię, Gabryel Batory...

— Imrefi!... — zawołał — twoim staraniem zwierzam szanowną radę tego wiernego grodu i gdy dziś zajdzie słońce, obowiązkiem twoim jest dać im mieszkanie, tak dobrze nakryte, ażeby śnieg na nich nie padał, a tak ciasne, ażeby im w niem ciepło było... Niech też nie przeładują sobie żołądków strawą zbyt obfitą, boby się pochorować mogli...

Nie strategicznie postąpił książę. Chcąc, ażeby słowa jego mogły mieć skutek, powinien był naj-

pierw ułożyć, aby jego orszak mocno zbrojny i mający pod barwnymi żupanami koszule druciane, zajął był pozycyę koło drzwi i dopiero się z Sasami rozprawił. Byłby ich wtedy wszystkich miał w swej mocy, żywych, czy umarłych, ale gwałtownik i nieraz okrutnik pod dziką siłą rozigranych namiętności, Batory to jednak był i miał na dnie natury swej wsiane tam przez Boga ziarno szlachetności. Dziko - srogie rozkazy często wydawał, ale osobiście w starciu człowieka z człowiekiem nie umiał pułapki zdradnej urządzić i popełnił teraz wielki błąd—radę Hermansztadu wolno wypuścić, bo gdy owe szydercze słowa wyrzekł do Imrefiego, gdy wyraźnie i jawnie wydaną miastu wojnę ogłosił, burmistrz, który w niepewnem położeniu głowę stracił, teraz ją nagle podniósł.

— Bracia moi i współobywatele! — zawołał na radców. — Dzieje nam się gwałt i nie dajmy mu się spełnić... Protestuję przeciw zamiarom waszej książęcej mości! — zawołał, cofając się ku drzwiom, około których stał, otworzył je i wyszedł na czele nielicznej gromadki, której w pierwszej chwili nikt nie ścigał, bo burmistrz był siwowłosy i poważnej bardzo postawy, co sprawiało w rycerzach węgierskich wstręt do rzucenia się na starca, bo choć dla przywilejów urzędu swego przy boku też szablę miał, trudnoby mu było bronić się.

Ale Batory, widząc uchodzących i rozgniewany protestacyą burmistrza, krzyknął, ażeby ich ścigano, a że do Imrefiego i teraz się zwrócił, poskoczył on, a za nim i kilku innych. Przecież spotkali się na schodach z zastępem liczniejszym, niż ten, który salę opuścił. Że w mieście wiedziano, gdzie burmistrz z radnymi się znajduje, więc na hasło trwogi, z wieży bramnej dane, ławnicy, którzy na Batorego w bramie ratusza czekali, krzyknęli, aby po burmistrza, jako po naczelnika miasta biedz i węgierscy panowie znaleźli na schodach ludzi, którzy im opór stawili w pochwyceniu radców. Młodzi ławnicy, biegnący po

burmistrza, wystąpili z tym oporem i zagrzewali lud, który słysząc hałas i szczęk broni, hurmem się do sieni arsenału i na schody jego tłoczył.

Walka przeniosła się wkrótce na ulice. Węgrzy musieli się teraz tam wydostać i przebojem torowali sobie drogę wśród obskakującej ich zgrai, a gdy ścieląc sobie przejście trupami, wypadli nareszcie na otwartą przestrzeń, złączyli się prędko ze swymi, bo żołnierze Batorego już na rynek wpadli, siekąc i mordując z konia lub pieszo; przecież, gdy pod którym padł rumak, nożem lub sztyletem trawowanego lud przebijają.

Ale siły były nierówne; napad, na nieprzygotowanych urządzony, musiał zostać zwyciężkim. Żołnierze rozprawili się prędko z gwardyą miejską, która się wśród popłochu zbiegać i formować zaczęła. Wycięto w pień tych, którzy bronić się próbowali; plądrowano miasto, przyczem wydano rozkaz, aby zabierana była wszelka broń u mieszczan znaleziona i to dało pierwszy początek rabowania, którego dopuszczał się żołnierz, podniecony jeszcze nieprzychylnem uczuciem, jakim wogóle Węgrzy i ludność szeklerska tchnęła zawsze względem Sasów. Broń zabieraną zносили żołnierze na rynek, jako trofea, i układali w stos, na który Batory z okien arsenału patrzył szyderczym wzrokiem. Postawiono przy tych łupach straż z nabita bronią i Sasi nie mogliby teraz łatwo odbić narzędzia obrony.

Przecież po ochłonięciu z pierwszego przestraschu, lud jak mógł, choć z drewnianymi palami, pod ratusz gromadzić się zaczął. Z przedmieść go nie przybywało przecież, bo teraz wóz z darami Andrzeja Nagy usunął się już i kraty bramy miejskiej zamknięto. Wartownik na ganku wieży bramnej już też inny był, niż ten, który sygnałem swym tak Batorego w wesoły humor wprawił. Tamten zapewne już nie żył, przez Dimona ostrym sztyletem w pierś uderzony, bo on to miał przy sobie klucze od bramy, gdy

ją teraz Węgrzy pod swoją straż wzięli, do ich rąk dostać się one musiały.

W mieście zato Sasi zaczęli twierdzę sobie wznosić. Ratuszową bramę zawarto, zatarasowano czem się dało i gmach cały umocowano pośpiesznie. U okien były wewnątrz umieszczone okiennice żelazne i poprzedniej okna niemi zasłonięto, aby odbijać mogły kule, któremi Andrzej Nagy kazał w mury radnego gmachu walić. Szyby szklane już wyleciały wszystkie, ale od żelaznej blachy strzały odbijały się tak bez skutku, jak bez skutku pozostawał dotąd szturm do bramy. Tu dowodził Dimon i żelazną maczugą wściekle tłukł, ale mocne wrota opierały się, a żelazne okiennice odmykały się czasami niespodziewanie, aby dać przejście strzałom, które wymierzone w kupę zbitego u bramy żołnierstwa, nigdy nie chybiały.

Batory na podanego mu konia już teraz wsiadł i ulicę objeżdżał. Zrazu pędził jak człowiek oszalały; upajała go namiętność wywieranej zemsty, dym wystrzałów i war lejącej się krwi. Trzeba mu było niejako wydyszyć z siebie ten gniew, z którym się tak długo kryć musiał, trzeba mu było dziko swobodnego ruchu po upokorzeniu kłamliwej maski, jaką dwadzieścia cztery godziny nosił. Ale po pewnym czasie i rumak się shasał i jeździec się zmęczył. To przebywanie kłusem nieznanym mu miejsc, ulic wąskich i przez wysokie kamienice zaciemionych, a to przy głuchoj wrzawie, huczącej gdzieś zdala, wśród bliższych mu krzyków, jęków i zawodzeń żałosnych, strudziło go wkrótce. Chciałby był odpoczynku i jakiejś zmiany, bo zemstę swoją już był nasycił, dumie zadosyć uczynił. I puścił lżej cugle konia, bieg jego zwolnił, lecz jadąc wolniej, zaczął natrafiać na przykrzejsze jeszcze rzeczy. Gdy rumak niósł go hardym kłusem przez zdobywane miasto, przelatywał jak gdyby we śnie jakimś przez piekło, miał przed sobą chaos okropności, ale teraz pojedyncze epizody szturm i obrony ukazywały mu się w swoich okrutnych

obrazach. Widział teraz starców, dzieci i kobiety pchane kolbami żołnierzy; gromady ludzi kłute dzidami, trupy tratowane kopytami koni i gdy powrócił na rynek, gdzie Nagy jeszcze zdobywał ratusz, blady był i ponury.

— Andrzej!—zawołał — podjeżdżając do swego generała—ci Sasi uparcie się bronią. Wyrznij wszystkich, jeżeli chcesz, ale kobiet i dzieci niech nie tknie nikt. To istoty niewinne, nie one robią bunty i spiskują z Wołochami.

Nagy ruszył ukradkiem ramionami, bo gdzież to żołnierz, biorący miasto szturmem, przebiera między winnymi lub niewinnymi? Lecząca kula jest ślepa, ostrze żelaza tnie, gdzie padnie.

Trzeba dodać, co zapisała historia, że Gabriel Batory tym swoim manifestem litości objął i pracowity lud rzemieślniczy. Zabronił palić i plądrować ulice, rozciągające się pod wałami miasta, a które zamieszkiwała ludność robotnicza.

— Podwali niech nikt nie ośmieli się plądrować—wołał głośno, przejeżdżając szeregi.

Walka naturalnym sposobem skupiła się też na rynku. Co było w mieście dzielniejszego, waleczniejszego serca mężów i młodzieńców, broniło bramy ratuszowej, a broniło tak dzielnie, że bój przedłużał się nadspodziewanie, aż Dimon wpadł nagle na myśl innego ataku.

— Na mury!—krzyknął i zaraz zaczął się pięć po rynnę i chwytając się za gzemsy, za ozdoby architektoniczne, dostał się na dach i przysiadłszy tam na momet odpoczynku, zaczął przyzywać innych za sobą.— A z siekierami!—wołał—z toporami tu... Nie z dołu, ale z góry zburzymy i spalimy gniazdo buntowników.

Liczni ochotnicy wystąpili z szeregow, aby pójść za tym głosem. Przy pomocy lin i siekier, które się prędko znalazły, kilkunastu niszczycieli wdrapało się na

dach ratusza i zaczęto go rąbać, zrywać płatami ciałami: dachówki leciały z góry na dół, jak grad olbrzymi i było to już rozstrzygnięciem walki. Obrona mogła ją tylko przedłużyć, ale nic już, prócz chyba jakiejś niespodziewanej pomocy z zewnątrz, nie mogło ocalić tak miasta, jak ratusza Hermansztadu od zajęcia przez Batorego.

Jakim miał być los ratusza, rozstrzygnął nagle Dimon.

— Słomy!—zaczął naraz wołać z góry—słomy, czy siana, krzesiwa... Chcę podkurzyć prześwietną radę hermansztadzka, jak szerszenie w dziupli...

Tłumy ludzi na dole jęknęły, płacz się rozległ i wtórowały mu tylko uderzenia toporów na dachu, do którego, krokwi już się dobrano. Batory, patrząc na dzieło Dimona, szepnął:

— Dyabeł — i odjechał do arsenału. Z jego okien mógł widzieć lepiej, niż z dołu, cały obraz walki na jej obydwóch punktach.

Ale widzieć nie mógł tego, co zasłaniały mu mury: sali radnej i zebranych w niej rajców i ławników. Była ona wielka i wspaniała, ściany i powała pełne były rzeźb i ozdób w stylu niemieckiego gotyku, w rogach stały posągi, na ścianach wisiały obrazy tych burmistrzów, którzy szczególnie zasłużyli się miastu, a z pomiędzy których niejednego nie byłiby Sasi chcieli pokazać Batoremu.

Teraz nie było można rozpoznać ich rysów, bo w sali przy zamkniętych szczelnie żelaznych okiennicach panowała ciemność nocna, a rozświetlał ją tylko niepewnym, migotliwym blaskiem ogień, palący się na wielkim kominie ze wspaniałym marmurowym okapem. Naokoło ścian, stały rzeźbione dębowe ławy, mieszczące zwykle ławników i patrycyuszów miasta, którzy chcieli być przytomnymi naradom, lub pragnęli brać w nich udział. A i teraz było ich dość—kilku dziesięciu.

Przybiegli na dzwon alarmowy i już pozostali tu,

choć tam ich domy, ich majątki zostały bez obrony, wydane na łup zwycięzcy; ale tu było obowiązkowe miejsce ich jako urzędników w zarządzie miasta, więc na niem zostali.

Wiele miejsc młodych ławników było jednak próżnych — ci byli na dole i kierowali obroną bramy; kilku klęczało koło okien i przez dolne otwory w okiennicach strzelało do napadających. Pachołkowie miejscy nabijali im broń na zmianę i podawali, aby ogień nie ustawał. Raził on oblegających, bo pozycja była dobra i celowano umiejętnie, ale tam na dole nikt się nie pytał, kto ginie? Siła oblegających była taka, że nie potrzebowali liczyć ubywających.

Strzelający wiedzieli to, wiedzieli, że tylko przy pomocy cudu lub wypadku mogli zostać ocaleni, przecież bronili się do ostatka, bo uciec z posterunku byłoby hańbą. Gdy Dimon wołał z dachu: — słomy... siana... niech czerwony kogut zapieje tu panom Sasom... Batory rzekł namiętnie:

— Tak... słomy, siana... płomieni... Niech spłoną raz te ich dokumenty i przywileje, cyrografy, którymi Siedmiogród związał sobie ręce wobec tych zdrajców... Zrobię Dimona szlachcicem, odzieję w płaszcz szkarłatny, niech tylko spali te ich podłe pargaminy!

Te pargaminy były już przecież przeniesione wszystkie do głębokich, sklepionych piwnic, które się znajdowały pod ratuszem. Znoszono je tam w nieładzie, w pośpiechu, od którego ręce drżały, ale wszystkie były już zabezpieczone przed zniszczeniem jakiegokolwiek rodzaju. W piwnicach tych kryło się jeszcze kikadziesiąt kobiet, które tu przybiegły w przeobrażeniu i których nie odepchnięto. Były matki, które pozostawały w domu, ale córkom nakazywały pod błogosławieństwem uciekać do lochów ratusza: obojętne to czy się spali i one zostaną żywcem pogrzebane pod górą gruzów ogromnego gmachu!... Los ich na powierzchni ziemi nie byłby lepszym...

W sali na górze ojcowie i mężowie tych kobiet

odbywali naradę. Przy wielkim, zielonym suknem nakrytym stole, zasiadł burmistrz z radcami. Na pytanie, co czynić im wypada, odpowiedziało zrazu tylko głucho milczenie, ale wkrótce potem zabrzmiało wiele głosów, namiętnie sprzecających się między sobą. Krzykliwe były i coraz silniej podnoszące się w dyapazonie swoim, bo chciały panować nad opozycją przeciwników i straszliwym hałasem z ulicy. Wiele z nich domagało się deputacyi do Batorego i błagania o łaskę, ale niemniejsza liczba wołała:

— Nie, nie, nigdy... Zdrajca jest i człowiek podstępny; przyrzecze i nie dotrzyma, a na gruzach naszych domów zostanie ta hańba, żeśmy spodlili się daremnie...

Odpowiadano im niemniej gorąco, że nie mają prawa brać na siebie odpowiedzialności wydania na zniszczenie tego, co nie budowali oni, ale wieki. Hałas wzrastał; zapomniano prawie, co to jest za chwila, gdy z ławy podniósł się starzec siwy i zażądał głosu. Burmistrz mu go dał, uciszając spory, a sędziwy ławnik powstając oświadczył, że nikt, prócz Boga, nie może wiedzieć w tej chwili, co może być dobrem dla miasta i zażądał, aby dano każdemu wolę postępowania jak chce, unosząc tylko z pogromu to, co w ostatniej nawet klęsce uratowanem być zawsze może: zaprotestowanie przeciw sile, której oprzeć się nie zdołano. — Zaprotestujmy przeciw gwałtowi i zostanie to wiekowym świadectwem, że gwałt uczynił nas bezbronnymi. Nie myśmy odstąpili od praw, które przysługiwały nam i dzieciom naszym, lecz odjęto je nam przemocą...

Skończył, a milczenie jeszcze trwało, aż przerwał je burmistrz. Siedząc na wyniosłym swem krześle z poręczami, trzymał rękę na wielkiej księdze, oprawnej w białą skórę. Księga to była archiwalna, jedyny papier nieuniesiony z sali radnej, bo trzeba w niej było zapisać rezultat odbywającego się posiedzenia i oto miał on być protestacją radnych Her-

mansztadu przeciw napadowi Batorego. Burmistrz oświadczył się za wnioskiem ławnika i wezwano pisarza, aby akt ten spisał, a przypadek chciał, że w tej chwili zagrzmiął pierwszy wystrzał armatni, wymierzony przeciw miastu z jego własnych armat, które przeszły teraz w moc napastujących. Huk rozległ się s traszliwie i szczątki szkła z powybijanych od pocisków szyb wypadły z brzękiem głuchym, a zaraz potem usłyszano pierwsze uderzenie topora, niszczącego dach ratusza.

— Protestujemy! — zawołał burmistrz, a że trudno było pisać w ciemności, niewiele co rozświetlonej przez ogień kominowy, rozkazał służbie zapalić światło.

Ci, co nabijali przed chwilą karabinki strzelającym z okna panom, teraz oświetlili salę tak, jak bywała oświetlaną niekiedy na walne zebrania wieczorne. Bywało tak zwykle w wigilię Nowego Roku. Zamykano czynności ubiegłych dwunastu miesięcy i spisywano wezwania do zgromadzenia się w pierwszą sobotę rozpoczynającego się roku dla wybrania nowej rady.

Wielki pajak, spuszczaający się nad stołem radnym, zostawał zapalony, a płomień dwudziestu czterech świec jarzących, łamiąc swój blask w kryształach zwieszających się wkoło ozdób, rozlewały światło ponad stołem. Teraz nie było czasu tego czynić: zapalono tylko sześć świec, lecz zarazem zapalono i cztery pochodnie woskowe, trzymane przez cztery marmurowe postacie, stojące w rogach sali. Burmistrz posunął księgę i pisarz spisał to, co mu dyktował:

„My, burmistrz wolnego miasta Hermansztadu, siedmiu radców do pomocy nam dodanych i ławnicy, przedstawiający współobywateli naszych, a przedniejszych mieszkańców miasta, protestujemy przeciw czynowi księcia Siedmiogrodu, Gabryela Batorego, który bez żadnej przyczyny, jawnie wyłuszczonej, prawa na-

szego miasta naruszył, podstępem w mury jego siłę zbrojną wprowadził i gwałt miastu naszemu zadał..

„Protestujemy zatem my wszyscy, niżej podpisani, i zakładamy zarazem apelację do przyszłości, aby przyznane nam prawa zwyczajowe: *usus* i przywileje, zapewnione księgami nadań i ustawami dawnych władców Siedmiogrodu, pozostały nietknięte tak, jak przez nas zaprzysiężone i przysięgą koronacyjną jego książęcej mości Gabryela Batorego utwierdzone były.

Datowane w izbie radnej ratusza naszego 12-go grudnia 1610 r.”

Wszystko było spisane po łacinie, jak tego unia Węgrów z Sasami wymagała, a ręka piszącego, choć drżąca, usiłowała czynić pismo swoje wyraźnem. Kończył właśnie, gdy zagrział drugi wystrzał armatni, a tym razem kula, przebiwszy żelazną okiennicę, wpadła do sali i przeleciawszy nad głową piszącego, utkwiała w przeciwnych drzwiach. Zrobił się popłoch straszny. Stojący wkoło stołu odskoczyli pod ściany, ale burmistrz zdołał zachować zimną krew. Posunął księgę do siebie, podpisał i wywołując z listy nazwiska tych, których podpis powinien był tu się znajdować, podawał im księgę do podpisu.

I wszyscy stawili się na wezwanie, siłą ducha burmistrza podniesieni, a było teraz w izbie radnej jaśniej, niż w pierw, bo zgruchtana okiennica dawała przystęp jasności pogodnego, słonecznego dnia przez odsłonięte okno. Światła mieszały się z sobą, ukazując oblicza blade, jak kreda.

Zanim podpisy ukończono, stał się wypadek nowy jeszcze. Dimon dorąbał się do sufitu sali, która była wysoką na dwa piętra. Już poprzednio słyhać było nad głowami piszących rumor walących zapamiętane toporów, aż naraz świecznik zatrząsł się tak, jak gdyby miał runąć, a w jednym kącie sali powała zaczęła się walić, gruzy sypały się, leciały z trzaskiem i hukiem, napełniając komnatę radną kurzem, a ser-

ca ludzkie trwoga. Już też teraz mała tylko garstka odważnych pozostać zdołała. Uciekano—uciekano, tłocząc się, potracając i przy burmistrzu pozostało tylko sześć osób—mężów, tak jak on nieugiętych.

Trzeba było kończyć pośpiesznie ostatni referat, jaki miała sporządzić wolna jeszcze rada miasta Hermansztadu, zanim miejsce jej obrad ulegnie ruinie ostatniej i burmistrz wzruszonym głosem zawołał na pisarza o pieczęć miejską.

Dwie świece paliły się na stole po dwóch stronach kunsztownej bronzowej szkatułki, w której zamknięta była pieczęć. Zanim pisarz zdołał ją otworzyć rękami, które drżały, przez otwór wyrąbany w powale, a który powiększał się coraz więcej wśród huku rąbiących toporów, wpadło kilka palących się wiązek siano. Padając na gruz, który zalegał już posadzkę, rozleciały się na garście płomieniste, napełniając salę ostrym, gryzącym dymem.

— Pieczęć! panowie—zawołał burmistrz.

Ten miał tak wielką siłę panowania nad sobą, że prócz bladoci, twarz pokrywającej, nie było znac na nim ani trwogi, ani przerażenia. Spieszył się tylko, ażeby nie zabrakło mu możności wykonania obowiązku. Gdy pieczęć wręczoną mu została, dopisał szybko pod niedokończonym szeregiem podpisów: „Reszta nieobecna” i pieczęć na rozpuszczonym laku wycisnął.

Poczem księgę na bronzowe klamry zamknął, pieczęć w szkatułce umieściwszy, w zanadrze schował, a wreszcie księgę samą pod pachę biorąc, rzekł:

— Odraczam posiedzenie nasze aż do czasu, gdy panowanie przemocy, której ulegamy, usuniętem zostanie...

Księgę i pieczęć unoszę z sobą i chyba razem z życiem odebraną mi zostanie. Gdybym, unosząc ją ztąd, padł, jeszcze ją trupem swoim nakryję, a wtedy, jeżeli będzie gdzie blisko jaki człowiek uczciwy, niech

ją podejmie i przechowa — świadectwo to gwałtu popełnionego na nas i mieście naszym...

Wyszedł w ostatniej już chwili, aby tak on, jak i protest przeciw Batoremu założony, nie został pogrzebany pod gruzami i stłony razem z niemi na popiół. Wiedział on, że już nikt, prócz chyba Boga, ruiny i pożaru ratusza Hermansztadzkiego nie wstrzyma, przecież płaszcz, który miał na sobie, zdjął z bark i rzucił go rozpostarty na palące się siano, buchający w górę płomień przygaszając.

Nie zostawił po za sobą pożogi obojętnie—spełnił powinność ojca miasta i wyszedł na mróz grudnia w szacie lekkiej, unosząc tylko pieczęć i księgę archiwalną.

---

## CZEŚĆ TRZECIA.

---

### ROZDZIAŁ I.

#### Siedmiogród w 1611 roku.

Wybuduj sobie wspaniale wysoką wieżę; postaw nanowo zwodzone mosty; szczyty gór zaludnij rycerzami; na wieżycy zatknij dumny sztandar.

*Bulwer.*

Unieśmy się na śmiałych skrzydłach wyobraźni, jak orzeł, który w chmurach pływa; ulećmy ponad ciasne doliny, ponad wyżyny gór i z obłoków spojrzymy na Siedmiogród, leżący jak obraz czarodziejski. Jako nieprawidłowy trójkąt roztacza się on z zachodu na południe; olbrzymie góry i skały tworzą jego naturalną granicę; część ich, to odnoga starych Karpat, która niezliczonymi gałęzmi rozchodzi się po całym kraju i obejmuje obszerne przestrzenie; tu leżą naj-

piękniejsze doliny w Siedmiogrodzie, jak: Ogaras, Hat-szeg, Harom Szek i mnóstwo innych. Pierwszą rzeczą, którą ówczesny Siedmiogród od dzisiejszego odróżnia, to bujniejsza, dziksza natura. Puszcze, które dziś zniszczył okrutny topór lub ogień, rozciągały się wówczas od gór do gór, od doliny do doliny, gęste, nieprzebyte, pokrywające głównie Szekelyföld (ziemia Szeklerów), lecz niemniej i innym częściom Siedmiogrodu nadając przez wdzięk młodości wspaniałą piękność. Bezplodne dziś pustynie, były wówczas niby oazami wołnej zieleni lasów, niby wyspami pełnymi życia i wrzawy.

Wdzięczną dla oczu rozmaitość stanowi widok cichych, żyznych dolin. U stóp gór ciężkie, bogate kłosa złocą pola uprawne pracowitą ręką Szeklera, albo zieleni się wysoka trawa na pastewnych łąkach, albo wdzięczą się kwieciami i owocem rozległe sady i ogrody.

Potężne rzeki szumią, płynąc wskrosz tych płodnych dolin, przyjmując w siebie tysiące drobnych strumieni. Jak roztopione srebro, płynie ku ziemi węgierskiej rzeka Nagy-Szamos, poczem, zatoczywszy łuk olbrzymi, opływa piękne, w historyczne wspomnienia bogate okolice, a między niemi Dees, gdzie według starej legendy, sześciu wodzów węgierskich uznało prawdziwego Boga. Dalej to Tuhuvar, gdzie Tuhu-wezyr pierwsze rozbił namioty i zbudował szańce, których resztki dziś jeszcze daje się widzieć.

W pośrodku tego krajobrazu widzimy najpiękniejszą rzekę Siedmiogrodu, zieloną barwą mieniącą się wody Maros, gdzie na brzegach młyny klekoczą, a na falach płyną tratwy i statki różne, śpieszące się ku południo-zachodowi. Najpiękniejsze, najbogatsze punkty nadbrzeżne: Maros-Ujvar, Fehervar, Branyick-sa, a tu starożytny zamek Szalanczi, który w epoce Izabeli należał do potężnego rodu Martinuzzich. Niżej na południe żółtawy Olet lśni przed naszym okiem, przecinając dolinę Fogaras, otoczoną śnieżystymi wierz-

chołkami Alp wołoskich. Z uroczystą powagą gnąc się niby wąż dyamentowy, śpieszy on do starego Dunaju. Zczerniały od burz czasu gród Fogaras, znakomita twierdza obronna, a w chwilach niebezpiecznych schronienie władców Siedmiogrodu, w epokach krwawych zapasów wojennych, nad brzegiem Oltu wznosi swe odwieczne mury.

Nie mniej ciekawe okolice przepływa Aranyos (rzeka Złota), Kulullo, Saje i tysiące strumieni, srebrzystą swą falą użyzniających piękną krainę Siedmiogrodu. Piękności tego obrazu wzrastają, gdy tuż obok ponad niemi piętrzą się niebotyczne skały granitu, nieraz na kilka tysięcy stóp wznoszące się nad poziom morza. Wśród tych skalistych wyżyn ciągną się obfite żyły rozmaitych kruszców. Najwyższe szczyty przedstawia Szurul nad Hermansztadem, Retyezas nad Hatszegiem i Magura nad Radną.

Nie bezludnym przecież, ani też nie pustym jest ten kraj prześlizgnięty; otoczone murami grody stare widnieją tu wszędzie. W samym środku Kolosvar z dumnymi wieżami, niżej już murami niezaściana Torda: na południe Hermansztadt, Brasso (Kronszadt), Deva; na północy Besztercze (Bistritz). Wszystkie te miasta nie były wówczas tak wielkie, białe, porządne, jak dziś. Panowała tu znacznie większa prostota w urządzaniu życia, daleko mniejszymi były jego wygody, ale ludzie w nich żyli zadowoleni i szczęśliwi.

Lecz nie tylko w dolinach znać było ludzką gospodarkę. Na szczytach gór unosiły się obronne zamczyska, nie w ruinach, jak dziś, nie przez jaszczurki i nietoperze zamieszkałe, nie cierniem i ostem zarosłe, ale silne, wspaniałe, wyniosłe, z obrobionych kunsztownie kamieni, lub barwistej cegły zbudowane. Potężne baszty, wały obszerne, mosty zwodzone, silne arkady pogrążone w wodzie, otoczone białem i różowym kwieciami nenufarów i ich zielonym lśniącym się liściem, nadawały zamkom moc i powagę.

Nie rozlewały się wtedy wśród pustych komnat

z oknami bez szyb smętne blaski księżyca, nie zaludniały ich posępne duchy i cienie przeszłości, w obszernych salach nie królowała samotność i milczenie.

Kwiat dumnych węgierskich rycerzy na bogato osiodłanych rumakach, w barwnej odzieży, z orężem w ręku, z piersią pełną gorącego pragnienia chwały, wali w mocne, twarde bramy zamkowe i tętnią kopyta rumaków po mostach zwodzonych. Na obszernych balkonach i we wspaniałych komnatach, których ściany po tylu stuleciach dziś jeszcze podziwiamy, czekają ich piękne panie i panny, matrony i dziewice, a na obliczu każdej powaga i słodycz i wdzięk niewymowny, czy na licach ich kwitną róże wiosny, czy śnieg zimy bieli im włosy. I jedwabne ich szaty szeleszczą po kamiennej podłodze, a drobne, lekkie nóżki młodych ledwie dotykają ziemi haftowanym trzewiczkiem. We włosach pań dostojnych błyszczą złote węże łańcuchów, wschodniemi perłami przetykane są kosy dziewic. A gdybyś je zobaczył w dni godów: w sukniach złotem i srebrem tkanych, w drogich naszyjnikach dyamentowych, naramiennikach i manelach, nie mógłbyś bez rozkoszy wewnętrznej patrzeć na te istoty świeże, pełne życia i wdzięków niezrównanych.

Taki to obraz piękny i wspaniały przedstawiał Siedmiogród w r. 1611.

Sasi popatrywali mury miast swoich, wrota pozamykali, na wieżach postawili baczących strażników. Widziało się ciemną nocą wieśniaków, jak do grodów i zamków na ciężkich wozach wieźli swe mienie. Na szeklerskich wozach rozjeżdżali się po kraju werbownicy księcia z muzyką cymbałów i skrzypiec, bogatemi darami jednąc sobie stronników, zawsze gotowych do boju, ze śmiechem na ustach zamieniał Szekler lemiesz na włócznię, siekiere na ciężką maczugę. Od wypadków opisanych w rozdziale poprzednim naszej powieści minął pewien okres czasu, zbyt wa-

źnemi brzemienny wypadkami, abyśmy mogli je milczeniem pominąć.

Hermansztadt uczynił Batory swą rezydencją książęcą. Sędziów hermansztadzkich i radę miejską, która musiała ustąpić sile po daremnej protestacji i nieustraszonej obronie, wtrącił do więzienia. Zbiór dokumentów i dyplomów zniszczył, i tylko księga archiwalna, którą burmistrz ukrył tajemniczo, pozostała mieszkańcom Hermansztadu, aby świadczyć o tym dniu okropnym, w którym odjęto im zaprzysiężone prawa i przywileje, na zasadzie, że pozostali pomimo unii z narodem, cudzoziemcami, uważającymi węgierską ziemię nie za dom swój, nie za macierz swą prawą.

Popelniono w Hermansztadzie wiele okrucieństw, a gdy Gabryel Betlen i inni zwracali uwagę księcia na skutki tych siejących nienawiść postępków, odpowiadał dumnie, że nie może łagodniej ukarać Sasów za zabójstwo Andrzeja Batorego, dodając, że dla dobra Siedmiogrodu należy wytepić całe to plemię, zawsze wrogie i obce wśród miejscowej ludności, które nie chce złąć się z nią w jedną całość, przechowując nienawistną Węgom i Szeklerom odrębność swą niemiecką. Że tak było — dzieje dowiodły, ale dlaczego sprowadzono do kraju ten żywioł obcy i czekać nie chciano aż w procesie wieków węgierskim się stanie? Ale ludzie nie chcą brać w rachunek skutku błędów swoich, nie leczą zła racjonalnie pokutą powolnej pracy, tylko chcą łamać gwałtem to, czego gwałt nie łamie — duszę i serce ludzkie.

Nazajutrz po zburzeniu Hermansztadu przybył tu Gabryel Betlen. Szlachetną jego duszę przejęła zgroza na widok rozścielający się dokoła. Surowo i zimno przyjął go Batory, ale to nie przeraziło ani trochę Betlena. Śmiało rzucił w oczy słowa prawdy z powodu zniszczonego miasta i żądał, aby księżę wypuścił z więzienia sędziów i radę.

Batory powtarzał wciąż jedno, zarzucając Sasom

dwulicowość i fałszywość; twierdził, że ich przywódcy, jak Niemiec Vehm, tajemnie knują spiski na jego życie, że otoczyli go gromadą szpiegów i do tego stopnia posuwają swe zuchwalstwo, że ośmielają się przed nim wrota miast swych zamykać. I dowodził, że ich język, ich zwyczaje, prawa i przywileje taką siecią oplotły Siedmiogród, że Węgrzy muszą tu zejść na plan drugi, ustąpić pierwszeństwa — przybłędom. Węgier musiał rzeczywiście westchnąć, myśląc o tej obcej, a uczuciem miłości ojczyzny, tak jak on, nie ożywionej ludności licznej, ale czemuż sam ją tu wpuścił? Rycerz dumny nie chciał się jać pracy, którą pogardzał, i sprowadził sobie robotników, nie myśląc, że ci ludzie rozrodzą się przeciw z czasem, że odgradzeni od całości narodowej brakiem sympatii, nie zleją się z nią. Wpuścił ich w środek kraju, chcąc mieć z nich wieczne sługi i oto wytworzył sobie w domu własnym wrogów.

Betlen wszelkimi sposobami starał się przekonać księcia, że niechęć ludu saskiego przeciw niemu wywołały głównie samowolne postęпки Węgrów.

— Nie drażnijmy ich—mówił—nie naruszajmy praw nadanych, nie żądajmy od nich więcej nad to, co dać mogą — wiecznego uniżenia i niewytrzymałego dla żadnej istoty ludzkiej stanu upośledzonej niższości...

— Nędzne szczury miejskie, podle krety i chciwi wyzyskiwacze, wyciskający z nas pieniądz wszelki—odpowiadał Batory gniewnie.

— Czy rozbojem pieniądze zbierają? — zapytał Betlen.—Pracują i zbierają owoc swej pracy. Oszczędni są i nie roztrwaniają tak, jak my, bogactw swoich i dlatego bogaci.

— Dość! — zawołał gniewnie Batory. — Rad i wskazówek o tyle potrzebować zwykłem, o ile ich żądam. Czy wiesz waszmość, że kochać swój kraj nadewszystko zowie się cnotą węgierską, a waść ją depcesz nogami, stając w obronie Sasów. Po chrze-

ściańsku to jest może kochać nieprzyjacioły, ja przecież chrześcianinem takim nie będę nigdy. Tak, tak!— wołał ze wzrastającym uniesieniem—przez tę swą cnotliwość masz waszmość wielu przyjaciół w Siedmiogrodzie, masz popularność i czy czasem jaki plan zuchwały nie przychodzi waści do głowy, że po Batorym mógłby siedzieć na tronie Betlen? Coś na to wygląda to miłosierdzie waszmości dla Sasów. Przyjaźń ludzka potrzebna bywa dla ambitnych, jak łaska Boska.

— Dla ambitnych! Tak, ja mam tę ambicyę, abym zawsze szedł drogą prostą i dlatego w tej chwili stoję tu przed waszą książęcą mością ze słowami prawdy na ustach...

— Gabryelu Betleniel!—rzekł Batory podniosłe— dopóki purpurowy płaszcz władców Siedmiogrodu mam na ramionach, dopóki berło książęce jest w mych rękach, niech się strzeże każdy zuchwały, aby jego plany nie zostały zdemaskowane.

Betlen otworzył usta, chcąc mówić.

— Od mądrych rad zwalniamy cię na zawsze— zawołał żywo książę.

To rzekłszy, odwrócił się i wyszedł do drugiego pokoju.

Betlen jeszcze próbował wpłynąć na księcia, lecz bezużytecznie. Imrefi i inni tak potrafili przeciw Sasom rozgniewać Batorego, że nie chciał zmienić tego, co raz postanowił.

W kilka godzin później otrzymał książę z Kronsztađu list, który porwał z radosnem uniesieniem, lecz czytając go, pochmurniał coraz bardziej. Wreszcie wezwał Imrefiego. Imrefi przystąpił i, rzuciwszy okiem na papier trzymany przez księcia, przeczytał u dołu nazwisko Celesty.

— Donieś uwięzionym Sasom — rzekł Batory — że puszczę ich wolno i daruję miastu jego bunty, jeżeli w pięć dni od dzisiaj złożą mi okup 52,000 flo-

renów. Byłbym surowszy—wziąłbym pieniądze i życie, ale potężny głos wstawia się za nimi.

— Celesto! — zawołał Batory. — Co za słodycz anielska płynie z twych słów, ale o miłości nic nie mówisz... O wszystkim zdaje się zapomniała... Na Boga, to czarowne dziewczę tkwi w mem sercu głębiej, niż jakakolwiek inna kobieta. Tyle razy chcę o niej zapomnieć, i oto znajdzie się zawsze coś, co mi jej miłość przypomina. Ona prosi, prosi o łaskę dla Sasów, bo to bracia jej, ziomkowie... Ale z kąd ona już wie o wszystkim? z kąd wie o tem Weisz i Sasi w całym kraju? jestem otoczony szpiegami!

Batory zamyślił się ponuro.

— Kto może być tym szpiegiem? to zbadać mi potrzeba.

Rozogniony chodził po komnacie, a fale różnych myśli przepływały mu przez umysł.

— Celesta!—mówił sobie z westchnieniem—to anielska dusza. Nie mówi nic o miłości, ale wiem przecież, że kocha, jak nie kochała mnie dotąd żadna inna kobieta. I ja odwzajemniam się jej takim uczuciem, jak żadnej... żadnej innej. Gdy żona tego buntownika, Kornisa, opanowała mi serce, to kochałem w niej wspomnienie Celesty. Dusze ich podobne... słodkie i tkliwe... Być kochanym przez taką kobietę, to być zbawionym...

Wystąpienie Gabryela Betlena i list Celesty, która nie jako ta, która kochała Ecsediego, ale jako pełna boleści Saksonka, prosiła księcia o łaskę dla ziomków swych, spowodowały, że Batory cofnął wyrok śmierci, jaki zawisł nad głowami najprzedniejszych Sasów. Dziko ten w gniewie swym zacięty człowiek, nie mógł dostatecznie zrozumieć ważności kroku Celesty. Jakaż ofiarą, jakimż poświęceniem był dla niej ten list do niego, o którym pragnęłaby zapomnieć! Tęsknić wiecznie do Ecsediego, a wiedzieć, że istnieje tylko Batory... Ach! co za okrutna dola...

Wyobraźmy sobie kobietę, której całym szczęściem byłaby piękność, i która po ciężkiej chorobie ujrzała nagle w zwierciadle twarz swą okrutnie oszpeconą; albo skąpcza, który przez życie całe głodząc się i cierpiąc niedostatek, zbierał złoto i zamykał je w skarbcu silnie obwarowanym i który ujrzał nagle, że go zrabowano; albo męża, któryby każdą kroplę krwi ojczyźnie poświęcał, a który zapoznany, niepojęty, zostaje nagle okrzyczany za zdrajcę i obrzucany błotem przez tych, dla których serce jego biło miłością; wyobraźmy sobie anioła, któryby stracił niebo, a zrozumiemy dobrze, co się działo w duszy Celesty. Nie zdołała ani zapomnieć odrazu, ani kochać tego, który był tyranem i chciał uczynić z jej ludu nieszczęśliwego, zubożalego stado jucznych bydłał do dźwigania ciężarów, pod którymi musiałyby płynąć potoki łez i krwawego znoju. Ach! gdyby Ecsedi, albo raczej Batory umarł, cierpienia jej byłyby może również ciężkie, lecz spokojniejsze. Ale w każdej chwili słyszeć coś okrutnego o człowieku, którego piękną duszę ubóstwiała, było taką boleścią, jakiejby znieść nie mogła pospolita kobieta. Córka Weisza powiedziała sobie, że siła jest jej obowiązkiem i dlatego żyła dotąd, a przytem z głębi jej serca odzywał się głos tajemnej pociechy, że Batory nie jest tak złym, jak jego czyny, ale słabym i namiętym, z czego korzysta zgraja podłych służalców. Przypomniała sobie, że jednak widziała w nim porywy szlachetne, szlachetne uniesienia. Ach! gdyby mogła być jego aniołem stróżem!...

Nie wracała już do ciotki, przebywając stale u ojca, gdzie Sewer często bywał, uważany zawsze przez Weisza jako syn domu, jako brat Celesty, a w nim wciąż rosła miłość i cześć ku niej; teraz lepiej jeszcze, niż kiedy, pojmował tę łagodną i czystą, tę szlachetną i zboląłą duszę, a choć mileczał, ale w całej jego istocie było coś, co dowodziło, że to powietrze nawet, którem Celesta oddycha, jest dla niego

życiodawczem. Tylko wobec Celesty był on szczęśliwy i spokojny, a jedno jej spojrzenie mogło w nim lwa przebudzić lub w gołębia go zmienić. Że Celesta do Batorego pisała — wiedział; w pierwszej chwili pewien rodzaj przestachu opanował jego serce, lękał się, aby Batory fałszywie nie tłómaczył sobie tego kroku, a może miłość kochanka czyniła go zbyt drażliwym i zdawało mu się, że Celesta poniża się przez tę prośbę. Ale gdy list jej celu swego dopiął, uczuł, że umiała nie tylko z miłości swej czynić ofiarę. Dla szczęścia współziomków swoich schyliła się nawet do prośby.

Wypadki Hermansztadzkie wzbudziły bolesną nieufność do księcia we wszystkich miastach saskich, ale mieszkańcy Kronsztadu nie ujrzeni go jednak w murach miasta. Miał on zamiar tam zjechać w dniu 28 grudnia, ciągniony może tęsknotą do Celesty, ale nagle wśród drogi zmienił postanowienie i rozłożył obóz pod Feketehalom. Lękał się własnej swej istoty, bał się być zanadto blisko ukochanej kobiety, aby szalonym jakim krokiem nie pogłębić jeszcze przepaści, która ich rozdzielała, a jednak tęsknił do niej, jak do słońca swego życia, które chętnieby związał, gdyby w ten sposób mógł związać jej istnienie ze swoim.

Z Feketehalom napisał do niej, dziękował, że się do niego zwróciła, bo tylko na jej prośby przebaczyć mógł radzie hermansztadzkiej i darować życie tym, o niewierności których najmocniej był przekonany. Choć nie chciał jej mówić teraz o miłości, nie mogąc dodać:

— Bądź moją.

Jednak były tam wyrazy mówiące, jak tęskni za jej widokiem, jak pragnie być przy niej i przekonać ją, że zawsze jest ona jedyną kobietą, którą czeni jak anioła z niebios.

List ten przyczynił Celeście więcej strapienia,

niż radości. Chciała ona uratowania Hermansztadu, nie tylko życia kilku jego obywateli; odważna zawsze, gdy szło o szczęście jej ludu, postanowiła raz jeszcze odezwać się do Batorego. I napisała drugi list. Dziękowała mu za życie tych, którym winy darował, i błagała go, aby miał dla Sasów tę litość, na jaką zasługuje zawsze garść ludu, który stawszy się wygnaniem z własnego kraju, wszędzie na ziemi jest już obcym i podejrzanym. Prosiła dalej, aby wypadków hermansztadzkich użył jako groźby i wskazówki, aby ogłosił, że wszystkim przebacza i tym podniosłym czynem stanął wysoko w opinii świata i całego narodu.

Księciu ten list pełen miłości dla Sasów, niezupełnie się podobał; może tylko odzywała się do niego w imię obowiązku, a czyż nie miała już dla niego nic nad te słowa? Zdawało mu się jednak, że w niektórych wyrazach czuć było tłumione uczucie, które mimowolnie się zdradzało, i serce Batorego było gwałtownie.

— Czyż to jest anioł, nie istota rzeczywista — mówił sobie wzruszony i nie wiedzący, czy pragnąłby ujrzeć ją nagle inną, choćby ta zmiana popchnęła ją w jego objęcia?

Kiedy z utęsknieniem wyciągał rękę w stronę, w której przebywała, czynił to z taką czcią, z jaką ludzie modlą się do świętych.

Dnia 30 grudnia 1610 r. książę z całym swem wojskiem ruszył na Wołoszczyznę; mieszkańcy Kronsztadu wspomogli go pieniędzmi, ludźmi i orężem. Sewer był między tymi, którzy z nim pociągnęli. Losy tej wyprawy znane są z dziejów: Batory wszędzie zwyciężał i Sewer w jednym liście pisał do Celesty:

„Batory rycerz i wódz, a Batory książę—to dwaj różni ludzie. Kto go widział wśród gradu kul, na czele bojujących szeregów, ten widzieć w nim musi dzielną naturę męską, która umie gardzić śmiercią — ten musi widzieć bohatera!”

Blask radości rozjaśnił lica dziewicy, wszystkie pulsły jej drgały, serce biło mocno.

— Ecsedi! — zawołała z tryumfem, lecz wnet myśl jej zwróciła się do Sewera.—On kocha!—mówiła do siebie, i pisze tak o wrogu, o rywalu! Co za szlachetna, co za piękna dusza!

Wołoszczyzna została zdobyta, Serban Raduł rozbity w końcu marca 1611 r. Batory jako zwycięzca przybył do Kronsztadu, dodawszy do swych tytułów tytuł wojewody wołoskiego.

Dziękował wtedy gorąco i szczerze rycerzom saskim, a Sewera obdarzył mieczem wielkiej wartości.

— Oto—rzekł—miecz, który, jak się nam zdaje, w dobre oddajemy ręce, naszego towarzysza boju, który chwałę ludu saskiego podniósł wysoko.

Nadto książę oświadczył Kronsztadowi swą wdzięczność i ofiarował mu cztery nieprzyjacielskie armaty.

Zanim Batory do Kolosvaru powrócił, już go ze wszech stron zausznicy opadli i nanowo w nim dawne podejrzenia i dzikie chęci rozbudzili. Walka z nieprzyjacielem i podniesiony w górę sztandar ojczyzny, wywołały chwilowo lepsze skłonności jego natury; lecz była ona zbyt słaba, aby się opierała złemu, i można było zawsze rozżarzyć w nim iskry namiętności, które obok cnót w duszy jego tliły. Możeby zatłumiły się, możeby inny wzięły kierunek, gdyby nie było Imrefiego i Dimona.

Człowiek słaby i namiętny przedstawia smutne widowisko liścia, przez wiatr miotanego. Znikąd, niestety, nie przychodzi mu oparcie, a zewsząd rwą go złe podmuchy. Jedna Celesta mogła była uratować Batorego, bo kochał ją jedną, ale dzieliła ich przepaść—ona, mieszcza, świeżo uszlachcona, a on książę panujący!... Los tak chciał, że musiałyby zstąpić bardzo nisko, aby on nie upadł.

W maju na sejmie książę ostro wystąpił przeciw protestanckiemu klerowi saskiemu. Wkrótce potem gruchnęły głucho wieści, że Andrzej Nagy i Jan

Elek ruszyli nagle z licznym wojskiem w stronę Kronsztadu. Gdzie zmierzali, pozostało to jeszcze tajemnicą, lecz szeroka droga otwierała się domysłom i strachowi.

Wtedy wystąpił czynnie na scenę Albinus, w tej chwili tylko radny kronsztadzki. Nie był on teraz burmistrzem, nie był wybranym, ani powołanym, lecz jego unysł rzutki, jego energia i nieustraszoność, jego potężna wymowa i dzielne czyny, jego zachowanie się u ludu—dały mu miejsce wybitne wśród tego tłumu popolitych ludzi, którzy tylko lękać się potrafią, lub iść za wskazówkami silnego ducha.

Przemówił i Kronsztad i jego słowa za rozkaz przyjął; postanowiono nie wpuszczać wodzów księcia do miasta; tajemnie, lecz szybko wysłano do Raduła posłów z prośbą o pomoc, było to otwarte już stawienie księciu oporu, ale istniała prawie pewność, że Kronsztad uległby losowi Hermansztadu. W starych nadaniach miast saskich były rzeczywiście zastrzeżenia, że wojsk w miastach tych lokować nie będą władcy Siedmiogrodu i powoływano się na to, lecz rzeczywiście była to już wojna z księciem, a że Szeklerzy i Węgrzy właściwi nie podnieśli nigdzie jej sztandaru, był to jakoby bunt Sasów, zwłaszcza, że Raduł, dyżący zemstą, lękając się nowej klęski i pełen gniewu, zwrócił się ze swojej strony z prośbą o protekcję do cesarza Macieja, który chętnie słuchał tych zażaleń, bo mu do plannów jego dopomagały i burza rosła coraz groźniejsza.

Dnia 11-go czerwca, gdy stanął Andrzej Nagy w Burzenlandzie, znalazł Kronsztad zamknięty, Sasów pod bronią, Weisza na czele. Dnia 20-go czerwca sam Batory z wielką armią spotkał się z Nagym i rozłożył tabor między Feketehalom i Vidombakiem. Ale poseł saski nie bez skutku działał na Wołoszczyźnie. Dnia 8-go lipca wpadł ze zbrojnemi oddziałami wojewoda Raduła do Burzenlandu i rzucił się na Batorygo.

Bitwa była krwawa, lecz Batory zwyciężał. Szeregi wołoskie uciekały pobite, tylko Sasi z Weiszem i Sewerem walczyli jeszcze, gdy nagle zmienił się los bitwy. Hajduki Błażeja Ordoga rzucili się na trupy Wołochów i zaczęli je grabić. Napróżno odganiał ich Batory osobiście, napróżno własną ręką uśmiercił wielu podłych rabusiów; uważali oni zwycięztwo za pewne i nie chcieli, aby ich kto uprzedził w rabunku. Lecz w tej to chwili uciekające szeregi Wołochów zawróciły napowrót i krwawy bój rozpoczął się nagle.

— Gdzie książę? — brzmiały głosy ze wszech stron w jego szeregach, które, znajdując się bez wodza, straciły wiarę w siebie i u których przerażenie rosnęło.

Imrefi, Jerzy Racz znaleźli się wkrótce między poległymi, Jan Elek i Jerzy Varkocs dostali się do niewoli. Tylko Błażej Ordoga, pod którym konia zabito, walczył oparty o starą wierzbę; otaczały go stosy trupów, on przecież walczył niezłomny, gdy nagle padł straszny grom...

— Książę w niewoli! — dały się słyszeć krzyki.

Wtedy Sewer pośpieszył na czele Sasów, zeskokczył z konia i z mieczem w ręku, pieszo, rzucił się na Ordogę. Zmógł strudzonego już śmiertelnie wodza Szeklerów i wziął go do niewoli.

Ze wszech stron biegli wojownicy księcia, a tu i owdzie słychać było przerażone głosy:

— Gdzie Batory?... Batory zginął!...

---

## ROZDZIAŁ II.

### Talizman.

Wy chcecie wiedzieć, kto jestem?

Jeżeli chcecie to poznać

Ścisłej... ja, jestem *ja!*...

*Calderon.*

Była północ. Po ulicach Kronsztadu żywo tam i napowrót krążyli strażnicy nocni; niekiedy z murów

miejskich dawał się słyszeć głuchy odgłos trąby. Niebo było jasne, a na jego bezchmurnem sklepieniu błyszczało tysiące gwiazd. Zimny wiatr zamrażał puszczone się tu i owdzie trawki wiosenne. W domu Weisza wszystkie okna były ciemne, w jednym tylko widać było światło.

Lampa, która je roznosiła, paliła się w znanej już nam poprzednio komnacie z posągami, lecz prócz jego miedzianego oblicza, wszystko tu zmienionem było, bo komnatę tę zajmowała obecnie Celesta, siedząca teraz samotnie. Jej piękna twarz była bardzo blada, a przy migotliwym blasku lampy trudno było poznać, czy lica dziewicy ukazują radość, czy boleść?

Sasi zwyciężyli! Już ona to wie i serce radować się powinno, choć Serban Raduła sobie całe zwycięstwo przypisał; nadto wściekły Wołoch postanowił miecz swój okrutnie zbroczyć we krwi niewolników. Weisz był jeszcze w obozie, Serban przebywał w Kronsztadzie, gdzie dnia następnego miały się odbyć wyroki śmierci. Celesta też bynajmniej się nie cieszy ze zwycięstwa Sasów!... Oh! nie sama litość nad nieszczęśliwymi, którzy jutro znajdą śmierć zato, że mężnie stali przy chorągwi ojczystej, napawa ją żalem. Cała jej dusza rozplywa się w boleści. Okrucieństwo Serbana było znane, mordował wszystkich, kiedykolwiek w sporze z nim będących, bo zemsta była rozkoszą tej okrutnej natury. Daremnie też Celesta usiłowała poruszyć współobywateli, aby starali się wpłynąć na zmianę okrutnego wyroku. Nic tu ona w tej chwili nie znaczyła, gdy srogi Wołoch zagarnął miasto pod władzę swoją i nawet rezultaty bitwy, zwyciężkiej dla Sasów i Wołochów, a przegranej dla Węgrów, nie były jej znane szczegółowo. Nie miała już ona wokoło siebie dawnych przyjaciół i mało kto pukał do bramy cichego domu bez pana, a wieść, że Batorego wzięto do niewoli, czy też zginął, nie doszła jej dotąd wcale

i tylko smutne przeczucia jakiegoś wielkiego ciosu pierś jej napełniały.

— Czegoż ja chcę? — mówiła sobie, czując, że wśród wieści o przegranej Węgrów serce jej biło niewypowiedzianie z trwogi o Batorego.

Załamywała też ręce, targana nie samem tylko uczuciem niepokoju o los tego, który nie mógł stać jej się obojętnym. Przerażało ją to, co czuła z jego powodu.

— Wróg mego ojca i mego narodu, a więc i mój wróg! a jednak, o co za nędza! — wołała sama w sobie, ze wstrętem dla siebie, choć zwolna zaczęła pytać się siebie—zali cała sprawiedliwość była po stronie Sasów? Czyż i oni byli całkiem bez winy?

Ach! winą była w nienaturalnym związku dwóch obcych, a zarazem związanych z sobą plemion, była w niechrześcijańskiej dumie rycerstwa, które gardziło pożyteczną pracą ludu, potrzebnego im przecież, aby używali korzyści jego roboczego trudu. Celesta łyła wylewała i niejedno serce kobiece tak się targać musiało w tych czasach twardych wyrabiania się pojęć i kształtowania narodów—w tych czasach, które okrutniej jeszcze niż dziś druzgotały szczęście jednostek.

Zakryła twarz rękami, pogrążona w bolesnej, cichej zadumie, gdy naraz usłyszała, że ktoś zapukał do bramy, że mu ją otworzono i że przybywający idzie prosto na schody. Nie był to jednak krok jej ojca, a zatem któż to był?

— Zapewne poseł od niego?—zawołało jej serce i odgadło, bo Sewer to był, który nagle stanął przed Celestą, ale nie rozpromieniony, nie upojony szczęściem wygranej i to ją przestraszyło, jak przepowiednia jakiejś rzeczy niespodziewanej.

— Bracie mój!—zawołała, bo tak zwała Sewera w chwilach uroczystych—bracie mój, cóż ty mi zwiastujesz?...

— Lękam się, zali nie boleść?

— Boleść?... Czy z pewnością ojciec mój żyje

i jest zdrów, czy z pewnością oręż saski odniósł zwycięstwo?

— Tak, Celesto...

Ona bardzo pobladła, ale podniosła głowę.

— Jakiejże boleści możesz się zatem obawiać dla mnie?

— Celesto... ostatni akt bitwy był pełnym rzeczy niespodziewanych i zamieszania, jak wśród dnia sądu Bożego. Szeregi i ludzie mieszały się, nie wiadomo kto z walczących należy do której strony, gdy nagle popłoch, który się stał wśród wojsk siedmiogrodzkich, zdecydował o ich przegranej. Nie wiadomo, gdzie podział się książę...

— Batory zginął...

— Nie, jakkolwiek mniemanie to rozpowszechniło się wśród szeregów naszych i siedmiogrodzkich. Trupa nie znaleziono i tym, którego brano za księcia, był Imrefi. Wkrótce też rozeszła się wieść druga: Batory uszedł z orszakiem swym przybocznym, właśnie w chwili, gdy Imrefi z garścią Szeklerów bronił wąwozu, który prowadził w głąb szeklerskiego kraju.

Celesta stała teraz z podniesioną głową.

— Nie — rzekła — to nieprawda! Mógł ledz i spoczywa gdzieś pod trupami innych, ale nie uszedł.

Sewer patrzył na nią i wyciągnął dłoń po uścisk jej ręki.

— Tak — rzekł — Batory nie uszedł... Sostro — dodał — śpieszyłem bardzo do ciebie, ale nie mogę trzymać cię tak przy drzwiach, ani przy drzwiach tych rozmawiać z tobą. Wejź w głąb komnaty, gdzie głos mój będzie dochodził tylko twych uszu...

Biedna Celesta, biedna dziewczica saksońska, cóż usłyszała wśród tej rozmowy, nie mającej nawet szmerem słów szeptanych dojsć do uszu innych, aniżeli jej?

A noc to była cicha, jak rzadko, bez żadnego szumu wiatru, bez szelestu nawet liści na drzewach. I wśród takiej to ciszy pogrążonej we śnie natury

drogą Köhalom jechał oddział zaciężnej konnicy wołoskiej, w grubych płaszczach i czerwonych tureckich turbanach. Tylko szerokie, czerwone szarawary odróżniały ich od Turków. Był to konwój, odprowadzający więźniów do Köhalom. Było ich kilkunastu, wszystko tłum pospolity i tylko kilku na przodzie zdradzało, że są rycerzami. Jeden zwłaszcza, przyodziany z węgierska, wysokiej postaci i w pierwszym wieku młodzieniec, jechał przodem na krok przed innymi. Zdawało się, że koń i jeździec wysuwali się tak na czoło oddziału mimowoli, z przyzwyczajenia, a gdy za przybyciem do miasta oficer konwojujący, oddawał niewolników komendantowi miasta Mardero-wi, ten, przelustrowawszy ich wzrokiem, ruszył ramionami:

— Na co to zda się łapać i więzić tych ludzi, żywić ich w dodatku, bo jakkolwiek nie będę ich pasł przysmakami, niemniej coś jeść dawać im trzeba? Gdyby to tak kto z przedniejszych—nie mówię.

— Jest tu jeden zuch, i zawsze lepiej, że się dostał do naszej ciupy, niżby się miał bić z nami — odparł oficer, wskazując wzrokiem na tego, który jechał przodem. — Bił się jak dyabeł, ale dostał się w taką kupę naszych, że musiał się dać wziąć. Byliby go zasiekali.

— Młody jeszcze—rzekł Marder, zimnym wzrokiem przyglądając się wskazanemu.—Szlachetka jakiś.

— Szeklerski góral... Domyślam się, że to jest Bilibog, łowiec ludzi...

— Co?

— Łowiec ludzi — chart Batorego. Kto tylko zbiegł, nie czekając na to, co przeznaczała mu łaska księcia, dość mu było naznaczyć cenę na jego głowę... Bilibog przynosił mu ją dobrze zawiniętą w czerwone sukno.

— Przyszła kolej i na niego. No, ten to rzeczywiście coś wart.

— Tamten wyrostek, to jakiś szczywany lis. Wzią-

łem go już prawie pod miastem, bo się nas czepiał ciągle. Kto wie, czy nie motał zdrady?

W tej chwili konwój wjechał w obszerny dziedziniec rządowego gmachu, gdzie była turma miejska. Zatrzymano się i pozsiadano z koni. Marder pojedynczo przejrzał i przeliczył przyjmowanych niewolników. Przed tym, w którym domyślano się Biliboga, zatrzymał się dłużej i wpatrzył się w niego.

Szekler nie spuścił oczu. Oficer konwojujący roześmiał się.

— Kumie Bilibogu, masz wzrok jastrzębia—rzekł.

— Może orła—odparł zwany Bilibogiem.

Że to on był rzeczywiście, przekonano się natychmiast, bo wyrostek, o którym oficer wspomniał, usłyszawszy tę nazwę w jego ustach, wysunął się naprzód.

— A... a...—zawołał—witaj, miły bracie!... poznałem cię odrazu, ale dostatecznie pewnym nie był, że cię mamy między sobą...

Szekler zrobił lekki ruch ustami, ale nie raczył przemówić, miał głęboką zmarszczkę między piękniemi czarnemi brwiami.

— Cicho! — zawołał dowódca konwoju, a młody chłopak odciął mu się ostro. Mówił płynnie czystym saskim dyalektem, jak gdyby był Sasem z rodu, a zdawał się mieć dyabła za skórą, tak dowcipnie i zuchwale zarazem miotał językiem.

— Cicho! — powtórzył teraz grzmiąco Marder—będziesz miał możność wygadania się do woli, bo wszystkich razem zamknę w jednym lochu... Marsz naprzód...

W tych czasach były umyślnie dla niewolnika, w bitwach chwytanego, wznoszone po miastach więzienia—lochy na wpół podziemne, wilgotne i ciemne, z małemi, na żelazną kratę zamykającemi się okienkami przy ziemi. Aby nie pilnować schwytych, zamykano ich tak barbarzyńsko, iż dzisiejsze najgorsze kazamaty są pałacami w porównaniu z pomieszczeniem

jeńców ówczesnych. Loch, który teraz przyjął rozbitków Batorego, był przynajmniej obszerny, niemniej wchodzący tu mieli wszyscy klątwę na ustach, prócz tego tylko, którego zwano Bilibogiem. Znużony był niezmiernie i blady, senny, a oczy mu otaczały sine obwódki. Zaraz za wejściem oddzielił się nieco od towarzyszków i siadł na ziemi pod małym okienkiem, z którego zawiewający chłód miłym był widać dla jego rozpalonego czoła. Ów wyrostek, który poznał go i witał jako Biliboga, kilkakrotnie wzrok ku niemu obracał i widział, że oczy jego patrzą przez otwory krat ku błękitowi niebios wyskrzonymu od gwiazd.

Raz zdawało mu się, że oczy więźnia pełne smętnej zadumy, zaszyły łą i odbił się w niej blask gwiazd.

Powoli cichły klątwy i skargi, bo sen przyszedł je uciszyć. Wyrostek, śledzący Biliboga, rzucił się już oddawna na wilgotną ziemię lochu i spał, a wkrótce i Bilibog też położył się jak inni. Czy zasnął, trudno było odgadnąć, bo wokoło odzywały się głośne, ostre chrapania, ale gdy pierwszy różowy promień wschodu weisnął się do lochu przez okienko, on podniósł głowę i wstał. Nie miał teraz czapki, białe czoło było odsłonięte, a wysoka postać zarysowała się wśród niskiego lochu w imponujący sposób. Już też i inni więźniowie zbudzili się i posiadali, wyciągając stężale ramiona. Ziewali, przecierali oczy, rozczesywali palcami splecione włosy, do których poprzyklepiła się mokra ziemia więziennego lochu.

On patrzył na nich jak gdyby litośnie, a potem zapytał, z jakich są pułków?

Na dźwięk jego głosu jeden z młodych, przystojny chłopak z dużymi, pięknymi oczyma, zrobił jakiś dziwny ruch, zdjął żywo czapkę z głowy i podniósł się wyprostowany, ale on zmarszczył się najpierw, skinął ręką, aby siadł, potem przecież uśmiechnął się do niego łagodnie, a młodzieniec cały się oblał rumieńcem i już ani się ruszył z miejsca.

Bilibog zwrócił się do drugiego, też młodego żołnierza, ponawiając pytanie, z którego jest pułku?

— Z oddziału księcia... — zabrzmiała odpowiedź wyniosła, a Bilibog spojrział na niego bystro i zapytał:

— Jak się nazywasz?

— Piotr Tarka.

— Nie mówisz prawdy — odparł wtedy Bilibog. — W gwardyi księcia nie ma żołnierza tego nazwiska...

— Co? — krzyknął obrażony — więc ja kłamię? Gdyby te psiekrwie Sasy nie zabrali mi palasza, to bym wyzwał na rękę tego, kto mi to mówi. Obciąłbym mu uszy...

Bilibog się uśmiechał i dał znak żołnierzowi, z którym poprzednio rozmawiał, aby się nie mieszał do nich.

— Jeżeli służysz w gwardyi księcia, to go musisz znać?—zapytał.

— A spodziewam się... Piękny, dzielny zuch z niego. Wczoraj pił z mojej manierki...

— O, toście z sobą w przyjaźni...

— I w jakiej jeszcze!... Daj mi pić, kolego!— zawołał na mnie właśnie wtedy, kiedy nam się najlepiej szczęściło i naturalnie, żem mu podał zaraz manierkę. Napił się, otarł wąsa i dał mi w kark. Słuchaj, Tarka — rzekł — gdybym miał w mojej gwardyi stu takich lwów, tobym podbił świat cały i Sasów przepędził gdzie pieprz rośnie.

Bilibog się śmiał.

— Szkoda, żeś się dał wziąć do niewoli — mówił.— Terazby już Batory nie mógł podbić świata, brakowałoby do stu jeszcze jednego lwa.

Zaczął wesoło, ale ostatnie słowa zadźwięczały jak gdyby żalem tłumionym.

— Tak, teraz już nie podbije Batory świata — dodał.

— Dlaczego nie?—wykrzyknął Tarka.—Przecież

mnie tu Sasi nie zjedzą i kiedyś puścić muszą, a przytem, czy jemu braknie żołnierzy? Szeklerzy go kochają, jak samego Boga.

— Kochają go?

— O! jeszcze jak!... Żeby był tylko w miastach nie siedział, balów nie wyprawiał...

Pierwszy żołnierz chciał mu przerwać, ale Bilibog mu nie dał i zwrócił się do Tarki, aby kończył:

— Czy to bale tak znów bardzo przeszkadzać mu mogły w rządach?—zapytał.

— Bale i baby—powtórzył Tarka, nie ustępując—przez baby przyszło na niego całe nieszczęście, bo się na niego panowie o to zbuntowali. I pono mieli rację za sobą... Cudzej żony brać nie można.

— Peti... nie sądz go surowo, jeżeli, jak mówisz, kochasz... Był smutny, Sasi na niego sprowadzali wciąż niepokoje, a w domu otaczali go niedobrzy ludzie... był smutny...

— A czemu się nie żenił?

— Bo ta, którą kochał jedynie, nie chciała mu być wzajemną.

— Nie chciała być wzajemną księciu?...

— Tak, nie chciała...

— A to mi dziewczyna... księcia nie chceć... drugiej takiej nie łatwo znaleźć!

— Drugiej takiej niema...

— A nie wiesz, kolego, jak się zowie?

— Nie dobrze pamiętam—odparł Bilibog.

Urwał rozmowę, obrócił wzrok w stronę okienka i zdawało się, że posłał gdzieś w dal westchnienie.

Śpiący ten wyrostek, który znał już dawniej Biliboga, obudził się w tej chwili i hałaśliwie zerwał się na nogi.

— Brrr!—zawołał—jaki chłód piekielny.

Bilibog lekko drgnął na jego głos. Obecność jego zdawała się nie być miłą, może to go drażniło, że ten człowiek znał go inaczej, niż Piotr Tarka i przytomnością swoją przypominał mu czasy owej ich zna-

jomości, co widocznie było mu uciążliwą rzeczą w tej chwili. Towarzystwo Tarki znać milszem mu było. Obrócił się też do niego znów:

— Jeżeli Bóg da, że wrócisz kiedy między Szeklerów w góry, to wytłómacz im to tak, jak ja tobie, że książę choć na tronie, nie jest znów taki szczęśliwy, jak myśleć można... Czasem się zrywa i karze zdrajców, bo tych jest wokoło niego tylu... tylu! To ciężka rzecz być księciem!... nie ten się ciśnie do ciebie, który cię kocha, ale ten, który chce coś zyskać na tobie! Książę to wie, ale ulega nieraz — bo zmęczony. Gardzi, ale ulega...

W tej chwili w oczach wyrostka zaświeciły płomienie.

— Wyciąga sobie ich rękami kartofle z ognia, kumie Bilibogu, i dlatego ich trzyma przy sobie — zawołał.

Bilibog spojrział gniewnie w oblicze wyrostka.

— Narzędzi jest zawsze dość — rzekł sucho.

— Niekoniecznie... te, które nam przystają do ręki, cenne są dla nas.

Teraz już wszyscy pobudzili się i dzień był jasny.

— Czy oni chcą nas tu głodem pomorzyć? — zaczęto wołać gniewnie.

Ludzie ci nic nie mieli w ustach, jak przed bitwą, a było to już dwadzieścia cztery godziny temu.

— Wywalmy drzwi — rzekł ktoś, a Tarce przypadła rzecz do gustu. — Jak mi Bóg miły, najlepsza rada, ale nie warto wołać na Sasów heretyków o kawałek chleba. Mnie tak się chce lecieć w świat i szukać księcia... pewno mu tam potrzeba jego zuchołów.

Bilibog patrzył życzliwie na żołnierza.

— Potrzeba mu zawsze dobrych, czystych serc, ale kto wie, gdzie on jest teraz? Może też w niewoli?...

— Książę... Batory w niewoli! a to już byłby

sąd Boży! Dalibóg, wywalę drzwi i ucieknę do niego... Niech mnie Sasi zamordują, jeżeli złapią.

Przegarnął sobie dla fantazyi włosy na głowie i przysadziwszy się do drzwi, podważył je z całej siły, ale grube i mocno okute deski ani drgnęły.

— Kolego!—zawołał też na Biliboga—chodź mi pomóż. Tyś tu najmocniejszy po mnie!...

Bilibog bardzo był rad z tego uznania i przystawił się na zawołanie kolegi, próbowali razem, aż do gorącego potu na czole, ale Niemcy umieli obwarować swoją turmę i we dwóch także nic nie zrobili.

Złośliwy wyrostek zaczął się śmiać, a Tarka gniewać.

— Coś ty za jeden, smyku, abys ze mnie kpiny sobie robił?—zawołał.—Wiedz o tem, żem jest Sze-kler konny... Piotr Tarka!...

— A ja Paweł Kurta... cóż, czy gorszy?

Zaimponowało to konnemu Szeklerowi, a Bilibog śmiał się wesoło. Choć był blady, choć piękna, młoda twarz przeciągnęła mu się, a ciemno-żółte smugi otaczały oczy, trzymał się poważnie i teraz chciał coś odpowiedzieć Tarce, aby się miał czem odciąć, lecz w tej chwili drzwi skrzypnęły na ciężkich zawiasach i wszedł dozorca więzienia: ciężki, mocny chłop saski. Duży kosz chleba i kamienny dzban wody postawił na ziemi. Więźniowie rzucili się tłumnie na chleb, Paweł Kurta zajrzał do dzbana i skrzywił się pogardliwie:

— Woda—rzekł.

— A cóż ty chciałeś, wina? — odparł mu stróż szydząco.

— Tak, wina... ale teraz chcę od ciebie, abys mi zaraz szedł do swego pana, Sebestyana Mardera, i oświadczył mu, że pragnę z nim mówić... Słyszysz, ja, Paweł Kurta, pragnę z nim mówić...

Dozorca spojrział na niego z góry:

— Ty mi rozkazujesz wołać do siebie komentanta, Sebestyana Mardera... ty...

— Ja, i pamiętaj, że może spaść na głowę twoją nielada nieszczęście, jeżeli zaniedbasz mnie usłuchać. Powtarzam ci to i wyłuszczam raz jeszcze: powiedz, że mam mu do powiedzenia rzecz, nie cierpiącą zwłoki.

Teraz wszyscy więźniowie słuchali, a Bilibog patrzył ostro na mówiącego, który nie tracił nic na fantazyi. Słowa jego i ich ton były tak stanowcze, że dozorca przestał drwić.

— Kto go wie, co za jeden — myślał. — W czasach ówczesnych nieraz los wojny oddawał w niewolę królów i książąt. Rozkazujący chłopak miał twarz zdradzającą stan wyższy i patrzył tak wyniośle, jak gdyby się rodził na stopniach tronu.

Dozorca wyszedł i w tej chwili Bilibog zwrócił się do Pawła Kurty z zapytaniem, które było prawie groźne:

— Co to znaczy? — zapytał.

— Mam w głowie pewien plan, który każe mi się rozmówić z komendantem.

— Plan — powtórzył Bilibog i czarne jego oczy wpatrzyły się w Kurte głęboko. — Jakież plany snuć można w więzieniu, wspólnie z jego dozorcą?

— Rozmaite. Można naprzykład układać zdradę, ale nie to mam na myśli. Chcę się zabawić i posiadam talizman, którego siłę chcę wypróbować na wielkim wojowniku saskim, a w tej chwili naszym panu życia i śmierci.

Bilibog ściągnięte miał czoło i oczy wciąż badawcze.

— Pawle Kurto — rzekł — pamiętaj, że nie jest to czas na zabawki i figle, bo można drogo za nie płacić... Nie jesteś tu...

— Na dworze księcia naszego i pana... Tak... ja jednak czuję się dotąd w służbie jego książęcej mości...

— I to służąc mu, chcesz, Pawle Kurto, wypróbować potęgę jakiegoś talizmanu?

— Tak...

— Ale, słyszę, że idą na moje wezwanie — zawołał. — Wobec jego dostojności komendanta Mardera wy, kumie Bilibogu, ustępujcie na stronę.

W turmie panował mrok taki, jak gdyby słońce nie weszło jeszcze. Kurta, odsuwając na bok Biliboga, zajął najjaśniejsze miejsce w pobliżu okienka, ale że światło szło z dołu, nie wiele mu to pomogło. Przecież za otworzeniem się drzwi pokazało się, iż Marder, bo on to przebywał — kazał sobie stróżowi przyświecać przez ciemne korytarze latarnią i ta rozświetliła loch cośkolwiek.

— Kto tu chce mówić ze mną? — zapytał Marder, mały, suchy, szczupłych kształtów człowieczek, co mu nie przeszkadzało być mężnym wojownikiem, jak szydząc, powiedział Kurta. Teraz głos jego był zimny i surowy. Zimne i surowe posłał spojrzenie przed siebie, aby ujrzeć wysmukłą i hardo nadstawiającą się postać wyrostka, który rzekł poufale:

— Ja to pragnąłem rozmówić się z waszmością, drogi panie komendancie. Mam interes... Ale, nie możesz mnie waszmość widzieć, a właśnie chodzi mi o to. Każ temu tam drabowi, niech podniesie latarnię i skieruje ją na mnie.

Stało się tak, jak chciał, lecz nie wywarło to skutku pożądanego przez Pawła Kurtę.

— Warchole! — zawołał Marder — żarty sobie ze mnie stroisz.

— Nie żarty, panie komendancie, tylko jak widzę, nie znasz mnie waszmość, co szkoda, lecz poradzimy i na to. Pragnąłbym powiedzieć panu komendantowi coś... ważnego.

— Mów — jeżeli rzecz jest rozsądna, wysłucham cię i zrobię użytek ze słów twoich.

— Mam nadzieję, że tak będzie, ale życzeniem mojem jest, abyśmy pomówili nieco na osobności.

Marder spojrzał bystro na wyrostka, ale potem

dał znak głową, że się zgadza. Kazał dozorcę odstąpić od siebie w tył, a Kurte wezwał, aby przystąpił do niego. Więźniowie, zbici w kupkę, patrzyli. Bilibog stał na przodzie i w rysach jego objawiała się pewna podejrzliwa niespokojność. Stał się ponury i cała ta przyjemność jego młodzieńczej twarzy, która podbijała w czasie rozmowy z owym Tarką, z którego manierki pijał Batory, teraz zniknęła całkowicie. Stał się groźny i odpychał posępnością prawie dziką w wyrazie.

Tymczasem Kurta śmiało przystąpił do Mardera, a stróż więzienia, choć zdaleka, dobrze jednak świecił, bo blask latarni padał wprost na twarz młodego więźnia, który rzekł:

— Panie komendancie, czy jakkolwiek niepokój panuje na mojej twarzy, czy wyglądam na zastraszonego? Spałem bardzo dobrze, choć nie powiem, aby nocleg u waszmość pana był wygodnym, lecz okazuje to najpierw, że był zmęczony, a potem dowodzi, że mnie nie dręczyła żadna trwoga.

— Do rzeczy—zawołał Marder.

— Rzecz sama jest bardzo krótka i wyluszcze ją w kilku słowach. Posiadam pewien talizman...

Marder nasrożył się znów.

— Chłystku—krzyknął—nie jesteśmy tu na placu, gdzie tacy, jak ty, grają w piłkę. Mów prędko, albo przyznaj się odrazu, że się chcesz ztąd wydostać, próbując figli, które przecież na nic się nie zdadzą, bo ja nie mam mleka pod nosem.

To wszystko było mówionem głośno, tak, że wszyscy słyszeć mogli, tak jak wszyscy uważnie patrzyli na obu aktorów tej sceny. Widzieli też, że gdy Marder krzyknął, Kurta uśmiechnął się, widocznie chciał się pobawić z komendantem, jak kot z myszą, lecz w końcu twarz jego spoważniała, przysunął się jeszcze bliżej do Mardera i przykładając usta do jego ucha, rzekł mu coś, a Marder drgnął, odskoczył i w osłupieniu spojrzął na wyrostka.

Że zwierzenie jego było bardzo krótkie, musiało

nie zawierać więcej nad jeden wyraz, słowo umówionego hasła...

— Gdzie to podchwyciłeś... gdzie podsłuchałeś? — krzyknął na Kurtę, ale ten stał prosty i spokojny, jak słup kamienny. — Prócz komendantów miast saskich, tajemnice mego talizmanu posiada tylko jeden człowiek i albo ja nim jestem, albo on mi go zwierzył.

— Niepojęta rzecz — szeptał Marder zdumiony, ale powoli otrząsnął się z tego. — Nie—rzekł—ja jestem stary lis i nie łapię się na lada przynętę. O jednego niedorostka nie chodzi ani Sasom, ani nikomu, ale dlatego właśnie, że wiesz tajemnicę, którąś mógł podsłuchać, nie puszcze cię, bracie, z tej ciupy. Posiedzisz tu może dłużej, niż inni.

— W żadnym razie nie będzie to trwało do południa, panie komendancie, bo mam tu jeszcze przy sobie pismo, które wiem, że znajomem jest waszmości panu i proszę tu do światła bliżej... Hej... ty durniu od latarni, daj ją tu sam...

Głos jego i pewność siebie wywarły ten skutek, że go stróż usłuchał; on zaś wyjął z zanadru papier, otworzył, rozgładził i nie puszczał z ręki, jak cyrografu, który mógł mu i gdzieindziej posłużyć, podstawił go prosto pod wzrok Mardera, którego twarz przeszła w nowy jeszcze stopień zadziwienia.

— Dyabeł—szepnął.

— Demon—rzekł Kurta wesoło...

— Tak, demon—powtórzył Bilibog, którego twarz nie rozpogodziła się przecież na widok niespodziewanych tryumfów współwładcy, lecz przeciwnie, stała się groźniejszą, posepniej zamroczoną.

— Hans — rzekł Marder do stróża — otwórz drzwi...

Zwrócił się zaraz ku niemu, ale musiał chwilę poczekać, bo ten, dla którego również stały one otworem, powrócił ku dotychczasowym towarzyszom swej doli. Skierował się ku Bilibogowi, ale ten cofnął się

przed nim ze wstrętem, nie dając mu szepnąć sobie czegoś do ucha:

— Człowieku!—rzekł z wyniosłością iście księżącą — nie przysuwaj się do mnie i nie kuś rąk moich. Teraz wiem już, coś ty za jeden... Teraz cię poznałem, ciebie i rzemiosło twoje...

— Tak... poznałeś mnie, kumie Bilibogu... To ciekawa rzecz, bo przyznam ci się, że ja sam nie znam siebie i nieraz sobie mówię: — Głupcze... ośle... co w tobie jest? Dlaczego nie możesz być spokojnym jak inni... Ale do zobaczyska, kumie, jego dostojność komendant pięknego saskiego miasta Köhalom czeka na mnie, a zapewne mu tu nudno w tej przyjemnej komnacie gościnnej panów Sasów... Do zobaczyska...

Poszedł, a Marder, może i w tej chwili nie ufający mu, puścił go przodem przed sobą, nie chcąc go mieć za oczyma swemi. On to zrozumiał i uśmiechał się.

— Mądry lud panowie Sasi—szeptał — mędrszy od wszystkich Węgrów i Szeklerów razem wziętych.

— Tylko mój przyrodni braciszek, dyabeł, jeszcze mędrszy od nich i pomoże mi ich okpić...

---

### ROZDZIAŁ III.

Ta, co cię kocha—cud dziwny z ciebie tworzy w każdej godzinie...

*Lessing.*

Wieczorem dnia tego już około 9-ej godziny do bramy miejskiej zastukano silnie rękąjeścią szabli. Pukał tak pacholek, który zsiadł z konia na rozkaz pana swego, a wodza dość liczego oddziału wojska—kompanii zaciężników saskich, którzy zaciągniętymi zostali na nieszczęsną potrzebę wojny domowej.

Przodem na pięknych koniach jechało dwóch wódzów. Jednym z nich był Sewer. Poważną, choć

smutną miał twarz, a wzrok jego z wyrazem wielkiego współczucia patrzył na towarzysza, który mógł być zmęczony jazdą pospieszną, jak to widać było po koniach, które choć mocne i do noszenia rycerzy przywykłe, przystanąwszy, buchały kłębami pary, a towarzysz Sewera zdawał się być niezupełnie jeszcze dorosłym młodzieńcem, i mimo lekkiej zbroi, którą na sobie nosił i której kolczuga zakrywała mu twarz w tej chwili, wyglądał prawie na chłopca. Pukanie powtórzyło się dwukrotnie, lecz widać nie śpieszono się tam wewnątrz z otwarciem bramy, bo nikt nie pokazywał się w okienku z zapytaniem o hasło, aż Sewer, który widać śpieszył się, zatrąbił dwukrotnie i w sposób, który też hasło musiał oznaczać, bo natychmiast z okienka wychyliła się głowa.

— Kto jedzie?—zapytano—a gdy Sewer dał się poznać, brama rozwarła się natychmiast.

— Rozkaz rady kronsztadzkiej do komendanta—rzekł Sewer wtedy i Marder ukazał się natychmiast. Że człowiek był ambitny, wyraz rozkaz ubódł go widocznie.

— Co to za rozkaz? — zapytał chmurnie, stając przed Sewerem, który z konia nie zsiadał.

— Masz pan garść więźniów — rzekł tylko. — Jest między nimi Bilibog...

— Tak, lecz cóż to może obchodzić radę kronsztadzka? Więżniowie, których przystawiono do mojego miasta, do mnie należą i mnie okup za nich dostać się powinien.

— I dostaniesz go, panie komendancie — odezwał się głos bardzo dźwięczny i łagodny, który lekko drżał.

— Któż to wykupuje Biliboga — ozwał się Marder do Sewera, nie zdając się zwracać uwagi na mówiącego poprzednio — mogę żądać okupu, jaki mi się podoba i targować się jak chcę. Niewolnik ten jest dość cenny i nie wypuszczę go na pierwsze lepsze żądanie, bo rada kronsztadzka nic do tego nie ma.

— Panie—zawołał młodzieniec, lecz Sewer żywo mu przerwał:

— Rada kronsztadzka coś do tego ma, bo więźnia waszego zażądał od niej wojewoda Raduł, którego nie trzeba nam drażnić. Dlatego przysłany zostałem z okupem, oraz rozkazem, aby wymiana nastąpiła natychmiast.

— Tak...—rzekł Marder wyniośle.— Jest już po zgaszeniu ognia i mógłbym odpowiedzieć waszmości, że natychmiast znaczy u mnie jutro rano, po otrąbieniu pobudki.

— Nie uczynisz tego, panie komendancie, bo uznasz zapewne, że byłaby to bezużyteczna zwłoka— odparł Sewer surowym nieco głosem. Aby być w porządku, wręczam ci oto okup: w tym woreczku jest czterdzieści dobrych węgierskich dukatów. Sądzę, że dość?

— Mógłbym powiedzieć, że nie. Szeklerzy drogoby zapłacili za tego ptaszka, a Błażej Ordög dołożyły coś od siebie. Reszta moich więźniów nie warta nic, prócz tego, aby w taczkach wozili ziemię dla wzmocnienia murów, otóż niech Raduł wykupi wszystkich. Za pięciu przedniejszych żądam po trzy dukaty za głowę, resztę puszczę sam na cztery wiatry, gdy mi dokończą roboty.

— Panie — odezwał się wtedy znów młodzieniec — czy przyjmiecie za nich złoty, ciężki łańcuch, weneckiej roboty? Wart jest w dwójnasób tyle, co suma żądana. Albo go pan weź, albo przyjmuj w zastaw tylko.

Głos młodzieńca był wzruszony, wyciągnął żywo rękę do Mardera, podając mu łańcuch, który ten wziął machinalnie. Patrzył na młodzieńca uważnie. Choć mówił narzeczem saskim jak ktoś, dla którego była to mowa rodzinna, on snadź coś podejrzanego w nim upatrzył.

— Czy i łańcuch przysłała Serban Raduł? — zapytał, nie spuszczając oka z młodego jeźdźca.

Ale Sewer odpowiedział mu prędko i ostro:

— Od rady kronsztadzkiej, a po upadku Hermansztadu od najwyższej rady Sasów siedmiogrodzkiej przybywam do waszmości i śpieszno mi jest załatwić sprawę, bo mam na jutro inną czynność powierzoną. Czy wydasz mi waszmość jeńca, czy odmówisz tego?

Pytanie było postawione kategorycznie i Marder nie mógł już nic dodać od siebie, nie okazując się nieposłusznym najwyższej władzy swego narodu. Choć Sewera nie lubił oddawna, jako wychowańca Weisza, z którym miał dawny zatarg, też z powodu ambitnych swych uczuć wszczęty, niemniej dał natychmiast rozkaz, aby Bilibog razem z pięciu więźniami, z którymi razem przebywał, został wyprowadzonym. Łańcuch wziął na zastaw, lecz nie z chciwości przecież, bo Sewera słowo mogło być więcej ważyć od tego klejnotu, lecz podejrzenie jakieś co do młodego towarzysza Sewera utkwilo mu w głowie. Patrzył na niego uważnie i widział, że jakoby zachwiał się na koniu, gdy dozorca więźniów wyprowadził ich z niskiej sklepionej bramy, która wiodła od lochu więziennego.

Sewer tymczasem co prędzej z konia zeskoczył i podszedł żywo ku więźniom. Bilibog, odznaczający się swoją męską postawą, szedł przodem, a on co prędzej przystąpił do niego.

— Choć jesteśmy sobie wrogami, wykupuję waśc z rozkazu rady kronsztadzkiej—rzekł nie bez pewnego wzruszenia w głosie.

— Piotr Kurta mówił ze mną — dodał szybko i teraz cicho, nachylając się zlekka ku łowcowi ludzi.

Marder przypatrywał się młodszemu jeźdźcowi i stracił dla wzroku swego ten żywy i dumny razem ruch, którym Bilibog wyprostował się na dźwięk słów Sewera. Postąpił ku niemu naprzód, lecz w tej chwili oko jego dostrzegło towarzysza Sewera i zatrzymało się na nim. Szybko potem obrócił się ku Sewerowi i spojrzął na niego głębokim, długim spojrzeniem,

na które odpowiedzi snadź nie dostał. Stał przez moment nieruchomy, ale już na otwartej przestrzeni przed bramą, a księżyc właśnie wybił się w górę i oświetlił tło obrazu. Młody jeździec, snadź zmęczony, pochylił się na szyję rumaka.

— Na koń! — zawołał Sewer gromko.—Mamy przed sobą drogę, którą rozkazano mi odbyć pośpiesznie.

Skinął na jednego z zaciężnych knechtów swoich, a ten natychmiast przywiódł Bilibogowi niemniej pięknego i wyniosłego rumaka, jak ten, na którym jechał Sewer.

Gdy ruszono, Bilibog obejrzał się na miasto, w którym przeżył pamiętne mu na zawsze chwile, lecz zdarzyło się, że uczynił to samo i młody rycerz, z którego oblicza ani na moment jeden nie została podniesioną gęsta siatka przyłbicy i wtedy ich spojrzenia zatrzymały się na sobie.

Z bramy orszak wyruszył dobrym truchtem, ale potem zaraz zwolniono biegu, Bilibog prosił o to Sewera:

— Czyś tak zmęczonym jest, panie? — zapytał Sewer głosem wzruszonym, ale on potrząsnął głową:

— Nie—rzekł—ale nie chciałbym tak rzucić za sobą bez pożegnania towarzyszków niedoli mojej, a nie wydadzą za nami. Wiem, że laszek jest niedaleko i tam pożegnamy się z sobą.

Tak się stało. Gdy drzewa lasku dały podróżnym zasłonę przed oczyma, mogącemi ich szpiegować, zatrzymano się, a Bilibog zsiadł żywo z konia.

— Bracia — rzekł — musimy tu się pożegnać, a wierzajcie, że mi smutno to czynić. Przejdziecie chłód i głód, ale nie mam nic, aby wam w tem dopomódz.

Głos miał wzruszony, przecież zwróciwszy się do Piotra Tarki, zaśmiał się:

— Kolego — rzekł—daj ci Boże doczekać, abyś

z Batorym szedł świat podbijać... Może się wtedy spotkamy...

— A!—zawołał naraz.— Marder zapomniał ściągnąć mi pierścionka z palca i proszę, przyjmij go odemnie. Rubin jest niezgorszy, ale nie sprzedawaj go. Skoro się znów poprawi trochę w Siedmiogrodzie, idź z tem do Fehervaru, gdzie niezadługo przybędzie Batory; pytając o Biliboga, pokaż pierścień komu z dworzan księcia, a ten doprowadzi cię do mnie...

Tarka czegoś się zmieszał.

— Na dworze księcia? — rzekł głosem niepewnym.

— Tak, kolego. Powiem Batoremu, że go kochasz i przyjmie cię dobrze—do zobaczyska.

— Ale gdzie się teraz obrócisz? — dodał — Do Fehervaru niech się ściągają zuchy...

— Ruszam w góry—odparł Szekler, a czuć mu było w głosie, że sama myśl o tem, iż się znajdzie tam wkrótce, pierś mu rozszerzyła. — O świecie będę w obozie Błażeja Ordogi—dodał.

— Nie ma już Błażeja Ordogi — rzekł Sewer, mieszając się do rozmowy.

— Nie ma Błażeja Ordogi! — wykrzyknął Bilibog!—Gdzie się podział?

— Dostał się w ręce Serbana Raduła, a u tego niema pardonu, dla jeńców nawet — odparł Sewer.

Bilibog zbladł i usta zaczęły mu drżeć.

— Ale u Batorego jest odwet!—zawołał.

Rozpłomienił się cały od namiętnego ognia, który mu zaiskrzył się w źrenicach, przecież zdołał się prędko powściągnąć i obrócił się do Sewera, wyciągając ku niemu ręce.

— Takim samym byłyby zapewne i los Batorego, gdyby nie miał wiernego przyjaciela, który mu pospieszył z pomocą—rzekł.

— Nie, panie, Sasi nie byliby nigdy dopuścili się do tego—odparł Sewer.

— Wierność Sasów—rzekł Bilibog pogardliwie—  
o!... znam ja ją nie od dziś...

Ale porachujemy się z nimi... porachujemy jak  
należy...—dodał.

— Panie...

— Mości Sewerze, tyś wyjątek, bo jesteś ry-  
cerz, a tamci inni, to Szwaby—przekupnie...

Sewer podniósł głowę.

— Czy nie mylicie się, panie?—rzekł.

Słowa jego przytłumiło westchnienie, a raczej  
cichy jęk, który się wydarł z piersi młodego rycerza,  
uleciał on nieusłyszany przez nikogo, bo Bilibog pod-  
niecony był namiętnie, ale zdołał opanować się i zwró-  
cił się do tego współnika niewoli, który należał także  
dokorpusu Batorego. Do tego wyciągnął rękę, i choć  
ten nieśmiał mu podać swojej, on ją wziął i uściśnął  
serdecznie.

— Bracie, wiem, że się zobaczymy z sobą —  
rzekł—czekam cię w Fehervarze.

— Jak mi przykro przecież, że cię puszczam, nie  
mogąc ci dać nic, nawet już pamiątki żadnej — do-  
dał.—Mógłbyś być mieć pełne kieszenie saskiego zło-  
ta, gdybyś był chciał być Judaszem... Ale zobaczy-  
my się...

— Panie — rzekł wtedy Sewer, przystępując do  
Biliboga — pozwól mi się wyręczyć. Zawsze było  
w myśli mojej, aby jeńcom puszczoneym na wolność  
był wypłacony żołd na drogę i wszyscy tu obecni do-  
staną po parę florenów.

— Dziękuję, o! bardzo mocno dziękuję zato  
waszmości—zawołał Bilibog. — Zdejmujesz mi z serca  
kamień!

— Ale waszmość nie nie myślisz, że werbu-  
jesz żołnierzy dla Batorego—rzekł, śmiejąc się—boć  
ja się z nimi żegnam, do widzenia w Fehervarze...

Jeńcy otrzymali zaraz pieniądze i rozstano się.  
Że Bilibog miał serce zdolne kochać, można się było  
przekonać w tej chwili. Z Tarką żegnał się poufale

i żartobliwie, z drugim żołnierzem poważnie, lecz niemal tkliwie, i był widocznie wzruszony.

— Ci ludzie są więcej warci, niż panowie i rycerze — rzekł potem do Sewera — nie dla dumy, nie dla godności żadnej biją się z wrogiem i zastawiają kraj piersiami własnymi, lecz dla miłości ziemi swojej...

Odchodzący rzucili czapki w górę i zawołali chórem:

— Z Batorym żyć i umierać!

— Tym wierzę—rzekł Bilibog posępnie.

— Wierz, panie i innym — żywo ozwał się Sewer—oh! wierz, że jest w narodzie wielu takich, których serca mógłbyś na zawsze przykuć do siebie.

— W każdym razie nie saskich—odparł Bilibog gorzko.—Prócz waszmości, nie mam tam nikogo, kto-by nie był zdrajcą względem nas i ojczyzny.

— Nie, panie—przerwał Sewer—tylko Sasi pilnują praw swoich i nadanych im swobód..,

— Praw tkaczy i farbiarzy... swobód handlowania, nie zważając na los ojczyzny. Ale dla nich nie ma tu ojczyzny. Nie, nie wierzę nikomu między nimi...

— A Weisz, panie? — zawołał nagle młody rycerz, który uparcie milczał dotąd — mądry, uczciwy, szlachetny Weisz, czyż nie zasługuje na wiarę?

— Co to za głos?—krzyknął Batory, którego nie będziemy już dłużej nazywać Bilibogiem.

Nastąpiła chwila milczenia, aż Sewer rzekł na koniec:

— Krewny to jest rodziny Weiszów, zacny młodzieniec, który mi towarzyszy z miłości i wierności dla ciebie, panie....

— Krewny rodziny Weiszów—powtórzył Batory i zwrócił spojrzenie na zasłonę, okrywającą oblicze nieznajomego...

Patrzył chwilę, lecz młody rycerz ani się ozwał,

ani ruchem żadnym nie zdradził wzruszenia doznawanego i Batory westchnął.

— Kochasz i cenisz Weisza, młodzieńcze—rzekł nakoniec. — I ja czułem niegdyś to samo, widziałem go mężnym na polu bitwy i mądrym w radzie, poświęcającym się dla pana swego.

— Dla księcia Siedmiogrodu—rzekł Sewer.

— Co?—zapytał Batory, zmarszczywszy brwi.

Sewer nie odpowiedział nic i nastąpiła chwila milczenia, którą książe przerwał pierwszy.

— Kochałem Weisza i czeiłem go niemal jak rodzica mego, aż oto znalazłem go między wrogami swymi.

— Nie, o! nie, panie — wykrzyknął młody rycerz. — Jeżeli tu jesteśmy śpiesząc ci z pomocą, stało się to za wolą i rozkazem Weisza. On to w tym celu wysłał Sewera z obozu.

— Tak... a jednak on także zamknął Kronsztad przed nami.

— Przed wojskiem, panie...

— To wszystko jedno. Jam jest z tymi wszystkimi, którzy postępują wedle rozkazu mego. Ja, który mam prawo czynić tu wszystko wedle woli swojej.

— O paniel!—zawołał młodzieniec głęboko wzruszonym głosem. — Paniel ciebie otoczyli podstępni i zdradni doradcy. Niech przecież twa dusza, która jest szlachetną, twe serce, które jest dobrem, wspañiałem, wzniesie się ponad ich podszepty kłamliwe, nie z miłości przecież pochodzące. Paniel...

— Celesto!—krzyknął Batory.—Celesto!... to ty jesteś...

— Tak, panie, jam jest. Nie zdołałam się teraz ukrywać, tak jak nie zdołałam powstrzymać się, aby cię nie ujrzeć w chwili nieszczęścia... jam jest, panie...

— Aniele... aniele mój! — wykrzyknął Batory

namiętnie i konia swego posunął tak, że znaleźli się teraz obok siebie.

Tak był wzruszony, że milczał chwilę, a potem rzekł miękkiem, proszącym głosem:

— Celi, usuń tę siatkę z twarzy swojej, niech ujrzę słodkie twe oblicze, niech się napieszczę jego widokiem.

Usłuchała. Teraz księżyc świecił wysoko na niebie i światło jego padało wprost na jadących. Oświetlona jego srebrną luną dziewczica zwróciła wzrok na kochanego człowieka i ich spojrzenia, tonące w sobie, dały im zaznać całą słodycz pocałunku.

— Celi—szeptał Batory—Celi...

Po chwili ogarnęło go uniesienie namiętne.

— Celi, my nie możemy być rozdzieleni na zawsze. Co mi księstwo, co mi panowanie!... Rzućmy się przez te oto lasy, które tam widnieją—w stronę Węgier, do Ecsedu. Tam zostaniesz moja, moja na zawsze i nikt mi cię nie wydrze, nikt nie odbierze, chyba razem z życiem nas obojga.

— Nie, panie — odparła Celesta łagodnie smutnym głosem—tak być nie może. Jedź do Fehervaru, zwołaj stany Siedmiogrodu, ogłoś wyroki łaskawe, które zjednoczą wszystkie, pod berłem twoim żyjące ludy, stań się wielkim, wspaniałomyślnym, uwielbianym...

Zapał ją porwał, uniesienie ogarnęło, oczy błyszczały, drżały usta; przecież on, patrząc na nią i słuchając jej, stał ponuro zachmurzony.

— Ty nie kochasz, kobieto!—wykrzyknął.

— Kocham—odparła, łagodniejąc nagle—kocham tego, którego poznałam Ecsedi'm, tego kocham i wiecznie kochać będę...

— Ale w wiecznym rozłączeniu, wzniosłszy sama mur pomiędzy mną i sobą... ty tak kochasz!...

— Tak, panie, bo los okrutny nie pozwala inaczej. Ale w wiecznym rozłączeniu, jak powiedziałeś, jeszcze mogę zachować choć kruszynę szczęścia i tyl-

ko wtedy... o! wtedy przypadłoby w całości, gdybyś przestał istnieć dla mnie w obrazie szlchetnego męża, szlchetnego władcy ludu, którego szczęście Bóg ci zwierzył.

— Nie kochasz... stawiasz warunki, piszesz cyrografy na szczęście... nie kochasz więc!...

— Kocham — szepnęła tak cicho i łagodnie, jak cicho i łagodnie wietrzyk wiosenny powiewa przez listki krzewiny.

— Nie kochasz! — powtórzył namiętnie, gorzko. — Saksonką jesteś — kobietą zimną.

— Zimną... o nie, panie mój, aleś dobrze rzekł, że Saksonką jestem. Pamiętaj o tem, i bądź litościwy dla ludu mego...

— Zdrajcy są oni wszyscy, ten twój lud...

Jej teraz błysnęły oczy i podniosła się głowa.

— Mój lud chce utrzymania praw swoich... ty, panie, tego nie uznajesz i oto przepaść, która nas dzieli.

— Córka Weisza — rzekł Batory gorzko.

— Córka Weisza, który nigdy nie zdradzi ani uczuć, ani obowiązków swoich.

Zamilkli, nagle obłok srebrny napłynął na tarczę księżycy i jakaś zasłona melancholii padła na świat i krajobraz powłókł się jak gdyby mgłą. Jechano chwilę w milczeniu, a jechano płaszczyzną nagą i smutną; w dali rysowały się szczyty gór, jak coś ponuro groźnego.

Batory zcicha westchnął.

— Celi — rzekł — moje życie jest jak płaszczyzna tej puszczy, jednostajne, nierozweselone niczem, mroźne, zamglone. Kto się do mnie przysuwa, to pochlebca i fałszywy przyjaciel, jak powiedziałaś sama, podstępny knowacz, własną tylko fortunę budujący. A naprzeciw mnie ile zuchwalstwa, pożądlivości, ambicyi, zawiści, zdrady... O... życie na tronie jest okrutne, jeżeli się nie ma przy sobie ani jednego serca.

Z oczu Celesty płynęły łzy, ale toczyły się tak cicho, że książę, smutnie przygnębiony i patrzący w posepny krajobraz, nie widział, nie odgadywał tego. Aż przybyto na miejsce dróg rozstajnych, a Sewer zatrzymał konia.

— Panie... jesteś już teraz bezpieczny; ten jeździec, którego mamy w tyle, to Węgier i człowiek oddany całym sercem sprawie waszej, Werdai. Zna on drogi i będzie wam, panie, przewodnikiem dobrym, który ani cię zdradzi, ani zmyli drogę twoją.

— Więc ty, Sewerze, porzucasz mnie?—zapytał książę głosem ponurym, w którym drżał gniew.

— Tak, panie, muszę być z ziomkami moimi. Sas, muszę być z Sasami.

Książę spojrzał na niego surowo.

— Więc to nie jest w tobie uczuciem wierności i obowiązku, coś uczynił dla mnie, tylko... tylko...

— Serce moje, tak jak serce Celesty, jak serce Weisza, ciągnie mnie do ciebie, panie, i każe mi stać w obronie twojej. Wierzę w to, żeś jest szlachetny, a tylko obałamucano cię i rozdrażniono przeciw nam.

— Więc tyś przyjaciel, a ona kochająca kobieta i oboje opuszczacie mnie...

— Bo oboje musimy być z ludem naszym... Wróć mu, panie, łaskę swoją, uczyni mu sprawiedliwość, a wrócimy do ciebie.

— O panie! — zawołała Celesta — wróć wolność Hermansztadowi, wróć Kronsztadowi pokój, wróć zburzone szczęście mego narodu...

Wyciągnęła ku niemu obie ręce, a potem nagłym zwrotem skierowała rumaka swego w bok, a Sewer pośpieszył za nią.

Oddalili się szybkim galopem w dolinę, a Batory, jak w ziemię wrosły, patrzył za nimi. Zwolna tętent ich koni przyciszał się, postacie ich bladły przed okiem i on pozostał z nieznanym towarzyszem sam.

Pozostał tak smutny i samotny, jako biblijny pelikan wśród pustyni. Wiedział, że Celesta i Sewer uratowali mu życie, bo nie był jeńcem Sasów, według zawartego układu z Serbanem Radułem, który mordował niewolników i który byłby z dziką rozkoszą ścinał głowę człowieka, który go raz zwyciężył i uczynił swoim hołdownikiem.

Przecież Gabryel Batory nie odetchnął całą pierśią, aby wciągnąć w siebie ożywcze tchnienie życia i wolności. Czuł się smutnym i zmęczonym, bo odbiegła go przyjaźń i miłość.

---

#### RÓZDZIAŁ IV.

Wędrowcze, mów synom Sparty, że ci, co tu leżą, polegli w obronie praw<sup>1)</sup>.

Książę dostał się szczęśliwie do Hermansztadu, a ten, który mu towarzyszył w podróży, został człowiekiem bogatym. Wkrótce też znaczne siły zgromadziły się wokoło niego. Nie rozgromione, nie rozbite, ale w chwili nieszczęśliwego popłochu rozpierzchnęło wojsko jego stronników znalazło się wkrótce przy jego boku, i książę, mając do pomocy Gabryela Betlena, porządkował je i sprawiał szybko w pułki regularne. Straconymi byli głównie zaciężnicy obcy, bo Szeklerzy wiernie się skupili około chorągwi narodowej, jak to Gabryel Betlen głosił ustnie i piśmiennie. Batory mógł popełniać błędy i nawet mieć winy, ale przedstawiał w Siedmiogrodzie jego niepodległość i przy nim powinni być stać ci, którzy kochali kraj swój ojczysty. Przecież czarne chmury zaciągały horyzont. Cesarz niemiecki, który nosił wtedy tytuł rzymskiego, kazał wyruszać na Batorego palatynowi

---

<sup>1)</sup> Napis na kamieniu pod Termopilami.

Węgier, Forgaczowi; z drugiej strony dawny a chytry jego wróg, Serban Raduł, wkroczył w granice Siedmiogrodu i niedaleko od Hermansztadu, który książe uczynił miejscem swego pobytu, wojska palatyna połączyły się z Wołochami. Książe chciał się dumnie rzucić na wroga, ale Betlen wymógł na nim, aby nauczył się być politykiem; zawarto trzytygodniowy rozjem z palatynem węgierskim, wysłano posłów do Turcyi, starając się o zawarcie z nią przymierza, a gdy nareszcie czas zawieszenia broni minął, gdy doskonale sprawione i wedle dobrze obmyślanego planu prowadzone wojsko Siedmiogrodzkie wystąpiło do walki, odniosło wielkie zwycięstwo. Raduł został rozbity odrazu. Forgacz również musiał się cofnąć i przyznać do klęski, którą daremnie chciał powetować w następnych walkach z Batorym. Pobity kilkakrotnie, wycieńczony przez ciągłe harce z nieprzyjacielem, musiał się być poddać i uchodząc przez góry i lasy—przez Mołdawię i Wołoszczyznę, przez Polskę dostał się z resztką niedobitków do Węgier.

Wtedy gwiazda Batorego zdawała się odzyskiwać blask dawny. Jego sława wojownika znów zajaśniała, a świetne zwycięstwo nad obcymi kazało przebaczyć to, co w rządach wewnętrznych zarzucić mu było można; nawet te klęski, które przebywał, wyszły mu na korzyść, bo dwór jego dawny z cheiwymi zausznikami, którzy nad nim rej wiedli, został wśród tych klęsk rozbity, rozproszony i książe mógł rozpocząć jak gdyby nowe życie, w czem do pomocy miał Betlena.

Wszystko, co było złem w przeszłości, zdawało się być jak ten cień, który znika przy wejściu słońca, ale niestety, złe jest rośliną upartą, co ginąc, jeszcze ziarno swoje wsiewa w grunt, na którym raz wyrosnąć jej pozwolono. Ludzie nauczyli się już obławowywać przy księciu, nauczyli się ciągnąć korzyści z jego słabego charakteru, i choć Imrefi zginął, choć Kamuly już został gdzieś w tyle, inni chcieli ich za-

stąpić. Andrzej Nagy walczył mężnie z Forgaczem, mężnie wiódł szeregi siedmiogrodzkie do boju z Wołochami, ale potem uczuł się niedostatecznie wynagrodzonym za usługi swe, oddane księciu i ojczyźnie. Zdobyć wojenna po rozbitym pałacyku węgierskim była ogromną. Batory, który był szczodrym z natury, a nawet rozrzutnym i niebaczny w wspaniałomyślności swojej, gdy go zapał podniecał i rycerską fantazję jego podnosił, rozdzielił pomiędzy szeregi swoje niemal wszystkie te łupy bogate, bardzo niewiele zatrzymując dla siebie. Przecież Nagy uczuł się pokrzywdzonym i w dumie swojej dotkniętym; że nie dostał tyle, ile pragnął, stał się malkontentem, a malkontentem, który mógł być tem niebezpieczniejszym, że wojna domowa przycichła tylko, lecz wykorzenioną nie została; Sasi nie ustąpili nic z żądań swoich, księciu stawionych.

Było to jak zarzewie, przesypane tylko popiołem. Kronsztad, do którego bram nie szturmowano już dla wprowadzenia tam załogi gdzieindziej potrzebnych żołnierzy, nie otworzył też dotąd bram swoich. Turckie wojska, przysłane Batoremu przez sułtana, jako posiłki, na których czele stał Homin basza, miały tego dokonać wychodząc z Siedmiogrodu, i pociągnęły tamtą stroną, pustosząc całą prowincję Burzenlandu, aż legły obozem u bram Kronsztadu, gdzie zapanował już strach tak wielki, że kobiety obiecywały zabijać dzieci i siebie, gdyby Turcy zdobyli miasto.

Ale rządził nim Weisz. Jakkolwiek była chwila, w której nieufnie patrzono na niego i widziano w nim stronnika Batorego, o którego uwolnieniu z pęt Serbana podejrzewano ojca Celesty, jednak w godzinie niebezpieczeństwa jemu zwierzili ratunek miasta, do którego przystąpił nie tylko ofiarniczo, ale z wysoką mądrością. Bronić się przed tą nawałą dzikiego, fanatycznie srogiego żołnierza, było rzeczą ciężką i niebezpieczną, bo przegrana, a potem wzięcie miasta znaczyło to samo, co ruina ostatnia—co pożar, mordy

i gwałty najokrutniejsze, więc Weisz pomyślał inaczej. Ledwie basza stanął pod miastem, już Weisz stawiał się przed nim bez broni żadnej, odziany tylko w poważny strój czarny aksamitny patrycyusza miejskiego, ze złotym łańcuchem rajcy na szyi, mając w zanadrzu pergamin, na którym były spisane prawa miast saskich, i w towarzystwie rycerza, który umiał dobrze po turecku, bo przebył lat kilka w niewoli u pohańców, Jana Czestel'a, stanął poważnie przed dumnym Turkiem. Wspaniała postawa tego saskiego posła, jego włos już siwy i bezbronność zupełna, uderzyły wyobraźnię Turków. Basza pozwolił przystąpić do siebie, a tłumacz, który już wiedział naprzód, co miał mówić, płynnie i obrazowo skreślił położenie Sasów w ziemi Siedmiogrodzkiej. Dane im obietnice łamano, zawarte z nimi i spisane na pergaminie punkty gwałcono—czyż więc mieli być jako na rzeź w milczeniu idące stado jagniąt?

Basza słuchał i unosił się gniewem na nieprawość Batorego, kazał sobie pokazywać dokumenty, wezwał swego tłumacza, aby ich treść mu wyłożył.

— Okłamano mnie — rzekł nakoniec gniewu pełen. — Wyznawca Proroaka nie przyłoży nigdy ręki do dzieła fałszu i niesprawiedliwości.

Nazajutrz Turcy zwinęli rozbity pod miastem obóz bez żadnych gwałtów i tylko przyjąwszy dary, ofiarowane mu przez miasto, basza opuścił Kronsztad.

Na drugi dzień, o szarym świcie, oddział wojska, wysłany przez Batorego, złupił i splondrował przedmieście miasta, które spodziewał się ubiedz niespodziewanie, ale znalazł się wobec czujności, która tego nie dopuściła.

Popłynęło jednak немало krwi i łez — miecz i ogień połączyły się z sobą na zniszczenie obszer-nych i pięknych przedmieść, ale zgroza, która rozniosła o tem wieść daleko po kraju, nie dobrze służyła sprawie Batorego. Wołano w niebogłosey na gwałt i okrucieństwo, wytykano jak po starych arystokraty-

cznych rodach Kornisów, Banfich, teraz burzy i plonduje miasta, aby został tylko sam z prostym ludem Szeklerów.

Andrzej Nagy opuścił też dwór Batorego i zamknął się ze swymi hajdukami w Warad'zie, a że nie było już Imrefiego, Ordogi, Varkocsa, że nie było już na dworze księżęcym wielu innych, dwór ten stał się zwolna pusty i posępny.

Od ostatniego widzenia Celesty, miłość namiętna wzmogła się w sercu Batorego. Byli tacy, którzy twierdzili, że nasłanie Turków na Kronsztad łączyło się z tym stanem jego duszy, że byli w obozie tureckim ludzie księcia, ukryci i przebrani, którzy ratując niby Celestę z rąk niewiernych, byliby uwieźli ją do Batorego.

Działy się rzeczy smutne. Dusza tego namiętne-go człowieka, który nie znosił oporu, burzyła się w nim. Andrzej Geczi wysłany został znów do sułtana z misją dowiedzenia mu, że to, co Honim-Basza słyszał od Sasów, nie było prawdą. Ale Geczi był to ten wierny przyjaciel Kornisa, który mu w pierwszej ucieczce przed księciem dał schronienie w górskim zamku swoim, i służby jego nie były ani wierne, ani gorliwe, posiłki tureckie nie zostały też otrzymane...

Księżę doszedł do tego, że musiał jechać sam do Andrzeja Nagy, aby pociągnąć go znów do siebie i usługi jego sobie zaskarbić. Pokój został też zawartym z palatynem węgierskim Turzo, ale cesarz niemiecki obiecywał Sasom pomoc i Batory szalał z gniewu. Napadł osobiście i zdobył małą twierdzę saską Fetekohalom, następnie tak srogo pastwić się kazał nad jej obrońcami, że Gabryel Betlen, który mimo wszystkich szaleństw i okrucieństw Batorego, trwał wiernie przy nim, uniesiony żalem i gniewem, zaczął go błagać niemal gwałtownie o wstrzymanie egzekucyj, które wstrząsały najtwardsze nawet serca żołnierzy bolesnem przerażeniem. Twierdza została

zdobyta jakoby podstępem. Wysłano do księcia zakładników, prosząc o komisarzy, z któremi by komendant mógł zawrzeć pakt poddania się, gdy nagle i niespodziewanie przypuszczony szturm położył koniec wszystkiemu. Zdobyto twierdzę razem z miastem, straszliwa zemsta miała zostać wywarta nad mężnymi jej obrońcami, i Betlen w ostatniej już niemal chwili przypadł zdyszany na spienionym rumaku do obozu księcia, prosząc go o cofnięcie okrutnego rozkazu.

Był blady i wzruszony nad miarę, a że minuty były tu drogie, jak życie ludzkie, kończące się w męczarniach, więc też tak prosto, jak z konia zsiadł, przedstawił się Batoremu. Był to poranek, książę siedział w namiocie swoim, przy stole, ustawionym naprędce z cegieł. Leżał na nim jego szyszak srebrny z pięknym orlem piórem; Dimon stał przy krzesle, coś księciu żywo opowiadając, gdy szlachetna postać Gabryela Betlena ukazała się na progu.

— Przybywam do waszej książęcej mości z pod Fetekohalom i niema chwili do stracenia, więc odzywam się odrazu z moją prośbą, a raczej z uwiadomieniem waszej książęcej mości, co się tam dzieje.

— Wymierzają łożtrykom sprawiedliwość...

— Popełniają rzeczy okrutne, na które wzdryga się dusza ludzka — zawołał Betlen, już tak uniesiony, że wybuchać musiał. — Trzydziestu jeden ludzi ma ginąć i jak? Połowa zawisnie na stryczku, połowa ma być żywcem spalona.

— Na wolnym ogniu — dodał Batory.

— O panie! — krzyknął Betlen — jam źle słyszał... Jam źle słyszał, i źle, fałszywie mnie powiadomiono, iż rzecz, która ma się tam stać, jest wolą twoją. Ogłoszono skazanym, że ten, który się poda, że chce spełnić na braciach swych i współtowarzyszach niedoli okrutny urząd kata, będzie miał życie darowane...

— Tak!

— Panie! panie! na jakież spodlenie natury ludz-

kiej wyrok ten wydanym został.. Nie wyszedł on od ciebie samego, jakkolwiek potwierdzają mi to usta twe własne. Nie, to podli dworacy twoi, sępy chciwe łupów, istoty dzikie i nikczemne podsunęły ci tę myśl.

— Gabryelu Betlenie... czy ty wiesz, do kogo mówisz?

— Wiem, panie... Betlen mówi do Batorego i dlatego tak mówi... W twoich żyłach płynie krew rycerska szlachetnego, wielkodusznego rodu, nie katowską córką matka twa była i tyś nie wydał sam z siebie tego planu męczarni, tak okrutnych, że ci żołnierze twoi, którzy na polu bitwy sieką i mordują nieprzyjaciół, teraz stoją przerażeni i wołają:

— To nie księżę tego chce...

— Mylą się! księżę tego chce... Chce on wytracić buntowników, ród jaszczurecy, który spiskuje wiecznie przeciw nam i krajowi, łączy się z jego każdym nieprzyjacielem.

— Bo jest [srogo uciskany, bo jest poniewierany i lżony. Lada szlachetka szeklerski znieważa najszanowniejszego Sasa dlatego, że jest pracowity i żyje cicho z owoców pracy swojej. Ale, panie, czas uchodzi... Cofnij wyrok swój, o błagam cię..., zaklinam na własne twoje i Siedmiogrodu dobro!

— Już zapóźno. Mógłbym cię oszukać, Betlenie, i powiedzieć, dobrze... wiedząc, że już nie może się odstać to, co się stało...

— O! nie, panie... Ja na odpowiedzialność swoją kazałem wstrzymać wykonanie tego mordu. Nie-szczęśliwi, odziani w koszule śmiertelne, już stoją pod szubienicami ze stryczkiem założonym na szyję—nie-szczęśliwi już są przywiązani do pali, wokoło których wznosi się stos chrustu i drzazg smolnych, ale jeszcze nie podłożono tam ognia, jeszcze kat nie ujął końca sznurów...

Księżę się zerwał gniewny.

— Jak śmiałeś to uczynić?—krzyknął na Betlena!—Wolę moją tamować, to bunt i zdrada...

— Nie, tamować taką wolę twoją, panie, to wierna dla księcia swego służba i ja się nią szczycę.

— Panie! — dodał Betlen, widząc, że twarz Batorego mieni się ponuro—czy chcesz, abym cię błagał o łaskę dla skazanych na klęczkach? Nie uczyniłbym tego dla ocalenia własnego życia, ale uczynię to nie tylko dla tamtych nieszczęśliwych, ale z przywiązania mego do ciebie.

Książę wpatrzył się głęboko w oczy mówiącego. Nieufność i podejrzenie wyglądały mu ze źrenic, które topił w obliczu Betlena.

— Nie — rzekł w końcu ponurym głosem — nie uczynię zadość twojej prośbie, Gabryelu Betlenie.

Betlen zbladł, a Dimon, który przez cały czas tej sceny stał cofnięty w tył po za krzesło książęce, zaśmiał się głośno.

Przypomniawszy w ten sposób obecność swoją księciu, który się obrócił ku niemu:

— Ruszaj natychmiast do Fetekohalom i powiedz, że wola księcia jest niezmienną, że nie cofa on nigdy rozkazów swoich.

Dimon skoczył ku drzwiom, jak kot dziki, i w jednej chwili zniknął z przed oczu księcia, i Betlen, patrząc za nim, rzekł:

— Nikczemny!

Batory spojrzawszy gniewnie.

— Nikczemny jest dla was ten, który umie mi być sługą posłusznym. Otóż ja takich tylko wywyższę i wszystkich pyszałków dumnych poddam pod ich władzę. Ja tu jeszcze panuję.

— Ach!—rzekł Betlen jak gdyby do siebie—pi-sze się obecnie straszna karta...

Może chciał powiedzieć: „tego panowania,” ale zdołał się powstrzymać i zakończył: „dziejów Siedmiogrodu!...”

Jego szlachetna dusza nie mogła jednak przy-

stać jeszcze na to, aby spełnił się akt okropnego mordu i raz jeszcze zaczął błagać księcia, aby wyrok swój cofnął.

— Koń mój zdaży jeszcze za Dimonem i wyprzedzi go—mówił.—Będę mu prał boki ostrogą i choć jest to wierny mój towarzysz bojów, niech padnie martwy, skoro mnie doniesie do celu, skoro będę mógł zawołać przez głowy tłumów: Łaska! przynoszę łaskę książęca!

Gdy on to mówił, podniecony gorącym uniesieniem, Batory uśmiechnął się szyderczo. Im silniej Betlen nalegał, tem uparciej on się w postanowieniu swoim zaciął, dlatego właśnie, aby ten proszący go człowiek nie ukazał się ludzom w postaci łaski...

Charakter Batorego podejrzliwy był z natury, a ambitne knowania, które widział wokoło siebie, ambitne wynoszenie się jednych ponad drugich, podejrzliwość tę jego wzmogły jeszcze i przemieniły w manię niemal. Wszędzie widział podstęp i czyhanie na jego godność i gdy Betlen nosił się zacnym zapałem, gdy się dał zwycięzać uczuciu litości, on ujrzał w tem nagle zamiar zdradliwy uczynienia się miłym tłumowi kosztem jego osoby. Dlatego właśnie nie przebaczył, aby Betlen nie stał się wobec ludu siedmiogrodzkiego zwiastunem łaski.

Nie chciał, aby mówiono: Batory skazuje na śmierć, a on od śmierci wyprasza... To też, patrząc na niego, rzekł z szyderczym uśmiechem:

— Szlachetny rycerzu, na inny raz musisz sobie odłożyć przyjemność roznoszenia dobrodziejstw...

Betlen nie rozumiał ukrytej myśli Batorego, ale sam ton jego głosu, sam jego uśmiech złośliwy ubódl go głęboko w cerce—tak głęboko, że mógłby był cisnąć klątwę na cały rodzaj ludzki, który wydał takie srogie, dzikie istoty. Ale w tej chwili samej przypomniał sobie, że kiedy ten człowiek wydawał na okrutne męczarnie ludzi, których winą całą była bohaterska obrona swych ognisk rodzinnych, z pomiędzy trzydzie-

stu dwóch, skazanych na te męczarnie, jeden jedyny tak zesłał, że chciał zostać katem swych braci, aby uratować siebie. To przypomnienie odwaliło mu jak gdyby ciężki kamień ze ściśniętego boleśnie serca.

— Ach!—zawołał—na trzydziestu dwóch bohaterów tylko jeden nędzny...

Nastąpiła chwila głuchoj ciszy. Betlen przystąpił do drzwi namiotu i otarłszy czoło zwilżone potem, słuchał. Odległość obozu księcia od miasta była znaczna, jemu przecież zdawało się, że musi usłyszeć jakiś wielki, ogromny krzyk—albo gniewu lub wzruszenia, które ogarnie tak lud, jak żołnierzy, i nie dopuści do spełnienia wyroku Batorego, albo żalu i boleści która tak jęknie na widok płonących na stosach ludzi, że stosy te wstrząsną się i zagasną. Słuchał... chwycił dech w piersi i po wysiłkach, wśród których podtrzymywał go zapał, zaczęło go ogarniać wielkie znużenie, uczucie ciężkiej niemocy.

Czy Batory dostrzegł to, choć z boku tylko mógł widzieć twarz Betlena, czy też ochłonął z wolna z furji gniewu, wzrastającej w nim w miarę próśb, które go drażniły, wykazując mu dobitnie, że w namiętnej niesieniu szalonej pasyi posunął się do dzikiej srogości—w każdym razie ochłódł i jego chwiejna, słaba natura uczuła się zaniepokojoną, niepewną siebie i czynów swoich.

— Betlenie!—zawołał—zbliz się. Jesteśmy sami i mogę mówić otwarciej, niż przed chwilą. Jeżeli chciałeś otrzymać łaskę dla tamtych buntowników, dlaczego tak surowo narzuciłeś mi chęć swoją? Wohec sługi, który to słyszał, jam był powściągliwszym od ciebie, względniejszym na ciebie, niż ty na mnie. Nie dałem się uprosić, boś rozkazywał raczej, niż łaski błagał... a ja... ja, książę, nie mogę pozwolić na to...

Betlen nie odpowiedział nic. Równowaga jego uczuć jeszcze nie została przywróconą.

Księcia zaczęło to drażnić, ale zarazem i dole-

gać mu. Betlen był towarzyszem jego dzieciństwa i młodości, więc odezwał się więcej już w rozżaleniu, niż gniewie:

— A dlaczego nie było cię przy moim boku wczoraj? Gdybyś tu był, może byłbym wydał wyrok nie taki... Odsuwasz się odemnie i czasem przychodzą mi do głowy myśli drażniące. Wygląda to tak, jak gdybyś chciał jawnie ganić moje czyny i pokazywać, że nie bierzesz w nich udziału... A... drgnąłeś... podniosłeś głowę i patrzysz na mnie dumnie. Ja, książę i pan twój, nie mam dla ciebie wzroku takiego i pamiętaj, że może obudzić się we mnie podejrzenie...

— Jakie?—zapytał Betlen spokojnie.

— Że chcesz nosić głowę wyżej nademnie, że... Nie dokończył, bo Betlen przerwał mu wyniosłość:

— Niech Wasza Książęca Mość nie szuka zdrajców daleko i pociemku macając. Zdraycy są tuż przy osobie księcia, podejrywałem to dawno i doszedłem prawdy. Dimon, to szpieg Sasów... szpieg płatny i stały. Wczoraj wieczorem dostałem w ręce dowody tego.

---

## ROZDZIAŁ V.

Gdybym ja jeszcze wierzyła w serca twojego wspaniałość,  
W blaski rycerskiej twej cnoty, w orle twych uczuć porywy,  
Gdybym wierzyła, że pragniesz biedz górna drogą ku słońcu,  
Jak Dunaj dąży do morza—o! wtedy serce me biedne  
Możeby słabem się stało—może straciłabym siłę  
I nie umiała się oprzeć: nie pragnąc, czego ty pragniesz...

*Vörösmarty.*

Obsadziwszy Fetehalom załogą swoją, ciągnął Batory z powrotem do Hermansztadu, nie wstąpiwszy nawet nogą do zburzonej warowni. Choć prośby Betlena odtrącił, robak słów jego gryzł to serce niestałe w złem i dobrem, porywcze przedewszystkiem i namięte a dumne, w występku niezatwardziane, w eno-

cie nierozmłowane. W epoce, której był synem, żyło i działało niemało podobnych mu ludzi wśród szlachty i rodzin książęcych. Samowola była im prawem, bo prawnu przesąd nie dał im ulegać; czuli się wyższymi nad innych i ztąd obrażało ich każde podniesione czoło, jeżeli nie było czołem rycerskim, każde pożądanie swobody, poczucie godności ludzkiej w tych, których nazywali gminem. Jednak sumienie—ten głos, nie niksający nigdy w sercu człowieka, który już zupełnie zdziczałym nie jest, odzywał się i wtedy w piersiach ludzkich i ztąd to obok okrucieństwa i gwałtów, wobec wyrzniętych, palonych, potokami krwi i płomieni zalewanych wsi i grodów, widziano pokutników bijących czołem o progi świątyń; pielgrzymów, którzy, zostawiwszy za sobą wszystko—mienie, godności, ogniska domowe, dążyli do grobu Chrystusowego z kosztem pątniczym w rękę. War krwi gorącej stanowił o czynach tych dumnych, tych wyniosłych wojowników, na których herbowych tarczach nie miała postać skaża żadna i tylko natury silne i stanowcze wznosiły się ponad gromadami tych ludzi krewkich i ztąd słabych, że nie chcieli uznać nad sobą władzy żadnej.

Gabryel Batory należał do ludzi takich właśnie. Wychowanie odjęło mu jeszcze tę wielką dla mnóstwa ludzi przed złem obronę: tkliwość uczucia, która się zowie litością, współczuciem dla blizkich nam na ziemi istot i gdy został z niej obrany, nie już nie mogło hamować dzikich zapędów jego samowoli. Betlen nie miał nad nim wpływu, bo nie czał się pokornie, nie podchodził go zdradliwie, a przeciwnie, śmiało mówionymi słowami prawdy rozdrażniał go tylko, jak się to stało pod murami Fetehalom.

Posępny, jak noc, był też zwycięzca, wracający po zwycięztwie do domu; trwoga szła przed nim, trwoga za nim zostawała, a pierwszym aktem książęcym za powrotem do Hermansztadu było ogłoszenie mieszkańców Kronsztadu za zdrajców i wyjętych z pod prawa. Miało to miejsce w maju, w drugi dzień Zie-

lonych Świątek, to jest za dni siedemnaście wyrok ten stawał się prawomocnym. Jeżeli do tego czasu nie prześlągią księcia i nie otworzą przed nim bram swoich, nie wpuszczą w mury miasta załogi jego wojska, wszelki człowiek: szlachetny, czy też gbur, chłop, lub cygan, mógł bezkarnie zabić i zrabować każdego mieszkańca Kronsztadu, dobra jego zabrać, mienie jego sobie przywłaszczyć, na miasto napaść skrycie lub otwarcie.

Że bandy zbójckie były wtedy silne i liczne, że Siedmiogród roił się od zuchwałych cyganów, było to wydać na łup opryszków kilkanaście tysięcy ludzi, obywateli kraju, wśród którego rozluźniały się w ten sposób wszelkie węzły moralności i prawowitości. Ale Batory, wjeżdżając do Hermansztadu, podobnym był do chmury gradowej, która musi wydać z siebie zniszczenie.

A nie było już przy nim wesołych towarzyszków dawnych—nie było i narzędzia wszelkich uciech i zabaw książęcych. Dimon nie pokazał mu się od tej chwili, gdy poskoczył tak żwawo z katowskim hasłem mordowania obrońców Fetehalomskiej twierdzy.

Spalono piętnastu ludzi; szesnastu ludzi powieszono. Jęk ciężkiej boleści rozszedł się po całej saskiej prowincyi, a Weisz, jako gubernator Kronsztadu, wydał więc wyrok śmierci przez miecz, ogień, czy wodę na tego jednego, co wtedy uszedł zgonu: tego trzydziestego drugiego z liczby skazanych, który się uratował, zostawszy oprawcą braci swych i współtowarzyszów boju.

Wtedy to Batory odpowiedział mu, ogłaszając Kronsztad i kronsztadzianów za wyjętych z pod prawa.

Stan taki był zbyt naprężonym, aby mógł trwać długo. Ostatni akt wojny domowej musiał zostać rozegrany. Batory zbierał i zbroił wojsko, wysłał rozkaz do Geczego, aby się stawił z swoją milicyą góralszszeklerskich. Gdy wesołe wiosenne święto Zielonych

Świątek minie, rozlegnie się chrapliwy dźwięk trąb i rozpocznie się rzeź...

Sasów doszła wieść, że Batory wytargował na Serbanie wołoskim wielką pomoc: ciężkie działa oblężnicze, moździerze i haubice potężne do walenia murów, i postanowiono uprzedzić Batorego. Sewer i Weisz puścili się w góry szeklerskie, aby zawrzeć z Geczim przyjaźń i przeciągnąć go ostatecznie na swoją stronę. Mieli cztery tysiące zbrojnego i dobrze wyćwiczonego wojska, co na owe czasy znaczyło armię niemałą, i mogli ofiarować przymierze swoje możnemu panu, bo wrazie przegranej Batorego, tron Siedmiogrodu mógłby nagle stać się wakującym...

Zdawało się, że w powietrzu wisi groza strasznych wypadków; cóż musiało dziać się teraz w sercu Celesty? Widzenie się z Batorym musiało rozżarzyć w biednym jej sercu tę iskrę miłości, która siłą obowiązku na dno serca zepchnięta, nie zgasiła przecież.

Nieszczęśliwa! najnieszczęśliwsza nad wszystkie żyjące na świecie kobiety!... — mógł wołać każdy, kto ją widział na ulicach Kronsztadu, bladą jak cień i poważną jak gdyby to już była matrona ciężko losem doświadczona, nie zaś młoda dziewica, która powinna uśmiechać się do życia. Gdy Weisz i Sewer wyjechali — a wiedziała ona gdzie i po co — gdy pozostała samotna w domu pustym, ze służbą tylko i niańką swą starą, jeszcze głębszy smutek osiadł na jej bladym czole. I niewiasty powinny były szykować się ze swej strony do wojny: przygotowywano maście i opatrunki dla rannych, darto szmaty płócienne do tamowania krwi, która się miała polać w obronie tego, co im bezprawnie wydzierać chciano.

Celesta nie próżnowała też, nie zakładała rąk leniwie, ale jak ciężko, jak okrutnie ciężko czuła się zmęczona każdego wieczora, gdy po dniu takiego boleśnego zajęcia kładła się na spoczynek, który jednak spoczynkiem nie był. Sen odbiega nieszczęśliwych,

a marzenia ich—złudne obrazy pragnień lub obaw naszych, udręczają ducha.

Tak było z Celestą; źle, niespokojnie sypiała, choć na ulicach Kronsztadu było cicho, za cicho nawet. Niegdyś wśród wdzięcznych wiosennych nocy brzmiały tam do późna wesole lub tliwe piosenki i dźwięki muzyki. Jasnowłose główki wychylały się z okien i balkonów; słuchono nieraz z bijącą piersią tych postów miłości, które szukały sobie drogi do sere dziewiczych. Naraz ktoś przystępował do okna i następowały szeptu słodkie, lecz teraz daremnie był maj na świecie, daremnie natura cała budziła się, aby kochać i kwitnąć—w Kronsztadzie bywało teraz głucho, jak w grobie, a od wyjazdu Weisza i Sewera cichość ta posępna wzmagała się coraz bardziej. Lina, zbyt długo wyprężona, słabnie i rozkręca się, tu też tak było: ludzie zmęczeni się żyć tak z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc w stanie ciągłej czujności, ciągłego wyęczenia uwagi na czyhającego zaciekle wroga. Oswojono się z niebezpieczeństwem, a szczególnie zmęczono się i po wyjeździe tych, którzy byli jakoby duchem zagrożonego miasta, pilność stróży nocnych zwolna słabła. W dzień nie strzeżono pilnie u bramy, kto wjeżdża i wyjeżdża, w nocy patrole były rzadkie. Nie słychać było rozbrzmiewających wśród ciszy głosów niezasypiającej czujności: — Kto idzie?

Wprawdzie nie było prawie kogo pytać. Wszyscy smutno i głucho zamykali się w domu, skoro tylko gaszenie ognia otrąbione zostało. Celestę ta przyniatająca cisza nie wprawiała przecież w sen i nieraz długo, długo oczy jej zamknąć się nie chciały, choć posłuszna zwyczajowi, kładła się do łóżka o zwykłej godzinie. Stara niańka byłaby się kłopotowała i niepokoiła, gdyby było inaczej, i ona, pełna dobrego serca, chciała staruszce oszczędzić tego. Leżała więc bezsenna, rozważając przeszłość, dręcząc się niespokojną troską o przyszłość, gdy naraz, a było to już

o północy i po pierwszym zapianiu kura, usłyszała jakiś ruch w pobliżu. Kroki to były kilku osób na ulicy, przyciszone, a jednak słyszeć się dawały; i Celestę to właśnie uderzyło, że takie jakieś były powolne, uważne.

Zatrzymały się przy jej kamienicy i ona się podniosła.

— Czy ojciec z Sewerem wracał, czy może przysłał gońca z nowinami i rozkazami? Ale nie... to nie goniec, bo miała prawie pewność, że było ludzi kilku. Stanęli przy drzwiach, a jej serce biło jak gdyby trwożą, lecz wkrótce usłyszała, że się oddalają i odetchnęła z głębi piersi. Dlaczego się lękała w mieście obwarowanym i zamkniętym, w mieście tak ludnym, że rabusie, ani złodzieje napaśćby nie mogli—nie byłaby w stanie odpowiedzieć. Czasy były pełne grozy i serca kobiet mogły drzeć.

Przyłożyła znów głowę do poduszki, lecz po chwili uderzył ją jakiś szmer, ale już wewnątrz domu. Mogła przypuścić, że ktoś idzie, że kroki jakieś stąpają bardzo ostrożnie, że coś się w pobliżu jej porusza, ale odgłosy te dochodziły ją teraz z innej strony, od tyłów domu i nagle siadła na łóżku wzruszona. Przypomniało jej się drugie wejście od ślepej, wąskiej przecznicy, z której wchodziło się do ogrodu i myśl o powrocie ojca i Sewera przeniknęła ją radością, lecz zarazem i wzruszeniem tak wielkiem, że to nie dało jej zerwać się radośnie na nogi.

— Co przynoszą, jakie wieści?

Nigdy nie mogły one być wesołe, bo zawsze musiały mieścić gromonośne wiadomości o wojnie bratobójczej, czy przecież znajdowała się w nich choć nadzieja jakaś ratunku—pomocy?

Biedna ctarła łzę, zaczęła szeptać pacierz cichy; czuła trwożę przed tem nawet, coby musiało nazwać się dobrą nowiną, gdy oto nagle usta jej rozwarły się jak gdyby chciała wydać krzyk, który jednak skonał na nich, bo niewymowne spazmatyczne przerażenie ci-

snęło jej gardło: ujrzała przed sobą wysoką postać zamaskowanego mężczyzny.

Ten podniósł palec do ust, nakazując jej milczenie, Zanim stało dwóch innych, także zamaskowanych ludzi.

Ten, który się zdawał być ich przywódcą, przysunął się do niej szybko.

— Cicho—rzekł—hałas nie zda się na nic, tylko ofiar przymnoży. Przy tamtych drzwiach—tu wskazał drzwi, wychodzące na korytarz, wiodący wgłąb domu—znajduje się straż nasza. Zanim służba zdołałaby się dostać tamtędy do ciebie, uprowadzimy cię tem drugim wejściem oto...

Wskazał w stronę, wiodącą do ogrodu i Celesta zrozumiała go. Krzyk jej mógł zwołać obrońców, ale bezużytecznych. Wiedziała, jakie bywają skutki stawiania oporu zbójcom, słyszała wielokrotnie o porwaniach dla okupu i słyszała, jak z zimną krwią mordowano tych, którzy stanęli na drodze rabusiów dla obrony porwanych. Ona mogła być w jednej minucie wywleczoną z łóżka, usta jej mogły w jednej minucie zostać zakneblowane, a ona sama wsadzona na konia i uwieziona bocznymi ulicami miasta bez nadziei ratunku, bo rabusie musieli już mieć zapewnioną sobie drogę odwrotu i wydobycia się z miasta.

Choć w owych czasach napady zbójcekie wśród miasta bywały już rzadkie, zdarzały się jednak i wyobraźnia przestraszonej przedstawiła jej w tej chwili tego wołoskiego harambaszę, którego plany niegdyś skrzyżowała. Może to był on, lub ktoś z jego bandy?... Może ją powloką przez podziemia?...

Skutek oporu był bardzo wątpliwy i Celesta uczuła, że wpadła w szpony sępa. Odzyskała już zimną krew.

— Będę cicho, jeżeli przyrzeczecie mi, że obchodzić się będziecie ze mną, jak nakazuje uczciwość — rzekła. — Ojciec mój zapłaci za córkę swoją wszelki okup, jaki naznaczycie, ale nigdy wtedy, gdy-

by została znieważoną, bo moglibyście oddać mu tylko trupa mego.

— Wierzmy ci — odparł zamaskowany. — Jesteś córką Weisza, więc wierzmy ci...

Wszystko to odbywało się przy łóżku Celesty, która siedziała oparta o poduszki, śmiertelnie blada. Dumna jeszcze i nieugięta, mimo okrutnego położenia, była nietylko czarująco piękną — przedstawiała taki szlachetny hart ducha, że rabusie powinni byli przeprosić ją na klęczkach i zostawić wolną. Ale nie na to jest się rabusiem, aby składać hołd godności duszom wzniosłym; przeciw zamaskowany cofnął się ku progowi drzwi, w których stanął, aby Celesta mogła włożyć suknie, znajdujące się w pobliżu. Ach! zdjęła je tak niedawno i tak spokojnie...

Jednak zamaskowany, zanim się tak odsunął, prosił ją, aby się śpieszyła. Zwrócił jej uwagę, że może pozostawić jej swobody ledwo minuta kilka. Gdyby chciała się ociągać, wtedy on będzie zmuszony działać tak, jak wymaga jego interes.

Celesta zrozumiała to. Była niemal wdzięczna rabusiewi, że pojął o tyle jej rozsądek, aby odwoływając się do niego, oszczędzić jej dzikiego rzucenia się na nią. Ubierała się też prędko i spokojnie napozór. Nic jej z rąk nie wypadło, nie zapomniła też o niczem i z kolei sięgała po to, co jej było najpotrzebniejszym w tej chwili.

Mała krucica, która w tych czasach niebezpiecznych leżała zawsze nabita w skrytej szufladzie jej klęcznika, należała do tych „najpotrzebniejszych” jej rzeczy. Nie była to obrona wobec kilku wrogów, gdyby chciała jej użyć przeciw nim, ale była obroną najwyższą w taki sposób, że mogła ją zasłonić przed tysiącami nawet — otwierając jej natychmiast wrota śmierci...

Gdy zarzuciła już na siebie płaszczyk swój podróżny, uklękła na poduszce klęcznika i podnosząc

wzrok na postać ukrzyżowanego Chrystusa ze słoniowej kości, który był zawieszony ponad klęcznikiem, nacisnęła szybko i zręcznie sprężynę, wyjęła krucicę z otworu, który zrobił się pod ręką, i ukryła ją zaraz na piersi.

Stało się to wszystko w przeciągu jednej minuty. Zamaskowany jej stróż widział tylko jak klękała, i podnosząc oczy ku górze, pochyliła się nieco naprzód, jak gdyby w pokornym akcie wznoszącej się do Boga myśli. I tak było.

— Boże! ratuj mnie od tego ostatniego nieszczęścia, które jest hańbą... — mówiła w niej jej dusza, gdy położywszy rękę na krucicy, ściągnęła ją potem ku piersi.

— Gotowa już jestem do drogi—rzekła natychmiast potem, a ta jej zimna krew zyskała sobie taki szacunek w dzikim jej napastniku, że prawie nieśmiało rzekł, otwierając drzwi przed nią:

— Musimy się śpieszyć...

Zwrócono się wprost do ogrodu, gdzie Celesta ujrzała na warcie jeszcze dwóch ludzi. Ci nie byli zamaskowani, ale nie знаła ich, nie widziała nigdy.

Gdy znaleziono się następnie u drzwi w murze, wiodących na ulicę, przewódca, który postępował obok Celesty, wyjął z kieszeni czarną jedwabną maskę, jakiej używały nie rzadko przedniejsze panie w czasie podróży, ale Celesta nie przyjęła tego. Ściągnęła kaptur swego płaszczyka i czarna gaza zakryła jej piękne, teraz pobladłe oblicze. Na rogu uliczki stały cztery konie, z których jeden był przeznaczonym dla Celesty. Wsiadła bez oporu; przebywano ulicę miasta zupełnie puste i ciche, jadąc stępa. Bramę otworzono im bez oporu, bo przewódca orszaku znał hasło. Jedna rzecz uderzyła przytem Celestę — wymówił on to hasło saskie, jak Sas rodowity, z akcentem, jaki nie łatwo zostaje przyjętym przez cudzoziemca.

— Czyżby ten rabuś był Sasem? — zapytała się

siebie z boleścią, ale omyliła się. Rabuś był tylko szpiegiem saskim, gdyż był to—Dimon.

Ponieważ Betlen po okrutnem rozwiązaniu tragedyi w Fetekohalom oddalił się natychmiast z obozu księcia, nie mógł już on dowiedzieć się o Dimonie nic więcej nad kilka wyrazów niejasnych, rzuconych w uniesieniu; a choć to uniesienie mogło podawać je w wątpliwość, niemniej Batory zatruił sobie umysł podejrzeniem i wszystkie sztuki Dimona, wszystkie jego usługi dawne i obecne nie mogły go usunąć. Wiedział on też, że lada chwila, lada przypadek, może sprowadzić jego upadek i postanowiwszy położyć kres temu niebezpiecznemu stanowi, odważył się na coś najśmielszego, ale mogącego zarazem zbudować most dla wróconej mu łaski księcia: on to zuchwale wykradł dla niego Celestę.

Ona zaś, gdy spostrzegła, że wiozą ją do Hermansztadu, zrozumiała, że porywcą jej nie jest zbójca wołoski, lecz stokroć straszniejszy obraz położenia jej przedstawił się umysłowi.

Któż to był zatem?

Zaliżby *on*?

O! wtedy nie Ecsedi to już był, tylko Batory i na myśl o jednym dotknięciu jej ręki przez jego rękę już krew wszystka gniewnie biła jej do głowy. Żal, ból, gorzkie uczucie zawodu ścisnęło jej serce. On! on! chcący ją związać z sobą gwałtem!...

Dimon tak wyrachował, aby Celesta przybyła do Hermansztadu w czasie nieobecności tam Batorego. Chciał, aby jej obrażona duma miała czas się uspokoić, aby w samotności myśląc o tym, którego miała zobaczyć, rozbudziła w sobie miłość i tę tęsknotę, jaka zawsze jej towarzyszy—chciał, aby Batory znalazł ją rozbrojoną i skłonniejszą do słuchania go. Umieścił ją w dalszej już części miasta, w starej i pięknej kamieniczce, należącej niegdyś do jednego z patrycyuszów Hermansztadu. Wszystko tu było jak gdyby znane już Celeście, sprzęty, urządzenie, rozkład ko-

mnat w stylu jej rodzinnym—otoczyła ją jakoby atmosfera saska, a jakaś niemłoda kobieta, przeznaczona do jej usług, była też Saksonką. Ta nic nie wiedziała, nie podejrzewała niczego. Powiedziano jej, że Celesta jest młodą małżonką rycerza saskiego, którego ksiązę wziął do niewoli, a którego ona przyjechała uwolnić przez wykup. Mieszkania dolne zajmowali stróże z ramienia Dimona, górne piętro zaś zajmowały dwie te kobiety i tak przebyła Celesta trzy dni.

Pierwszego dnia była bardzo zmęczona, zboląta ciałem i duszą złamana niejako, ale nazajutrz już wróciła jej energia. Była panią swojej woli, bo mogła zawsze umrzeć, i to poczucie siły dało jej względny spokój. Serce jej biło jednakże gwałtownie!.., och, jak gwałtownie, ilekroć jakiegokolwiek odgłosy z zewnątrz pozwoliły przypuścić, że Batory się zbliża...

Była pewna rzecz drobna, która jej wielką przykrość sprawiła. Wybierając się prędko do drogi, zarzuciła płaszczyk na poranną luźną suknię, która znajdowała się obok niej, przeznaczona do włożenia nazajutrz przy wstaniu z łóżka. Przykrą jej teraz była myśl, że się pokaże oczom Batorego w tej szacie swobodnej. Dziewicza jej wstydlivość kazała rumieńcom występować na lica w chwili, gdy myślała o tem, i dlatego przystała na przyjęcie sukni innej, którą stara Mina przyniosła jej nazajutrz po pierwszym jej wypoczynku w niewoli. Była to szata bogata i wykwinna, przecieź nie węgierskiego kroju. Córczka Weisza uczuła żywą przykrość, kładąc na siebie te jedwabie i aksamity, ale mimo to była wdzięczną ręką, która jej to przysłała, gdy spostrzegła, że jest to ubiór kobiet jej narodu.

Batory w nocy dnia tego powrócił z polowania na sarny, a Dimon powiedział mu dopiero nazajutrz około południa, że Celesta jest o dziesięć minut drogi od niego.

Drgnął, zapłonął, oczy mu błysnęły i zdawało

się, że poskoczy w tej chwili ku drzwiom, aby biedz do niej, ale była to błyskawica, która natychmiast zagasta.

— I tyś to śmiał uczynić, o czem ja lękałem się zamarzyć nawet!—krzyknął na Dimona— ty...

— Tak, ja panie... Nie unos się gniewem, bom przecież nie uczynił tej panie nic złego, jak sama poświadczyć może i tylko sprowadziłem ją tu... Dwie, czy trzy ulice... i oto zobaczyć się możecie. Dałem jej gniazdko piękne, wygodne a saskie... przysięgam ci, panie, że jej tam źle nie jest...

— Milcz! — krzyknął Batory. — Rumienił się i bladł, bladł i rumienił się. — Dwie, czy trzy ulice i ona już, Celi jego!...

— Każę cię zakuć w kajdany za twoją zuchwałość! — krzyknął na Dimona i nie mogąc pozostać na miejscu, chodził tam i napowrót po komnacie, jak zwierz dziki po klatce swojej. Dimona odpędził od siebie, ale wkrótce kazał mu stawić się przed sobą, kazał mu opowiadać, jak i co było — jak i co robiła Celesta?

Dimon, prawie nie mijając się z prawdą, opisał mu wszystko. To go uderzyło, że się nie broniła silnie, lecz nagle przejęła go trwoga, zali niema zamiaru zabić się w więzieniu swoim...

Rozżalił się nad przerażeniem, które przebyła— opanował go namiętny gniew na myśl, że Dimon mógł znaleźć się zuchwale i z siłą gwałtu wśród jej komnaty dziewiczej. Pragnienie widzenia ukochanej, pragnienie pocieszenia jej po tem, co zniosła, rozrywało mu piersi i Dimon nie został zakuty w kajdany, lecz w niespełna godzinę po odkryciu przed Batorym tego, co uczynił, dyabelski ten syn, jak powszechnie nazywano Dimona w otoczeniu księcia, wiódł go na gotycko rzeźbione wschody odległej kamieniczki Hermansztadu.

Celesta z jednej strony trwożnie i niespokojnie, z drugiej w przepętlwieniu żalu i skargi oczekiwała

przybycia księcia. Chciała raz wyjść z bolesnego położenia, choćby przez bramę śmierci, gdy przecież usłyszała wśród otaczającej ją ciszy kroki szybkie i śmiałe, znane jej dobrze kroki, uczyła nagle trwogę niepojętą i oblicze jej stało się białem, jak u posągu. Wstała z krzesła, postąpiła kilka kroków naprzód i stanęła jak skamieniała we wlokącej się szacie aksamiitnej, wyprostowana, dumna i tylko brakowało na jej jasnych włosach korony, aby to był obraz królowej. Batory zaś biegł szybko, unosiła go niecierpliwa tęsknota; w uszach brzmiał mu niepoczciwy poszept Dimona, aby okazał się kochającym, lecz nie słabym.

— Kobieta daruje zawsze gorące uniesienie miłości—mówił mu syn dyabelski prawie w chwili, gdy wchodzili do kamienicy.

Batory był też roznamiętniony i prawie szalony. Kochać, czuć się kochanym i odpychanym... o co za próba!...

Żywo nacisnął klamkę, wszedł i...

Stała się w nim nagła, niepojęta może dla niego samego przemiana. Ta dziewczica blada, jak gdyby już była cieniem, ta samotna, ta niewolnica, pilnowana przez zbirów, przejęła go taką litością nad sobą, takim żalem, że najpierw padł jej do nóg.

— Celi!... ty porwana i gwałtem wieszona do mnie... ty przestraszona, ty...

Chwycił brzeg jej sukni i całować zaczął.

— O Celi!... to nie ja jestem tym zuchwalcem. Celi, przebacz mi, coś ucierpiała!...

Teraz w niej odbyło się podobne, jak w nim przejście. Łzy toczyły jej się z oczu; duma, siła — prysnęły... została tylko kobieta nieszczęśliwa, porwana przez nowalnicę losu, i Batory usłyszał jej łkanie. Jak matka dziecko, tak on powiódł płaczącą do krzesła, jak matka dziecko, uciszał ją i zaklinał, aby się uspokoiła. On każe zabić zbrodniarza, który się targnął na jej wolność, i niech rozkazuje, czego chce, a on wszystko wykona, jak gdyby był jej więźniem.

Ale ten nastrój uczucia trwał w nim krótko. Gdy ona zawołała, aby zaraz, zaraz dał jej możność powrotu do ojca, uczuł do niej żal głęboki, gniew nawet.

— Nienawidzisz mnie—wołał w rozdrażnieniu— przytomność moja jest ci wstrętną, na mój widok stałaś się białą, jak chusta... Dawniej tak nie było... o! pamięta n... twoje lica zakwitwały właśnie różami, twoje oczy spuszczały się przed moim wzrokiem, lecz gdy się spotkały... och! co za chwila, co za rozkosz, co za upojenie!

Teraz Celesta przeszła inną jeszcze próbę. Padł jej do nóg i obejmował je, błagał, aby mu pozwoliła je ucałować, wyciągał do niej ramiona i dając jej nazwy najśodsze, zaklinał, aby się podała w jego objęcia, aż ona podniosła wzrok pełen żalu i zawołała:

— O panie! nie doświadczej ty już serca mego, które zbolełe jest i zmęczone tak, że pragnęłabym uciszenia choć w trumnie. Oboje jesteśmy ludzie nieszczęśliwi i nie rozżarzajmy sumi tego płomienia, którego ogień spalić nas tylko może...

— Nie, Celi—odparł, ściskając jej biedną, drżącą rękę w dłoniach swoich—nie... Ja bez ciebie żyć nie mogę, boś ty jest jedynem życia mego dobrem, kwiatem, którego woń stanowi wszystko, co znaczy dla mnie szczęście i rozkosz. Bez ciebie jest wkoło mnie tylko ciemność i udręczenie, obok ciebie stanę się lepszym i mocniejszym. Ty mądra i słodka będziesz dla mnie gołąbką pokoju i słuchaj... Córka Albinusa podzieli ze mną tron, choćby wszyscy dumni magnaci węgiersey mieli zmarszczyć czoło... Uczynię cię małżonką swoją wobec Boga i ludzi... dziś jeszcze wyprawię gońca do twego ojca... Och! Celi moja!

On, zwyciężywszy w sobie raz to, co było pychą kastową, odrzuciwszy na bok wszystkie względy, stające między nim i szczęściem, stał się człowiekiem przemienionym. Rozjaśniony, promieniejący mi-

łością i uczuciem uszczęśliwiającej go swobody, po zerwaniu więzów, któremi się dotąd krępował, uczuł się znów na dawny sposób młodym i kochającym.

— Celi!—powtarzał—to Ecsedi twój wrócił do ciebie... Nim trzy dni minie, ty moją będziesz... przytulisz się do serca mego—na zawsze...

Jej twarz mieniła się. Bładość i rumieniec następowały po sobie. Już nie odpychała go, ale skłoniwszy swą jasną głowę ku klęczącemu, rzekła:

— Gabryelu, ty w ten dzień dasz mi w darze swej miłości szczęście moich rodaków... Wszak tak?... w ten dzień zabrzmiały radosne głosy oswobodzenia w Kronsztadzie i tu... w Hermansztadzie...

On się nagle od jej nóg porwał.

— Celi! ty mnie nie kochasz jednak! — wykrzyknął z goryczą.

— Kocham, ale jedna miłość nie może zabijać drugiej. To są moi bliscy tam, gdzie cierpią i ciężką dolę znosić muszą. O, gdybyś ty tam był jedną chwilę, pauie... Ile tam jest trwogi, niepokoju, boleści!...

— Zdrada nie może się pełnić bezkarnie...

— Oni, panie, mówią, że stoją przy prawach swoich...

— Pod których pozorem knują spiski na mnie i zawierają związki z nieprzyjacielem Siedmiogrodu! Żadne państwo tak rozdzielone ostać się nie może i ja, stróż mojego narodu, na jego tronie osadzon dlatego, aby strzedz jego potęgi, ja zgniotę ich raczej, niżbym miał pozwolić na te konszachty z obcymi. A kto to zwrócił się po pomoc do odwiecznego wroga węgierskiego narodu—do Niemców? O! z oczu twoich płyną łzy, bo nie możesz mi odpowiedzieć, iż tak nie jest... Jest tak, Sasi są zdrajcami!

Ona otarła łzy, które jej wyrzucił, i smutne oczy podniosła na niego.

— Gabryelu — rzekła poważnym głosem, który się przyciszał pod głębokiem wzruszeniem—Gabryelu,

słowa twoje są okrutnym na szczęście nasze wyrokiem. Ach! trwało ono w mej duszy tak długo, jak błyskawica, która otwiera nam niebo... Wypadł zaraz grom, który zabił wszystkie moje nadzieje. Ja nieszczęśliwa nie mogę sądzić między narodem moim i tobą, ale wyszła mi oto z życia mego ta ciężka nauka, że niema szczęśliwej miłości między ludźmi dwóch obcych, wrogich sobie narodów. Ach! panie... serce pęka w tej chwili, gdy ci to mówię, ale cóżby to się działo, gdyby małżonka twoja lała łzy wobec tryumfów twoich, wobec spełnionych twoich obowiązków władcy Siedmiogrodu? O... coby to były za dni, za noce moje okropne w rozdarciu serca, jakoby na dwie połowy! Ty zwycięzca, byłbyś zbryzgany krwią mego ludu, obłany jego łzami, ty zwyciężony przez mój lud... oh! cóżbym ja czuła, nieszczęsna?... Zawsze, zawsze byłabym odstępczynią w każdej mojej radości, odstępczynią w każdej mojej boleści, grzesznicą i pokutującą wciąż razem... Gabryelu, nie dałabym ci szczęścia, ani bym go nie zaznała sama... Gabryelu...

Teraz zalala się takim strumieniem łez, takie łkanie rozdarło tę pierś męzną dotąd, że Batory, który już z posępnym wyrzutem patrzył na nią, naraz użalił się jej cierpienia.

— Celi, Celi! — wołał — nie płacz, bo ja łez twoich nie zniosę. Słuchaj... tyś mi jest droższą nad tron i koronę!... rzucę to wszystko — zostawię po za sobą Węgrów i Sasów i uwożąc ciebie tylko, ujadę kędyś w świat, choćby na Tureczczyznę... Dobrze? Ecsedi weźmie cię na konia i uwiezie brankę miłości swojej...

— Gabryelu, to marzenie, to skryta zdrada miłości twej dla mnie, która chce zatryumfować nad wszystkim. Jedna, choćby najdroższa nam istota, nie starczy za świat cały, za wszystkich ludzi i wszystkie uczucia, wszystkie ukochania, za krewnych, przyjaciół,

za ojczyznę! Wygnaniec... to człowiek pełen żalu i tęsknoty i ja nie popchnę cię do tego...

— Więc cóż? — wykrzyknął Batory już znów ponuro.

— Rozłączenie i pożegnanie na zawsze...

— Rozłączenie i pożegnanie na zawsze ze szczęściem?...

— A czy szczęście byłoby osiągniętem inaczej? Gabryelu! gdybym ci je dać mogła przez śmierć moją, o! przyjąłabym ją natychmiast, ale zdradzić swój naród w ucisku, odstąpić go i stać się małżonką tego, który postawić chce na nim nogę, powalonym! Gdybym uległa przez słabość uniesieniu miłości, możebyś znalazł na drugi dzień zimnego już trupa mego...

Teraz już nie płakała. Łzy jej oschły, oczy błyszczały.

— Gabryelu—rzekła, biorąc go za rękę—wszak tyś mi powiedział, że ja nie niewolnica za rozkazem twym porwana i zamknięta tu w więzieniu... Prawda? Gwałt popełnili nikiemni pochlebcy, ale znajdując się już pod obroną twą i opieką, wolną jestem?

On boleśnie się uśmiechnął.

— Tak—rzekł—wolną jesteś...

Ona podniosła na niego spojrzenie dziękczynne i rzekłszy: panie mój, chodź ze mną... zwróciła się ku drzwiom przedpokoju, gdzie znajdowało się dwóch przybocznych gwardzistów Batorego. Spokojnym i łagodnym głosem powiedziała im, aby jeden z nich podążył do służbowego oficera księcia z jego rozkazem przygotowania zaraz konia pod siodło kobiety i eskorty, złożonej z kilku walecznych i ucziwych ludzi. Widok księcia obok niej, która wydawała te rozporządzenia, potwierdził je i czynił jakoby rozkazami jego. On przecież był blady bardzo i jak gdyby walczący w sobie. Niemal machinalnie, jak człowiek zostający pod urokiem jakiegoś zaklęcia, szedł za nią i wrócił do komnaty bawialnej.

Ledwie przestąpili jej próg, ona uknęła przed nim...

— Gabryelu! jesteś dobry i szlachetny... Dziękuję ci za to na klęczkach, bo zostawiasz mi możność, aby serce moje nie przebywało srogich doświadczeń walki z samem sobą. Nie Ecsedi'ego już teraz kochać będę aż do dni mych ostatka, lecz Batorego...

Nim zdołał odpowiedzieć na jej słowa, usta jej spoczęły na jego ręce i wycisnęły na niej pocałunek gorący.

Zerwała się przecież bardzo szybko z klęczek i uciekła na drugi koniec komnaty, aby paść na krzesło i zalać się gorącemi łzami.

On stanął przed nią rozżalony i z brwią ściągniętą.

— Pamiętaj, że uchodzi mi z tobą światło mej duszy. Pamiętaj, żeś ty jedna miała władzę nademną, której nikt inny już posiadać nie będzie—rzekł z gorącością.

Ona podniosła oczy załzawione.

— I dla mnie, Gabryelu, tyś jest tem, czem nigdy... o nigdy nie stanie się już nikt — zawołała. — Serce, kochające gorąco, nie kocha dwa razy, ale między nami stanęły przeszkody nieprzebyte...

Wstrzymała płacz, drżący w jej głosie, i miała dość siły, aby się zwyciężyć. Po chwili przecież podniosła się i biorąc rękę Batorego, poprowadziła go ku oknu.

— Gabryelu—rzekła—patrz tam, na ten czysty błękit nieba. Tam kędyś jest zaświat, gdzie uchodzą duchy ludzkie po walce ziemskiego żywota i dusze tych, którzy byli sobie drogimi na ziemi, tam się zjedną nakoniec. Przez miłość dla mnie pamiętaj o tej krainie zaziemskiej, kędy cię czekam, bo na ziemi musimy być rozłączeni na zawsze..

## ROZDZIAŁ VI.

A ty, co stoisz najwyżej ponad otaczającym cię tłumem, czyś jest tak nienaruszalnym, jak i bezgrzesznym? Kamyk się stoczy z góry i uderzyć cię może...

*Körner.*

Prawie jednocześnie z tą chwilą, w której Celesta wywalczyła sobie wolność, Gabryel Betlen zjechał do Hermansztadtu i była to jakoby łaska losu dla Batoryego, bo wielkiem nieszczęściem tego człowieka było to, że nie umiał cierpieć spokojnie. Szamotał się namiętnie pod każdym dotknięciem losu i wtedy ogarniały go dzikie niecierpliwości. Szukał winy we wszystkim i wszystkich zato, czemu ulegać musi tak mocarz, jak żebrak, bo prawa, rządzące ludzkością, nie zuieniają się dla nikogo. On nie umiał sobie tego powiedzieć; natura stworzyła go namiętnym, wychowanie, chcąc dać mu siłę, jakiej nie posiadał, uczyniło go despota. Chciał łamać wszystko wokoło siebie, co mu się wrogiem być zdawało, i teraz rozłączenie z ukochaną kobietą smutnie rozdrażniało go na Sasów, w których buntach widział powód swego niepowodzenia wobec Celesty, gdy właśnie poselstwo ich przybyło do Hermansztadtu i było się można obawiać, aby nie przyjął go w jaki sposób okrutny. Ztąd też obecność przy nim Betlena była jakoby opatrnościową, bo mimo wszystkich wad swoich, Gabryel Batory posiadał jakąś intuicyjną znajomość ludzi. Pozwolił podłym cisnąć się do siebie, aby korzystać z ich usług i czynić ich narzędziem swych przyjemności, ale gardził nimi i nie dowierzał im, gdy przeciwnie, był zdolnym szanować nawet nieprzyjaciela, w którym widział szlachetność ducha. Betlena przecież znał i cenił od lat bardzo młodych. Nie miał dość hartu woli, aby pozostawać zawsze pod jednym wpływem, stawał się nieraz powolnym na głos nikiemnych pochlebców,

ale zawsze ucieszył się, gdy do niego przybywał i wymawiał mu, że trzyma się zdala od niego. Teraz przecież Betlen zjechał z całą rodziną do Hermansztadtu, bo położenie rzeczy było groźne. Niebezpieczeństwo groziło zawsze zewnątrz od chytrego wojewody Serbana, niebezpieczeństwo wewnętrznych zamieszek rosło i potęgowało się z dniem każdym i Betlen przybył do Hermansztadtu dlatego właśnie, aby być obok Batorego w chwili poselstwa saskiego, które prosiło o pokój, ale nie bezwarunkowy, i Betlen znalazł się w porę obok Batorego.

Chcąc zręcznie wprawić księcia w dobry humor, wyprawiał on wspaniałą ucztę, wśród której Batory miał spotkać wielu mężów poważnych. Zaproszonymi zostali i przedniejsi z deputatów saskich, bo Betlen rachował na to, że to da im sposobność okazywania księciu tych oznak czci i uszanowania, jakiej nie wyrażają buntownicy. Że przytem jeden z tych posłów wręczył mu prywatnie list od Celesty, usposobienie jego stało się dla nich łaskawszem, jakkolwiek przy czytaniu listu oczy zaświeciły mu zapalczywym gniewem. Przecież troskliwie schował pismo w zanadrze, chcąc mieć na piersi papier, na którym droga mu ręka kreśliła wyrazy, objawiające jej tkliwe zawsze dla niego uczucie, bo Celesta przesyłała księciu ważną przestrogę i ważne ostrzeżenie—przed zdradą!

List został mu oddany w chwili, gdy Betlen już czekał na niego, aby z orszakiem dworzan swych i przyjaćiół przeprowadzić księcia do swego domu. Batory snadź nie chciał psuć sobie chwil zabawy i zamileczał o odebranej wiadomości, odłożył na później ściągnięcie winowajcy przed oblicze sweje. Mimo gwałtowności, Gabryel Batory umiał być niekiedy skrytym i w tem właśnie, co było wyrzeczeniem kary na winnych. Rys ten jego charakteru zaznaczyła historia, a dodać trzeba, że znajduje się on często u Węgrów, jako pozostałość wschodniego ich pochodzenia. Zawzięci są i zacięci w nienawiści swojej tak

mocno, jak gorący i wierni bywają dla ukochań swoich i dlatego to umieją zacząć się nieraz na wrogów, aby wyrzucić zemstę tem silniej...

Czy jednak ten, w którym teraz poznał wroga, był osobą zbyt maluczką, aby wiadomość o jego zdradzie rzucała cień głębszy na umysł władcy Siedmiogrodu, czy też uczta Betlena była tak wspaniałą i uweselającą, że zapominał wśród przyjaznych jej wrażeń o rzeczy niemiłej, którą pozostawił w tyle za sobą, dość, że od początku do końca okazywał się pełnym młodzieńczej, kawalerskiej fantazyi, zwłaszcza dla pięknej gospodyni, Zuzanny Karoly z domu. Miała ona wyznaczony sobie krótki pobyt na ziemi i może w nagrodę tego, że niedługo cieszyć się mogła życiem, danym jej został tak podbijający urok wdzięku, że mu ulegali młodzi i starzy. Uległ też i Batory. Przytem uczta była szczególnie wspaniała. Wedle obyczajów tamtego wieku, zasiadano do stołu o południu. Batory, przeprowadzony przez gospodarza, zająchał przed stary, niegdyś do rodziny Karoly należący pałac w chwili właśnie, gdy na wieży biła godzina dwunasta i spotkany zaraz w sieniach przez piękną gospodynię w orszaku najprzedniejszych pań węgierskich, które przebywały w pobliżu, podał jej zaraz ramię, aby ją poprowadzić do sali jadalnej, przedstawiającej obraz nieznanego dziś przepychu. Ciągłe stosunki z Polską przez ciąg panowania Stefana Batorego wprowadziły wiele zwyczajów polskich do Węgier, a to zaznaczyło się szczególnie w stroju pań i wytwornej zastawie stołów. Kunsztowność włoska, która z Boną dostała się do Polski, udzieliła się teraz Węgom i wykazywała w bogatych i wytwornego kształtu srebrach i kryształach. Piękna Zuzanna Betlenowa, siedząca przy księciu, miała na bogatej, powłóczystej sukni w różnobarwne tureckie palmy na tle błękitnego jedwabiu kontusik biały ze srebrnej lamy, ujmujący obcisłe jej wysmukłą, kształtną kibić. Suknia ta wespół otwarta, zwała się polonezą (*lengyeles*)

i była zapięta na srebrne guziczki, a gdy książę wiódł tę piękną panią do stołu z dworną układnością, gdy długi szereg równie bogato ubranych pań i panów posuwał się za nimi, aby zasiąść przy stole, wspaniale zastawionym, obraz to był dla malarza, obraz zdający się tak uśmiechać szczęściem i dostatkiem, że widząc, wprowadzony do tej biesiadniczej komnaty, aniby przypuścił, ile gwałtownych i sprzecznych sobie namiętności i pragnień biło w piersiach uczujących.

Do piątej godziny trwała biesiada i wino łączyło się ze złocistych i srebrnych dzbanów w kryształowe puchary, rumieniły się lica i rozbłyskiwały oczy, a książę, choć nie pił wiele, miał podniesiony kolor twarzy, gdy wreszcie powstał, aby dwornie odprowadzić sąsiadkę swoją do obszernej, na ogród wychodzącej bawialni. Już też nie bawił potem długo i daremnie gospodarz prosił go, aby chciał przedłużyć gościnę swoją. Sprawy posłów saskich posłużyły Batoremu za powód do nieprzeciągania odwiedzin swoich i gospodarz wraz z najprzedniejszymi panami odprowadzał go do drzwi pałacu, w którego dziedzińca masztalercze w drogich barwach trzymali już na ozdobnych uzdach rumaki księcia i jego dworzan.

Betlen nie mógł już teraz odprowadzać dalej Batorego, bo miał niepospolitych też gości u siebie i Batory bynajmniej się o to nie obrażał, a nawet chciał go zaraz za pierwszym progiem antykamery odprawić, ale on nie chciał na to przystać. Przeprowadził on księcia przez sieni, aż do progu drzwi ostatnich, lecz dalej już mu Batory iść nie dał.

— No, no — mówił mu poufale i wesoło. — Dość już użyłem gościnności twojej; wracaj do tych, których tam masz jeszcze u siebie.

Betlen jednak jeszcze wyszedł za księciem na podsień i zatrzymał się, gdy ten, stojąc na pierwszym stopniu ganku, którego kolumny dźwigiły ciężką wystawę marmurową, skinął ręką na masztalercza.

— Dawaj! — zawołał — i pyszny kary rumak stanął przed gankiem.

Batory chciał wprost ze stopnia wschodów wskoczyć mu na grzbiet, lecz w chwili gdy to czynił, cały gzyms górnego frontonu, jak gdyby popchnięty w górze niewidzialną ręką, oberwał się i ciężkimi kawałkami gruzów zwałił się na ziemię.

Cudownym jakimś trafem żaden z nich nie dotknął księcia, który już siedział na koniu, gdy bladzi i oniemieli świadkowie tej sceny nie mieli siły nawet wydać okrzyku trwogi.

Ostąpieli, struchleli patrzyli na rumowisko, które zasypało stopnie ganka, i tylko książę, nie tracący krwi zimnej, zaśmiał się głośno, a potem, zdjawszy z głowy aksamitną węgierską czapkę, na której było widać biały pył wapna i okruchy tynku, rzekł z wyrazem kłującego szyderstwa tak w głosie, jak spojrzaniu:

— Bracie Betlenie, dziękujemy wam serdecznie za pocziwą gościnność waszą...

Betlen stał blady jak trup. Przeraził go wypadek i możliwość jego następstw, przecież nikt nie powinien go być dotknąć podejrzeniem, bo w chwili katastrofy był tak blisko księcia, tak tuż obok niego stał na stopniach ganku, że nikt nie byłby mógł wyrachować, w kogo uderzy spadająca cegła. Że jednak Batory podejrzenie to powziął, można było poznać ze słów ostatnich.

O przeciągnięciu zabawy już nie było można myśleć. Goście rozjeżdżali się pośpiesznie i nietylko goście, bo niespełna w godzinę potem, gdy oddział wojska książęcego otoczył dom Betlena, aby go aresztować, już nie znalazł ani Betlena, ani jego żony. Ślad nawet ich drogi został zatarty, nikt nie mógł powiedzieć, w którą stronę i kiedy mianowicie ujechali, bo stać się to musiało w chwili popłochu i rozjeżdżania się gości.

— Do Raduła... do cesarza tureckiego — zawo-

łał Batory, gdy mu to doniesiono, lecz mylił się; Betlen z żoną schronili się na Węgry. Noc całą jadąc bez odpoczynku, przybyli do Temeswaru, lecz tam bawili tylko tak długo, aby delikatna kobieta wypocząć trochę mogła, i ruszyli dalej w drogę do Budy.

Batory zżymał się gniewem namiętym, że ofiary jego dzikiej zemsty uszły mu z rąk, ale cierpiało w nim i serce. Kochał Betlena, lecz złowroga podejrzliwość jego natury przeważała w nim wszelkie inne uczucia.

— Zdrady!... wszędzie zdrady... — wołał w ponurem rozdrażnieniu i kazał przywołać przed oblicze swoje Dimona.

Tego nie było w domu, ale w parę chwil potem zjawił się przed księciem, który groźno go zapytał, gdzie był, czy nie u posłów saskich?...

List Celesty odkrywał Batoremu, że jest zdrazczanym, że ma obok siebie skrytego nieprzyjaciela. Uważała to sobie za obowiązek i gdy padłszy ojcemu do nóg, błagała go o nieużywanie podobnych środków przeciw Batoremu, napisała mu, że u łona jego wygrzewa się wąż. Książę odrazu odgadł, że wężem tym jest Dimon. Znał niktzemne strony jego charakteru i ulegał tylko jakiejś słabości niewytłómaczonej, trzymając go przy sobie, ale teraz tem silniej rozpałił się gniewem namiętym.

— Zdrajco niktzemny! — zawołał — tak to odpłacasz łaski moje!...

— Jakie? — zapytał Dimon, też z płomieniami w spojrzeniu. — Byłem sługą dogodnym i pan mój płacił mi zato. Zrobił mnie najpodlejszem narzędziem swoich chuci... wykorzenił, wyrwał doszczętnie, co we mnie jeszcze było uczciwości i to jest to dobrodziejstwo, za które mam być winnym wdzięczność?...

Zaśmiał się dziko, a roznamiętnienie całej jego istoty rosło z każdym wymówionym wyrazem. Wzglę-

dy, dzielące służbę od księcia, już zniknęły dla niego zupełnie.

— To nie ja tu dłużnym jestem — zawołał w końcu — nie ja... Zdradzałem, to prawda, bo pierś moja kipiała uczuciem, doznanej krzywdy i zazdrości, a przecież, czym nie dał się unosić głupim, nędznym porywom miłości ojczyzny i miłości bratniej?...

— Jakiej miłości? — krzyknął Batory rozdrażniony też w stopniu najwyższym.

— Psiej... Psi instynkt czasem mi targnął serce i czym nie jeden raz ocalił wojsko siedmiogrodzkie od zguby, odkrywając plany nieprzyjacielskich wodzów? A cóżby było wtedy, gdyby chytry Wołoch był zdążył połączyć się na tyłach naszych z Forgačem? A gdzieby to obracał się teraz książę, gdyby jego podły sługa nie wyratował go z niewoli Sasów, a raczej ze szponów Serbana Raduła? Rozdziobane od kruków kości bieliłyby się teraz gdzieś w polu...

Książę drgnął, ale zaraz uniósł się silniejszym jeszcze gniewem.

— Zdradzałeś dwie strony dla podłej chciwości grosza! — zawołał.

— Nie... Psia natura, psia głupota, bo kiedym zobaczył Batorego rozbitkiem, Batorego w niewoli, w więzach... Ach! wszyscy Batorowie są... błazny głupie...

Wymówił wyrazy ostatnie w uniesieniu, które już rozum odbiera, a książę skoczył do niego jak tygrys rozżarty i tych dwóch byłoby się teraz mordowało, jak Kain i Abel...

W tej chwili wszedł setnik gwardyi książęcej, wprowadzony przez Kamuly'ego, który znalazł się znów na dworze, jakkolwiek już bez żony. Setnik zdawał sprawę, że wszystkie oddziały pogoni, rozesłane na różne trakty za zbiegiem, nie odkryły najmniejszego śladu Betlena.

Książę zdołał się opanować natychmiast. Należało to do cech jego natury, że jakkolwiek gwałtowny

w stopniu najwyższym, umiał czasem wciągnąć w siebie namiętność, jak ślimak rogi, i przyczaić się z nią. Nim setnik rozpoczął historję nieudanych poszukiwań Betlena, on rzekł do Kamuly dwa łacińskie wyrazy półgłosem.

Kamuly wyprowadził Dimona, który jak śmierć blady, nagle też odzyskał przytomność umysłu i dał się spokojnie wyprowadzić.

Książę słuchał opowiadania swego wachmistrza, jak się zdawało z uwagą, a ten zdawał szczegółowo raport o każdym szczególe pogoni, gdy wszedł znów Kamuly.

— Sprawa pilna — rzekł, wchodząc — mam tu jakieś papiery, zdarte z szyi więźnia, a które może zawierają zdradę; odkrycie jej może być ważne.

Kamuly miał plamy krwi na ręku, którą wyciągnął do księcia, i ten drgnął, cofnął się w tył.

— Co... jak?... — zapytał ponuro zmarszczony.

— Kiedy pachołkowie zerwali z niego suknie i kat chciał go przewiązać sznurem w pół ciała...

— Jakto?... wzięliście go odrazu na tortury? — krzyknął książę srogo...

— Próżno było przewlekać — odparł Kamuly — bo to dyabeł, nie człowiek. Śmiał się wtedy nawet, gdy krew już mu tryskała nosem i ustami.

— Cicho — zawołał Batory i cofnął się w tył od Kamuly'ego.

Papiery były w takim woreczku jedwabnym, w jakich pobożne kobiety z owych czasów nosiły relikwie świętych patronów. Gdy książę z pewnym wstrętem rozwiązywał jedwabny sznureczek, którym opleciony był zwitek papierów, Kamuly rzekł:

— Powinienem, panie, dodać ci i to, że gdym te papiery zerwał Dimonowi z szyi, on, z początku brońiący ich zaciekle, potem sam mi je oddał. „Weź służalcze podły — rzekł z szyderstwem — weź i oddaj to swemu panu. Kiedys z dumy kryłem tajemnicę tę przed światem, ale teraz chcę, aby ją poznał

miłościwy nasz książę”. Potem obrócił się do kata i rzekł mu zimno: „Zaczynaj...”

Książę nie czytał, ale przebiegał szybko okiem poźółkłe ćwiartki, widocznie listy, aż w końcu znalazł pargamin z pieczęcią książęcą, a twarz jego mieniła się przytem dziwnie.

— Kamuly — krzyknął — leć, pędź, ręka kata niech nie postanie na Dimonie, któremu oddaj to wszystko...

Ręce mu drżały, gdy pospiesznie kładł papiery w woreczek i oddając je Kamuly'emu, dodał:

— Powiedz mu, aby nigdy nie spojrzął na siebie oczy nasze...

Kamuly już był w progu, gdy zawołał jeszcze:

— Nie bronić mu nic, co zechce z rzeczy posiadanych, wszystko, wszystko mu oddać i dać mu ze stajni mojej konia, którego zechce... A jeżeliby chciał jeszcze przenocować w mieście, nie bronić mu... Niech odpocznie...

Nie dokończył: „po torturze...” ale dziwnie bolesny spazm ust wykazywał, że wyraz ten tylko nie mógł być przez niego wymówionym.

Książę dowiedział się z listów, pisanych ręką jego ojca Stefana, że Dimon był mu blizki krwią, jak brat bratu. Listy te były pisywane do Tekli, córki Teobalda, złotnika z Debreczynu, która młodą dziewczyną uszła z domu rodzicielskiego z miłości dla młodego i wielce urodziwego magnata, który ją poznał na uroczystości turniejów, wyprawianych w Debreczynie z okazji zwycięstwa w wojnie Węgier z Turkami. Kobieta była słaba, ale tkliwego, wiernego serca. Wstydem trapiąca, nie chciała już nigdy wrócić do domu rodzicielskiego i ukryła swoją boleść aż w dalekim Burzenlandzie, gdzie młodo zamknęła oczy, zostawiając syna sierotą na łasce losu.

Kiedy Batory wołał na Kamuly'ego: — Dać mu z mojej stajni konia, którego zechce... — był zdolny zawołać: — Jeżeli zechce, niech wróci do mnie, mój

brat... — ale w walce uczucia z wyniosłością księżęcą uczucie przegrało...

---

## ROZDZIAŁ VII..

Dzieje świata zdają się toczyć jak bałwany wzburzonego morza, pędzone wichrem i tą mocą ślepą, która tkwi w żywiołach. Ale nie... czuwa w nich Mądrość Najwyższa, która trzyma w ręku szalę, ważącą czyny wszelkie i jest w nich wet za wet...

*Bezimienny.*

Posłowie sascy nie wyjednali u Batorego pokoju. Warunków nałożonych na siebie przyjąć nie chcieli. Pod Marienburgiem stoczona została walna bitwa, a walczyli w niej przeciw księciu i ci rycerze, którzy powinni byli stać po jego stronie, ale niezadowolenie szerzyło się w kraju coraz silniej i w szeregach Sasów był Geczi z hufcami stronników swoich. Batorego nie było tu osobiście, przecież bitwa została dla Siedmiogrodu wygraną i Weisz w niej zginął. Konając na polu bitwy, oddawał Celestę w opiekę Sewerowi i żądał od niego przyrzeczenia, aby cierpliwy jak brat, został jej wiernym jak kochanek, i gdy serce biednej dziewicy uciszy w sobie nakoniec walkę z nie-szczęśliwą miłością, aby wyciągnął wtedy do niej dłoń raz jeszcze i uczynił ją małżonką swoją. Sewer przyrzekł to umierającemu i nie dlatego tylko, ażeby mu zapewnić zgon spokojny. Serce szlachetnego młodzieńca było jak złoto czyste, które nie zawodzi pod kamieniem probierczym; doświadczenia losu nie wykazały w nim żadnej przymieszki podlejszego metalu i samotna sierota nie przestała mu być nigdy tak drogą, jak drogą była córka poważanego i ludem swoim, jakoby król ukoronowany, rządzącego człowieka. I wierność ta nagrodzoną została. Celesta przywiązała się

do niego silnie, jak do najlepszego przyjaciela i tak, jak przewidywał Weisz, to dwoje połączyło się w końcu węzłami przysięgi aż do śmierci. Lecz Celesta przebyła jeszcze jedną próbę ognia i wyszła z niej zwyciężką.

Wśród różnych zmian losu i w kolei wypadków, wstrząsających Siedmiogrodem, przyszła w następnym zaraz roku taka chwila, że Batory zapotrzebował od Sasów nie tylko przymusowej uległości, którą zdobywa na słabszych przemoc mocniejszego, ale prawdziwej życzliwości i spójni, jaka wiąże ludzi i narody, sprzymierzone z sobą rzeczywistą sympatją serc. Zjechał też do Kronsztadu dla zdobycia sobie ludu saskiego, czy przecież to był jeden i jedyny tylko powód tej nagle zmienionej polityki Batorego? Gwałty jego i szaty, potęgujące się coraz więcej, pustynię też wytwarzały wokoło; odbiegli go wszyscy dostojniejsi i zacniejsi ludzie, w otoczeniu książęcem nie było już nikogo, przedstawiającego rody znane krajowi i zaufzone. Batory usiłował pokrywać doświadczane uczucie braku przez dzikie wybryki szalonych orgij, przecież w głębi duszy czuł się samotnym i był smutnym. Szczególniej bolało go zerwanie z Betlenem, ale za dumny był, ażeby pierwszy wyciągnąć rękę do zgody, przytem robak nieufności już mu się wgryzł w serce i nurtował w niem, a nowi ludzie, którymi się teraz otoczył, jątrzyli go jeszcze ciągłemi donoszeniami o knutych na niego spiskach i tajemnych naradach szlachty siedmiogrodzkiej.

W takim stanie serca i unysłu tęsknota za ukochaną kobietą mogła budzić się w nim silniej, niż kiedyś. Trzeba mu było istoty jakiejś, którąby czuł przy sobie wierną i mocno kochającą; trzeba mu było jakiegoś oparcia się sercem o serce i może wpływ tych uczuć przyłożył się do zmiany jego polityki z Sasami. Ukorzeni już byli teraz i poddani rządowi surowym, gdy on oto zjechał nagle między nich. Obóz księcia został rozbity pod Kronsztadem, a Batory, przyj-

mując obywateli miasta, sprosił ich do siebie na ucztę, przy której wznosił zdrowie najpiękniejszej i najszlachetniejszej z kobiet Siedmiogrodu—Celesty, córki mądrego Weiszal

Zaraz nazajutrz zjechał do miasta i odwiedził ją. Wspaniale strojny, na pysznym rumaku, z orszakiem licznym, prawdziwie po książęcemu zawitał do ukochanej, która wyszła na jego spotkanie zmieszana i smutna, ażeby usłyszeć słowa najgorętszej miłości.

— Bądź moją — mówił jej. — Już teraz bez żadnych zastrzeżeń, bez żadnych warunków, jedynie na prawach naszej wspólnej miłości, bądź moją!...

Ona zapłakała. Nie rumieniła się, lecz bladła.

— Zapóźno już — odrzekła — zapóźno! Serce moje zbyt już wiele przecierpiało, aby mogło odżyć...

— Ach, panie — dodała. — Na krwawych polach Marienburga dźwigałam ciało mojego ojca — bez głowy!

Tak było rzeczywiście. Gdy Weisz, który dowodził wojskom saskim, padł śmiertelnie ranny, a wśród popłochu i bezładnego odwrotu Sasów Sewer usiłował unieść rannego gdzieś na ubocze, Weisz umarł mu w rękach, czyniąc go przez ostatnie swe słowa opiekunem Celesty, i wtedy Sewer ukrył jak mógł ciało wśród krzaków, ażeby nie odarto go dla łupów i pośpieszył złączyć się z uchodzącymi szeregami rozbitych Sasów. Przecież nazajutrz, zaledwie świt słoneczny zaczął różowić niebo, już on tam był z córką sierotą, aby zabrać drogie zwłoki, lecz z czemżeż się przy nich spotkali? Nie kruki je obsiadły, nie sępy... Szekler Bilibog odkrył je i za żadne pieniądze nie chciał odstąpić córce trupa ojcowskiego. Trzeba mu było głowy *Szwaba*... bo było to jego rzemiosło odcinać je wszystkim przedniejszym, bogaciej odzianym wojownikom saskim i odnosić je w darze księciu, jakoby trofea. Działała tu nienawiść rodowa Węgrów ku Niemcom, w wieku owym przejawiająca się w for-

mach surowszych i okrutniejszych, i nieszczęśliwa Celesta uwiozła z sobą do miasta tylko tułów bez głowy i to wspomnienie okrutne stało jej teraz w myśli, gdy usłyszała swatające ją sobie słowa miłości Batorego.

— Panie — mówiła mu też ta sierota żałosna — między nami nie może być ślubów miłości, bo nas rozdzielają na zawsze strugi krwi i stosy trupów! To, com ci mówiła niegdyś w jasnowidzeniu losu mego, sprawdza się teraz okrutnie. Dwoje kochających się ludzi musi mieć jednego Boga i jedną ojczyznę i biada tym, którym padnie los inny... Los taki padł nam i rozstać się musimy...

Próżno Batory prosił i nalegał, nie nie wyprosił i nie nie wymógł

— Dźwigałam ciało ojca mego bez głowy — odpowiadała mężna dziewczica i pokazując Batoremu żalobną jeszcze szatę swoją, zapytała, czy mogłaby stanąć z nim przed ołtarzem w tym kirze?

— Nie może być ślubów miłości między ludźmi wrogich sobie ludów... Ta, która się tego dopuści, nie wie, co czyni, nie wie, co to są mściwe upiory, wstające z grobów ojezystych cmentarzy, które przychodzą po nocach gryść serca i sumienia — odstępców...

Nie było rady na rozżalenie serca sieroty i Batory opuścił Kronsztad posępny i smutny głęboko. Tracił ostatnie dobro swoje — miłość kobiety szlachetnej, która mogła być stać się jego aniołem stróżem.

W rok potem wyszła za Sewera. Dwoje szanujących się głęboko, dwoje silnie przywiązanych do siebie przyjaciół połączyło się węzłem dozgonnym, aby móżdż razem żyć i pełnić swoje obowiązki. Nie była to może całość szczęścia, ale była jego część jakaś — był spokój sumienia, była cisza serca, nie targanego goryczą zawodu i uczuciem potarganych węzłów świętych.

## ROZDZIAŁ VIII.

Jest straszne bóstwo Nemezys, które  
liczy i karze błędy ludzkie.

*Byron.*

Od Batorego szczęście odwróciło się ostatecznie razem z drogą mu kobietą. Zaraz za murami Kronsztaedu spotkał gońca, dającego mu znać, że przez Wołoszczyznę ciągnie liczne wojsko tureckie z Iskanderem-baszą na czele. Obok namiestnika sułtańskiego znajdował się Gabriel Betlen i jego to wprowadzała na tron Siedmiogrodu ta potęga pohańców, straszna wtedy dla Europy.

Batory, odebrawszy te wieści, zapowiadające szereg klęsk dla kraju, a jemu grożące ruiną i stratą tronu, nie popadł jednak w trwogę bezwładną. Forsownym pochodem ciągnął do Kolosvaru i ztąd słał posłów do Iskandera, obiecując mu oddanie Lippy wzamian za Betlena. Ale dumny Turczyn ani posła przyjął, ani na propozycję księcia odpowiedział.

Przodem przed regularną armią wypuścił palącą i rabującą horde Tatarów, która już zbliżała się do Kolosvaru i księżę, wysławszy do cesarza Rakuskiego posłów, proszących o pomoc, odjechał do Varadu, czyniąc zaciągi i obsyłając po kraju wieści z ogłoszeniem pospolitego ruszenia. Ale mało już stronników liczył; tylko drobna szlachta i Szeklerzy jeszcze przy nim stali, lecz hufce magnatów, z których na hasło o wrogu tworzyły się głównie w owe czasy zastępy obronne, te się nie ruszyły na głos Batorego, jeżeli nie pociągnęły w stronę przeciwną i każdy dzień był dla niego dniem jakiegoś ciężkiego ciosu — nowego zawodu!

Ale był to duch za hardy, aby się poddać losowi bez walki. A i w sobie ją staczał — duszę tę despotyczną dręczyło ciężko upokorzenie, które przechodził, widząc tego, który był wczoraj jego poddanym, dziś stawiającym się między nim a krajem,

i widząc, że kraj ten nie zrywa się na jego obronę... O! były to ciosy głęboko przenikające tę wyniosłą duszę.

A posłowie jego, do Wiednia wysłani, ani dawali żadnych wieści o sobie, gdy tymczasem Betlen już wszedł w granice kraju, jako ksiązę, a gdzie tylko powiały jego chorągwie, tam nietylko przyjaźni mu magnaci, ale i ludność miasteczek garnęła się ku niemu. Rządy Batorego zmęczyły już ludzi, srogie i gwałtowne a słabe, uciskały, nie dając przecież obrony przed nieprzyjacielem zewnątrz i zcieraniem się stronnictw wewnątrz, przyczem lud ubogi cierpi zawsze najwięcej. O Betlenie dochodziły same wieści pochlebne: mówiono, że wspaniałym jest i szlachetnego serca, że obyczaje jego są uczciwe, a wszyscy już wiedzieli, że mężny, głosząco też naokół, że rozumny i umiarkowany. Był więc zapowiedzią zmiany na lepsze, a Łazarz cierpiący przewraca się raz po raz na inny bok, ulgi szukając.

Tak też czyniła ludność Siedmiogrodu—przewracała się na inny bok...

Batorego zewsząd dochodziły wiadomości o odstępstwie i burzyły w nim krew, która dotąd pozostawała zimną, choć położenie stawało się codziennie trudniejszym. Bez sprzymierzeńca nie chciał wyruszać w pole, a tu tymczasem nieprzyjaciel brał bezspornie miasto za miastem i posuwał się naprzód.

Dla takiego jak on człowieka, bezczynność była wśród tego położenia torturą. Wybladł, wychudł, piękne orle jego oczy zapadły w głąb, gorączka trawiła go skrycie i nie mógł wytrzymać w twierdzy. Wyjeżdżał często, lecz po co? Wyjeżdżał naprzeciw swemu przeznaczeniu. Jednego dnia nad wieczorem siadł w lekką kolaskę i wyjechał kawał drogi za Varad. Jechał sam, bez orszaku; woźnica kierował z kózła parą rączych, ognistych koni, a obok niego siedział pokojowiec, chłopak młody. Batory, patrząc na zachodzące słońce, uczuł się ogarnięty tęsknotą. Gdzie

ono uchodzi, z kąd wraca?—myślał. Woźnica był starym sługą rodziny Batorych, księżę przywiózł go ze sobą z Węgier i teraz coś do niego zagadał o Węgry właśnie, o rodzinne ich obu miejsca, gdy nagle z krzaków olszowych, rosnących gęsto po obu stronach drogi, wyskoczyło dwóch ludzi zbrojnych. Maski mieli na twarzy i rzucili się najpierw na konie, cięli w nie pałaszami, potem jeden wymierzył potężny raz w staroego woźnicę, któremu obciął rękę, trzymającą cugle. Stary spadł z kozła, a Batory wyskoczył z kolaski i z wydobytym już pałaszem rzucił się na napastników.

Maski przekonywały go, że to nie są prości zbrojcy i tem goręcej wrzała w nich krew:

— Podli buntownicy!! — krzyknął i cisnął się jeden na dwóch, ale młody pokojowiec pośpieszył panu swemu z pomocą, której jednak dać mu nie mógł. wpadł na zręcznie nastawiony na niego pałasz jednego z napastników i został nim tak przebity wskroś, jakgdyby kopią.

Teraz już Batory został sam jeden wśród szerego pola z dwoma napastnikami przed sobą. Nawet kolaski jego już nie było — poniosły ją w szalonym biegu skrwawione, zestraszane konie.

Batory był męznym i silnym, szybko też zajął pozycyę obronną; oparł się plecami o pień starej, wypróchniałej wierzby i tak ciął krzyżową sztukę, że jeden z napastujących ranny ciężko w szyję, padł mu wkrótce u nóg. Maska spadła mu wtedy z twarzy i księżę poznał przybocznego urzędnika swego dworu, Nadany'ego.

— Podły zdrajco!...—zawołał i parując raz drugiego przeciwnika, krzyknął:—A ty kto jesteś?... Czy też taki pomiot Judaszowy?

— Poznaj mnie, krwiożercza hyeno — usłyszał odpowiedź, daną mu głosem znajomym i znajome też rysy zabłysły z pod zerwanej szybko maski. — Ja przynajmniej nie twój sługa—wołał głos drżący z niewiści.

Był to Szilassi i Batory ryknął z gniewu.

— Kłamiesz...—krzyknął—i tyś stał u podnóżka mego tronu...

— Urzędnik mego kraju na dworze jego elekta, ale nie pacholek rozpustnika i zbójcy...

— Biję się z tobą za zamordowanego mego druha i brata ślubnego,.. za ściętą głowę Baltazara Kornisa wezmę twoją!

Słowa te trafiły w pierś Batorego, jak jakaś kula stufuntowa. Ramię mu osłabło, wściekłość gniewna, która stawiała się zapalem walecznym, opadła nagle, przecież nie dał się owaćniąć niemocy. Oddawał ciosy za ciosy; obaj walczący byli wprawni we władaniu orężem i bój się przedłużał, aż wreszcie Szilassi upatrzył moment, w którym Batory odsłonił się nieuważnie. Chciał ciąć przeciwnika przez głowę—silnie, mocno, tak aby rozciąć go na połowę i dał mu możność przez naprężenie zadługie podniesionego w górę ramienia, aby ten pchnął go mieczem w bok...

Cios księcia, spadający w chwili, gdy uczuł w sobie zimne ostrze żelaza, nie dopiął też celu swego zamachu i obciął tylko ucho Szilassi'ego...

Obciął ucho i dosięgnął dalej ramienia i tak je zranił, że Szilassi'emu pociemniało w oczach, zachwiał się i powalił o ziemię.

Batory też padł na jedno kolano. Na mieczu się swoim wsparł, ale długo nie zdołał się utrzymać w tej pozycji i legł w końcu, padając w ten sposób, że się oparł głową o pień wierzby.

W tej chwili wydostał się z niej jakiś głos, ryk, jakgdyby dzikiego zwierza.

Nie słyszał już tego nikt, bo Batory omdlał padając, podobnie jak i Szilassi, jak i Nadany, który był też ciężko ranny.

Tymczasem rozbiegane konie, pędząc szalonym biegiem, wpadły w rogatki i jeden z nich, uderzywszy głową w szlaban, zabił się na miejscu. Gdy strażnicy, przyskoczywszy co prędzej, poznali uprząż księ-

cia, ogarnęła ich trwoga, bo i kolasa wywróciła się na bok kołami i tak ją wlokły oszalałe konie. Strażnicy dali też coprędzej znać o wypadku komendantowi twierdzy; stał się hałas i niepokój, kapitan gwardyi książęcej ruszył coprędzej z oddziałem żołnierzy drogą, którą książe mógł jechać, i wśród zapadającego już mroku spostrzeżono najpierw na drodze ciało zabitych sług księcia.

Wkrótce znaleziono jednego jeszcze trupa—były to martwe zwłoki Batorego...

Nadany i Szilassi gdzieś zniknęli, znać otrzeźwiła ich chłodna rosa i uszli precz, gdy dzieło ich dokonaniem zostało.

Ale zwłoki księcia nie zostały przecież porzucone samotnie, czuwał przy nich jakiś strażnik straszliwy. Wynędziały jak trup, z oczyma głęboko zapadłemi w jamy czerwone, miał jeszcze świeżą ranę przez twarz — policzek był rozcięty i krew lała się z niego, brocząc mą suknie i ręce.

— Kto jesteś!—krzyknął kapitan, gdy ujrzął tę straszną postać skuloną obok trupa Batorego.

Lecz w tej chwili odpowiedział sobie sam:

— Dimon!...—krzyknął z podziwieniem.

On dźwignął się, wierzby rękami się chwytając.

— Tak, to ja—rzekł.—Kto mnie woła?

Głos miał chrapliwy, gdy mówił, krew dziurkiem lała się z rany, a oficer przyskoczył do niego.

— Zbrodniarzu, tyś zamordował księcia!—zawołał i wyrwał mu z ręki miecz Batorego, na którym się opierał.

Z miecza też ciekła krew.

— Potworze niewdzięczny — mówił oficer, patrząc z pogardą i wstrętem na Dimona. — I za jakąż to nagrodę dopuściłeś się mężobójstwa na dawnym swym panu?

Dimon milczał. Był on w tej chwili rzeczywicie potworem. Wynędziałość jego była straszna, skóra okrywała tylko sterczące kości, przytem umaza-

ny był wstrętnie krwią. Oficer patrzył też na niego jak na brzydką gadzinę.

— Przyznaj się, żeś ty zabił Batorego — mówił groźnie — przyznaj się, bo inaczej czeka cię tortura...

On się uśmiechnął wzgardliwie straszliwemi, zakrwawionemi usty. Zdawał się mówić gorączkowym wzrokiem zapadłych swych oczu, że wie on już, co to jest tortura, aż w końcu rzekł z wysiłkiem, aby głos swój uczynić silniejszym:

— Tak... ja zabiłem Gabryela Batorego, więc teraz zabijcie mnie za to jego mieczem...

Byłoby się tak może stało, jak żądał, ale jeden z gwardzistów księcia zawołał, że ten człowiek musiał mieć współników. Taka nędzna istota nie mogła zadać śmierci trzem ludziom, między którymi znajdował się taki silny i dzielny rycerz, jak książę.

Ale teraz Dimon zaprzeczał. Nie miał żadnych towarzyszków. Chciał być zabitym i nalegał na to.

— Słuchajcie — wołał — ja to, ja zamordowałem księcia. A i ja jestem Batory, tak... nie patrzcie na mnie dziko... Batory jestem i zamordowałem Batorego...

Oficer zaczął przypuszczać szaleństwo, ale gdy go miano imać, on ruchem nagłym porwał miecz księcia i pechnął się nim w pierś tak, że skonał na miejscu.

Zabrano oba trupy i poniesiono je na noszach razem. Spoczywały obok siebie — jak bracia, tylko że Dimon złożony był u nóg księcia.

Czy był on jego mordercą, czy przeciwnie poniósł ranę w policzek, broniąc go od ciosów zabójczych, gdy Szillasi i Nadany ocknęli się z omdlenia i zapewne dobić chcieli ofiarę swoją?

Betlen, wstąpiwszy na tron, który został opróżnionym, surowo zabrał się do rozjaśnienia tej zbrodni, której sprawcy nie umieli się ukryć. Nadany i Szillasi głosili z początku swój czyn sami, głosili go tryumfująco, jako akt sprawiedliwości i zemsty nad Batorym, to też nie mogli już potem zaprzeczyć się.

Pociągnięci do odpowiedzialności, zostali stawieni przed sejmem, który Betlen już jako koronowany książę Siedmiogrodu, zwołał w 1614 r. do miasta Medgyes i na którym upomniał się o krew Batorego.

Nie było to z jego strony hipokryzją. Batory nie był zdolnym władać krajem i usunąć go z tronu było czynem potrzebnym i pożytecznym dla ojczyzny, ale śmierć jego, dokonana okrutnie, była niemniej zbrodnią. Zwłaszcza Nadany, który niegdyś służył nieszczęsnemu księciu za narzędzie do czynów jego samowoli, był człowiekiem nędznym. Popchnęła go przeciw do tego ręka skrytej w cieniu zemsty. Narzędziem był tylko, lecz rzeczywistym zabójcą księcia okazała się kobieta!

Dumna, wyniosła małżonka Stefana Kendi nie mogła nigdy zapomnieć, że lica jej musiały się raz zarumienić wstydem gorącym i poprzysięgła sobie, że ten, który był tego sprawcą, odpokutuje zato. Śmierć Kornisa i niedola łagodnej, słodkiej jego małżonki, która wkrótce po śmierci męża wstąpiła do klasztoru Karmelitanek bosych — podniecała jeszcze i podniosła w jej sercu uczucie nienawiści dla Batorego. Za zawstyżenie jednej kobiety uczciwej, za okrycie drugiej żałobą wdowią, powinien być zostać skazanym na gardło i w tajemnicy przed mężem wmieszała się czynnie w zmyślenie nienawistnych Batoremu magnatów. Szillasi, przyjaciel Kornisa, pomagał jej w tem: on dawał swoją osobę, ona, jak podejrzewano, złoto i znalazł się współnik do zbrodni, która przecież nie uszła bezkarnie. Za wzięte życie musiano płacić życiem i sąd sejmowy skazał obydwóch zabójców Batorego na jednakową karę śmierci przez strącenie z wieży tak wysokiej, że gdy wyrok wykonany został, członkowie miłosiernego bractwa, które grzebało zbrodniarzy, traconych ręką sprawiedliwości, zebrali z bruku tylko bezkształtną jakąś miazgę rozbitych ciał i potłuczonych kości.

Lecz i Stefanowa Kendi nie uszła przed wymia-

rem sprawiedliwości. Ludzie się bali tej pięknej, jasnowłosej, modrookiej, jak śnieg lub alabaster białej kobiety, na której czole zdawała się widnieć plama krwi. Czy i mąż nie wzdygał się na jej widok — czy mógł kiedy wziąć pocałunek miłosny z jej ust różowych? Żyli na wsi samotnie, zamknięci w domu, odsunięci od świata i bezdzietni!...

Zwłoki Gabryela Batorego przewiezione zostały jeszcze przed wymiarem sprawiedliwości za śmierć jego okrutną, do gniazda rodzinnego, do Ecsedu. Betlen wydał pod tym względem szczegółowe rozkazy i posłał z ramienia swego delegatów, którzy się zajęli tym aktem posługi ostatniej, ze wspaniałością należną księciu i potomkowi starożytnego rodu, który wydał z siebie wielkiego męża i monarchę w osobie Stefana Batorego, króla polskiego,

Zapewne też z rozkazu Betlena i śmiertelne szczątki Dimona zostały tam przewiezione jednocześnie i do grobu Batorych też spuszczone. Jedna trumna była drogocennie ozdobiona berłem i koroną, jaśniał nad temi godłami wielkości i sławy herb starożytny, okrywała ją purpura z obrzeżeniem gronostajowem. Druga trumna była czarna i prosta, a miała na sobie tylko krzyż srebrny—godło miłosierdzia i odpuszczenia win wszelkiemu grzesznikowi, który odchodząc ze świata, poczuł jednak w piersi swojej choć dla jednej jakiejś istoty ludzkiej czyste i miłosne uderzenia serca.

Uroczystość pogrzebania na cmentarzu w Ecsedzie tych dwóch trumien odbyła się dnia 6 grudnia 1613 roku. Poczem odwrócono na grobowcu herbową tarczę Batorych, ponieważ nie żył już na ziemi żaden potomek tego rodu.

*h. inw. 1106*  
*1405*

K O N I E C .

BIBLIOTEKA



Wyższe Szkoły Polit. - Wych.



+ 11

5992/  
1